

Leonarda Szubzda • Irena Słomińska • Justyna Wencel • Agnieszka Krotke • Małgorzata Dobkowska • Józefa Drozdowska • Krystyna Gudel • Agnieszka Drewnicka • Irena Batura • Halina Biernacka • Barbara Lachowicz • Zofia Dembińska • Zofia Metelicka • Małgorzata Dmitruk • Jerzy Sikora • Marek Kusiba • Rafał Kazanecki • Tomasz Pobot • Antoni Hukałowicz • Ryszard Kondratowicz • Józef Budziński • Eligiusz Buczyński • Marianna Bocian • Katarzyna Grygotowicz • Agnieszka Ostapowicz • Andrzej Kitliński • Piotr Balkus • Anna Gniewkowska • Irena Słomińska • Monika Karpowicz • Marcin Silwanow • Aneta Owłasiuk • Dariusz Adam Zeller • Dirk Beemster • Rutger Koplant • Tonnis Oosterhoof • Alicja Wiśniewska • Bohdan Bojczuk • Wira Wowk • Emma Andijewska • Bohdan Rubczak • Junj Tamawskij • Tadeusz Karabowicz • Jerzy Piutowicz • Artur Jan Szczęsny • Katarzyna Ewa Zdanowicz • Wiesław Szymanski • Eugeniusz Szulborski • Włodzimierz Wowczuk • Teresa Jabłonska • Kazimierz Słomiński • Jan Tarnacki • Edward Lipiński • Katarzyna Wylimczyk • Apoloniusz Bogumił Ciołekiewicz

EPEA

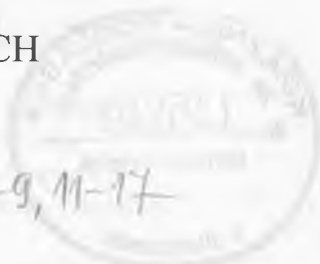
almanach

Białystok 2003

EPEA

ALMANACH

list, W, F 1-9, 11-17



KSIĄŻNICA PODLASKA IM. ŁUKASZA GÓRNICKIEGO
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH
ODDZIAŁ W BIAŁYMSTOKU
BIAŁYSTOK 2003

Redakcja:
Jan Leończuk
Wiesław Szymański

Korekta:
Teresa Jabłońska



821.162.1-82

TOM III

ISBN 83-88248-29-4

Skład i druk:
Wydawnictwo PRYMAT
15-703 Białystok, ul. Zwycięstwa 26c lok.7
tel. (85) 869-14-87, kom. 0602 766 304

KP Białystok-EO-2004/225 11

W Kuryłach

Iwone i Eugeniuszowi Wiśniewskim

bocianie gniazdo jak drogowskaz
zaprasza nas w lipową ścieżkę
żwir chrzęści cicho pod butami
wchodzimy w zadrzewioną przestrzeń

w zieleni dom prastare gniazdo
co ocalało z czasów wrogich
i dumnie trwa by chronić wspomnień
milczenia ścian wierności progów

czas tu zapomniał że ma mijać
i wszystko trwa tak jak przed laty
tylko brąz pokrył ściany domu
smagane deszczem śniegiem wiatrem

te same ptaki wierne gniazdom
kamienie milcząc domu strzegą
strzeliste małwy pod oknami
i zapatrzone w niebo drzewa

na stole bieżnik szydełkowy
co ciepło czyichś rąk pamięta
uroku pełne dawne meble
w kolorze sepii stare zdjęcia

tu wszystko wokół jest poezją
nie zapisanym jeszcze wierszem

modlitwą wędrujących cieni
dawną litanią słów najpierwszych

tu wszystko wokół jest pamięcią
utkaną z nici prostych wzruszeń
dom odwzajemnia ludziom miłość
bo tak jak oni też ma duszę

kolejny dzień na skraju stanął
na szybach drżące liści cienie
w ramionach nocy usną drzewa
słońce układa się w zieleni

jak dobrze tu lecz wracać trzeba
w świat rozpędzony w mroczną przestrzeń
w naszą niepewność w niepokoje
do miejsc gdzie braknie już powietrza

Polacy z Zaolzia

Irenie i Janowi Pyszkom

nie pamiętam kto z nich powiedział
codziennie muszę udowadniać
że jestem Polakiem
już rano w sklepie
kiedy mówię dzień dobry
a nie dobry den

pokręcone polskie losy
przypadkowe jak graniczne linie
dzielące ziemię rzeką
przez środek miasta
i ludzi
przez środek serc

tyle tu polskości
że odczuwam wstyd
za nas chorych na niepolskość

euro-piejemy
precz z zaściankiem
won nadwiślański romantyzm

na korytarzu polskiej szkoły
w Czeskim Cieszynie
reprodukcje znanych obrazów
dni naszej sławy chwały i klęsk
polska historia

(w kraju coraz rzadziej
wiszą w szkołach takie obrazy)

zostawiła nas Polska mową
więc niosą ją w sobie
wytęsknioną świętą

nie mogę im powiedzieć
że my zostawiamy Polskę
dla mirażu powszechnej szczęśliwości
znamieni nie po raz pierwszy

nie mogę
odebrać im nadziei

Potoki, 8 czerwca 2002

Z tarasu domu Chucka

jezioro pociemniałe od ciężkich chmur
dobija wciąż nową falą do brzegu
woda usiłuje pozostać na piasku
ale ledwie go dotknie

już się cofa
odwieczny praporządek
przyływ i odpływ

wszystko jest tu tak jak być powinno
woda i ziemia znają swoje miejsce
drzewa posłuszne jesieni
zrzucają liście
jezioro i niebo
stopione jedną barwą

wszechświat
którego nie umiem ogarnąć
wieczność
której nie potrafię pojąć

Pentwater, 8 października 2002

Galeria sztuki socrealizmu w Kozłowce

co robią tu
wśród wizerunków wiecznie młodych wodzów
ci zwyczajni ludzie
matka harcerz górnik chłopiec z książką
chłop Polski Ludowej
kanciasty ledwie ociosany pień
w oczach ma coś ze Ślimaka i Drzymały
chłopka z podniesioną dumnie głową
wzruszona
w geście podawania chleba i soli
na lnianym ręczniku

matka z dzieckiem przy piersi
taka osobna
w majestacie macierzyństwa
odwrócona od tych co trzęśli światem
osłania ramionami szczęście

obok dziewczyna z dożynkowym wieńcem
(dzisiaj trzymałaby elektryczną gitarę
albo telefon komórkowy)
jej smukła talia czeka
na objęcia mężczyzny

mała dziewczynka
ze śmiesznymi kucykami
tuląca gołębia
dzisiaj jest pewnie starą kobietą
ze śmieszną rentą
którą przelicza wiele razy
żeby starczyła

i najbardziej wzruszająca
kobieta z wiadrem
rozłożysta w biodrach krzepka grusza
bochny dłoni grube łydki
wypukły brzuch
Woman with a Bucket
bohaterka tamtego czasu
już w 1954 roku niemłoda
do dzisiaj stoi uśmiechnięta
i lekko zawstydzona
nie zdążyła poprawić włosów
jeden kosmyk opadł na czoło
zastygła w pozie onieśmienia
w codziennym ubraniu
i z wiadrem
może wracała
od dojenia krów

i tak stoją
upozowani przez artystów
stłoczeni
w ciasnej przestrzeni galerii

zwykli ludzie
bezsilni wobec historii

27 czerwca 2002

* * *

dam ci barwy ziemi
i moc trwania
rzekł Bóg

i stał się kamień

nasz brat w wędrówce
przez czas i nieskończoność
pod jednym niebem
w tym samym wietrze i deszczu

kamieniu
węgielny domu

progu
z pamięcią pokoleń

dekalogu
kamiennych tablic

granico tajemnicy
u wezglowia umarłych

jednako bliskich ziemi
po tamtej stronie
utuli nas wieczność

zbudować dom
od dymu z komina
z marzeń
i nierealności

uprawiać ogniste
nasturcje
poczuć na wargach
słodki smak
istnienia
w granicach
zakreślonych przez
nadzieję

odmawiać sobie zrozumienia
chłód zrozumień
jest taki
upraszający

tekst naszego
przebywania na tym
najpiękniejszym
ze światów

* * *

byłam dla Ciebie tajemnicą
odczytywałeś mnie
alfabetem Braille'a
jak ślepiec dociekałeś
ciągłości wątku
a ja wewnętrzną pustkę
maskowałam wielością słów
wielością wierszy
i metaforą spuszczoną
ze smyczy malowałam złudzenie
jesteś ale jakby Ciebie nie było
nie rozumiesz
a tak łatwo się sugerujesz
nie wiesz
że do błękitu nie dobiera się
po omacku
kluczy

* * *

Ojcu

pamiętam pierwsze czytanie
i wierszy i trosk
a o troskach wiedziałam
najmniej

dojrzywałam poetka od klonów
i wróżb
od rodziny od losu
od tego owego

kołysałeś mnie na kolanie
podrzucałeś do góry

do chmur tato mówiłam
do chmur

i nogi schodzone
moczyłeś w misce
bo znowu byłeś tam
gdzie autobus nie dojeżdża

smukła męska sylwetka
i wiersz na rozstaju
tego zbyt trudnego życia

owocującego ideą
marzeniem

teraz gdy przystaję
na nowo przed życiem
myślę sobie a jednak
było warto

*

drogo
oswojona
odtąd dotąd

drogo
piaszczysta
i kamienista
słoneczna
i pochmurna
radosna
i smutna
drogo łagodna
i dzika
szukająca
i leniwa
zasłana płatkami
i kolcami

drogo do ludzi
i uciekająca

drogo do Boga
i zwodząca

drogo
płyniesz
we mnie

*

*„Ten kto idzie pewną drogą
jest martwy”*

ta niepewna ścieżka
wiodła na pokuszenie traw
i wierzy schylonej nad kołyską ciszy

wybrałam ją
a ty podążyłeś za mną

nasza droga w lesie
popękana korzeniami
biegła lekko jak dziewczyna

zakręty chwil
rozkwitwały zachwytem

na mchu twojej dłoni
złożyłam głowę

nie szukałam żadnej
ziemi obiecanej
modliłam się żeby
słońce nam nie spowszedniało

*

alabastrowy księżyc
za firanką chmur
budzi gwiazdy
na mleczną wędrownkę

*

pośród nami
cichy motyl nocy
jak liście błędzimy
nic nie wiedząc o tym

*

kwiaty zmięte w dłoni
na płatkach
odciśnięte świeże łąy
dywan zapomnienia

*

zachód słońca
krągła kropla
spływa z nieba
do kielicha ziemi

*

wschód słońca
gwiazdy
zmieniają się w ptaki

*

bursztyn poranka
przekuł noc
w altanie liści

*

po kilku słowach
twoja twarz bliższa
droga krótsza

*

luty
sople westchnień
na niebie Nikifora

*

wpatrzona w gałęzie
wspominam listne dni
w październikach świata

*

listopad siwy asceta
pozbawił się bogactwa
grozi pustką

*

deszcz puka
otworzę może odnowi
dnia mojego oblicze

*

korytarzem nocy
płyną kroki
odchodzącego dnia

*

niebo w piegach
cicho roześmiane
świerszczem

*

serce pełne nietoperzy
bije skrzydłem złowieszczo
do góry nogami nocy

*

noc
wita okno
ogonem gwiazd

*

księżyc
kwiat paproci
w gąszczu nocy

*

utknęłam
w kieszeniach
nocy

*

ziarnka oddechu
w klepsydrze nocy
odchodzisz

* * *

Lampy naftowe
Ocierają się plecami
O krawędzie światła.
Człowiek – ćma
Rozłożył skrzydła – ręce
Jak krzyż lub znak zapytania...
To, czego nie wiesz o życiu
Znajdziesz w rozmiękłych kałużach
W złomowiskach żelaznych
Po których przeszedł chwiejnie
Zapomniany pijak...
Tam noc nie spotyka o świetle dnia
Lecz strach, który przechodzi
W burą panikę – wrzask!!!
Że nigdy – nic!!! Nigdy...!!!
I to, co było tak twarde
Spopiela się w tygłu
Codzienności bez twarzy
I wciąż, co noc to samo pytanie
Jak to się stało? Jak mogło?
Jak śmiało?!
To, czego nie wiesz o śmierci
Znajdziesz nie na cmentarzach
Lecz w ludziach
Którzy patrzą na Ciebie...
W dziewczętach
O ustach uśmiechniętych
Czerwienią krwi lub maliny...



W kwiatach, których już jutro nie będzie...
W przezroczystych skrzydłach
Jętki jednodniówki...

Czerwiec 2000 r.

Czy świat to świat?
Czy może NIC,
Które uparło się by żyć
I nie wie jak umierać?

A ja to ja?
Czy może CZAS,
Który w materię mięką wlał
I tą materią śpiewa?

Czy Ty to Ty?
Czy może LAS
Który zbiegł z drzew by mocą swą
Poruszyć losu wielki głąz
I ujrzeć obce nieba?

Sierpień 2000 r.

W zastygłych popiołach
Martwa dusza nieba.
To tylko czas powolny
Nie uląkł się żaru
To tylko krople zapomniały o wodzie
Stały się twardym soli kryształem...

Wrzesień 2000 r.

Annie Mical

Gdzie się ukryły
Światła mego miasta
Wyłuskiwane z ciemności
Przez okna autobusów?
Gdzie bladeść twarzy
Niemych, wpatrzonych
W kłębowisko uczuć, myśli, emocji
Pod przeponą, pod czaszką..

Teraz statek tnie mrok
A oczy diabła dymią
Codziennie, nieustannie.
Złowrogi zgrzyt -
Zęby ziemi i pazury czasu
Walczą o nic...

Wracam do mego miasta
By zobaczyć raz jeszcze
Deszcz na zamglonych szybach...

Grudzień 2000 r.

pamięci Tomaszę Beksińskiego

Kobieta – wąż
Mężczyzna – kot zielonooki
Gorąca skóra,
Oczy iskrzące nocą
Widziałeś ją kiedyś
Na niebie, na gwieździe
Widziałam go kiedyś
Na ziemi, na skale

Więc spadasz ciężki od łez
I kamieni przypiętych do stóp
Nie widzisz dna
Tylko niebo – błękitny świat
Nierzeczywistego Boga...
Więc zostań tutaj
A ja?
Dołączę do Ciebie
Potem...

Maj 2000 r.

* * *

Wyklócałam się z Tobą
Grożąc, że Ci pokażę
Co potrafię bez Ciebie
Samym tylko człowiekiem
Samą tylko kobietą
Wysyłałeś Anioły,
By pomogły zapomnieć
Widziałam je w samochodach,
Autobusach, pociągach
Wpatrywały się w szyby
Niby nie patrząc na mnie
Widziały...
Wiem...
I czułam szum morza
Za ogłuchłymi od bólu uszami
I czułam tętno góry
Gdy dotykałam zimnymi palcami
Krawędzi lustra
Odbite głowy gadały bełkotem
Odbite twarze, bez rysów
Jak ciemny tłum banalnych wydarzeń...
Odbite serce

I kolek
Bym nie budziła się w nocy
Pełna marzeń...
I marzeń
I marzeń...

Czerwiec 2000 r.

* * *

Ance Kupiszek

Nie zapominaj o motylach
Choć widzisz je obrzeżem wzroku
Poboczem sztywnej świadomości
Rozstajem myśli zbyt przyziemnych
By poczuć skrzydła kolorowe
I wzlecieć ponad piach jałowy
W gęsty aromat macierzanki.
Motyle wiedzą czym są kwiaty
Piją z kieliszków płyn istnienia
I zajadają złotą rurką
Wieczność – promienne słońca lśnienia...
Lecz zawczas je pogania cieniem
A tymczas im odmierza lato
Czas im upływa w półprzelotach
Nastaje bezczas – babie lato...

Sierpień 2000 r.

Lapidarium. Nieudane próby ogarnięcia całości

gdy ocean oddycha i podchodzi
do ciebie blisko jak zwierzę
a ty boisz się poruszyć
zahipnotyzowany aż cię liźnie pazurem

poczuj tę różnicę o słonym smaku

dziwny żywy ogród
tworzy się w twojej głowie
i rękach z bandażem wodorostów
mogących wyławiać jedynie okruchy

ogląda się je potem
zwodniczo na dłoni
zaciska skleja i chowa
w albumy

Powrót. Niepamięć?

cóż zostaje
powolne zanikanie i rozpadanie
nad rzeką mgły nadmiar szelest
i kaczek wołanie

wpierw zastygnięcie w bezruchu
odlana forma dwie maski śmiechu i żalości
opis świata niedoskonały niemożliwy fragmentaryczny
niedokończony rysunek szkic za ledwie
zamykający się krąg w powietrzu w wodzie w tobie
pozorna gładkość równiny
aż oczkiem rzucić i piosenką

Do Anioła Stróża

Aniele który przysiadasz w oknie
gdy czekam a kiedym zmęczona
przegarniasz mi włosy znad czoła
i oczy przeglądasz z łez

Któż czulszy nad ciebie
i któż mi bliższy? Wszak
z tej samej sekundy i wrażliwości
tej samej stworzył nas Pan

Jakimi słowy przekładasz
Bogu te chwile w których
tak bardzo jestem nieczuła
na wieść zsyłaną mi z nieba

Augustów, z 11 na 12 stycznia 2001 r.

Spotkanie w Lęborku

p. Irenie Misztal

Idziemy ulicą Przymurną ślizgając się
w pierwszym śniegu. Kto będzie pamiętał,
że byliśmy tutaj kiedyś? Żaden nasz ślad
nie skamienieje, żadne słowo nie porośnie
bluszczem

A nam się zdawało, że zegar na ratuszu
powitalne wydzwania kuranty, kiedy jeszcze ciepło
spало się nam po podróży w małym hoteliku
w bibliotece. W którym jeszcze miejscu może być tak
krótki sen?

U świętego Jakuba przenikają mnie dreszcze. Gotycki
mrok czyni nas równymi. Teraz Ty oswojona z ciemnością
prowadzisz mnie od witraża do witraża. Światło, które
wewnątrz skupiasz, wskazuje, w którym miejscu mam
ukłęknać

Lębork-Augustów, listopad-grudzień 1995 r.

Do świętej Kingi od soli

Kiedy się krzątam po swoim
królestwie – kuchni trochę
przyciasnej – stajesz mi zawsze
na straży solniczki
i gospodarstwa.
Ty, któraś solą Ziemi
Sądeckiej i tu u mnie
- w innej krainie,
nad inną rzeką niż Poprad
miej posłuchanie.
Gdy zupę przysalam,
gdy myślę nad sobą,
że tyle przeszkód mi stoi
na drodze do Pana Boga,
Ty, Gospodyni czuła i mądra
rad swoich nigdy mi nie szczędź.
O, Solna Pani, Przyjaciółko nędznych
trzymaj mi zawsze
rękę nad garnkami.
Bo świętość jest wielka,
ale i zwykła – tej zwykłej,
codziennej mnie naucz.

Czym jest wiersz zapisany
jesienią nad brzegiem
jeziora

Czym pies myszkujący
na brudnej plaży
za czystą esencją
nazywania

Czym zaś samo pytanie
skręcone spiralnie
z intencją odpowiedzi
jak muszla ślimaka
wyrzuconego
tu przez dziecko
latem

Przypominaniem odgłosów
czy dopuszczaniem
nicości

1.10.2000 r.

Przez otwarte na oścież okno
słyszę gwizd czajnika w obcym domu.
Za chwilę przygoni rozbiegłych po pokojach
domowników. Zaprosi ich do stołu.

W tym obcym domu tyle szczęścia, myślę,
jest w gwizdku czajnika co się parą
pyszni. A ja, skulona za swoim stołem,
jedynie gram na klawikordzie ciszy.

* * *

wiatr samotnie buszuje
po zmęczonej plaży

przykuca między wydrami
tańczy we włosach zrudziałych traw
ukrywa się w muślinie mgły jesiennej

samotny i opuszczony
jak stare rybackie czółno
nikomu niepotrzebny

podnosi się z upadku
bierze głęboki oddech
i pędzi na spotkanie
zbłąkanym żaglom

* * *

zapukałam do Krainy Przeszłości
skrzypnęły skoszone drzwi
pojawiła się staruszka
Brońcia
zapraszając
ciepłym spojrzeniem

zamiotłam wzrokiem izbę
tak jak kiedyś

w dzieciństwie
poprosiłam o jutro

dziadek Antoś
skarcił Brońcię
a była ona szczodra
i niezwykle posłuszna
wysupłała grosik
a może dwa
nie pamiętam

zakręciłam się na pięcie
i uciekłam
za skrzypiące drzwi
pukaliśmy do nich
w młodości
jeszcze wiele razy

.....

a potem już tylko
cisza i pustka
rozsiały się na dobre

czaił się cień
a oni spoglądali
z pożółkłej fotografii

odeszli w milczeniu
ustępując miejsca innym

wkrótce i my
wypełnimy spróchniałą ramę
i odejdziemy w niepamięć

pani Monice Komosa

w niemodnych butach
z dużym obcasem
zgięta w połowę
równym truchcikiem
przemierzy ulicę

parzystym krokiem
mocniej uderza
lewym leciutko
by ból uśmierzyć

w cienkim nylonie
w grubej kremplinie
strojnie ubrana
zgarbionym karkiem
kłania się ziemi
aktem strzelistym
wychwala Pana

że syn jej żyje
choć ma kaleki
że ma rodzinę
w kraju dalekim
i chociaż szczęście
wciąż ją omija
dziękuje Bogu
za to że żyje

* * *

krople deszczu
ukradkiem odmierzają czas
kolejna noc pieści nasze pragnienia
świat pada na kolana
- nic już nie ma
tylko kształt twych warg
zapach ciała
nie wiem czy mam krzyczeć
czy tylko pomrukiwać
jak kot
w chwili lenistwa
o nic nie pytaj
mów do mnie szeptem
odpowiem
drżeniem ciała

* * *

wchodzisz do serc zagubionych
różnymi drogami
tak cicho
delikatnie
jak trzepot skrzydeł
na wietrze
przez mgłę na policzku
objawiasz się światu

karmisz go smutkiem jak chlebem
szepczą o Tobie
- samotność

* * *

przyciągasz mnie do siebie
ale jak deszcz
ociekam milczeniem
teraz tylko cierpliwie czekać mogę
na niewinne Twych oczu
spojrzenie

trwonię noc
jeszcze kilka chwil
zamykam oczy
mówię dobranoc

...

chyba mi smutno
bo jeszcze czekać muszę
jeszcze sama

* * *

Wiem że nie patrzysz obojętnie
Nie zostawisz
Bez znaczenia
Tobie ofiaruję

Ból
Tęsknotę za tym
Czego nie mam

Ty wiesz najlepiej
Że o mnie chodzi
Gdy wrzucam do koperty
Kolejne myśli
Jak kamień w wodę
To moje stopy wydeptały drogę
Do dzikiego stada
Tam wrócić nie mogę
I Ciebie o to proszę
Lecz prośby moje
Jakby obojętne
Twojej dobrej
Woli

Moja babka bolejąca

Siadła ze mną na przypiecku
każdego dnia zimnych przedwiośni.
Po odśpiewaniu pieśni wielkopostnych
snuła opowieść:
Sześcioro pochowałam,
Anielcia, Zosia, Frania,
którą służąca upuściła z okna na pogórkę
(dopiero teraz rozumiem, dlaczego okna
w domu moich dziadków były zabite gwoździami)
Przy dziadku tego nie wypowiem...
Serce mu pęka
Szesnaścioro dzieci przeżył
krew z krwi... i jedną żonę
- Władzio, Maniuś, Broniu
- ten był jak iskierka
tak ciekaw świata!
Wóz go przejechał.
A w gazetach piszą
tylu młodych ginie każdego dnia!
W Korei, w Wietnamie...
Co myślą ich matki?
Z osłepłych od płaczu oczu babki płyną łzy.
I gdzie jest ten Wietnam i Korea?
Po latach, gdy była następna wojna,
już babce tłumaczyłam:
Wietnam jest daleko
po drugiej stronie kuli ziemskiej.
E...

Ziemia nie może być okrągła
bo łyzy matek leciały hen...
a nie na ich podółki.

Augustów, 14 marca 2002 r.

Antyteza

Chłonełam ze świata
dobro i zło.
Babka u której miałam fakultet z życia
dobro nazywała dobrym uczynkiem
zło – grzechem.
Potem dowiedziałam się
o istnieniu innych dolin i gór
miast państw kontynentów...
Na każdej ziemi chciałam położyć dłoń.
Spojrzałam w górę
zrozumiałam że są miliardy gwiazd.
Był to początek przerażenia.
Zrezygnowałam z podróży
przyglądając się kwiatkowi w doniczce.
Wszystko skurczyło się do antytezy
Dobro – zło.
Jak dawniej z całą ufnością atakuję
tylko kontynent Poezji
Czy do pierwszego przerażenia?

10.09.1999

* * *

Ciągle na pasie
szybkiego ruchu
krok od kraksy

Jak Wiking u steru
uzbrojonego okrętu

Ze strachu
zatrzymuje się nawet zegar

Szaleństwem jest tęsknota
za zapachem oceanu
czy powiewem
górskiego wiatru

Nie widzę równowagi
w świecie
na wpół realnym
na wpół rodem z baśni

A jeszcze zdążyć
na przedostatni tramwaj
aby nie zszarzyć
od niekochania

* * *

Jak długo jeszcze
rodzić dzieci
piec ciasto z wiśniami
spłacać raty za pralkę
nosić
papuziozielone spodnie
ześlizgiwać się
po oblodzonym zboczu
być niczym więcej
niż numerkiem
w poczekalni życia

a elegantki
nawet na polu golfowym
noszą nylonowe pończochy
błyszczą od nazwiska i pieniędzy
grają rolę elementu dekoracyjnego
wiedzą jak dobrać
kwiaty porcelanę szampana
czy sztucce od Tiffaniego
z przyjaciół robią
zadowolonych niewolników

czasem powtarza się
historia Pigmaliona

choć mamy ten sam kod pocztowy – Ziemia
dziela nas światy
gdzie nic się nie zmienia
tylko pory roku

Wiedział
Ze oswojona z nudów
A porzucona ze strachu

Pamięci koni

Świat się osunął w kurz
A nad nim końskie zady
I pogłos kopyt
Które grzmocą ziemię

Na grzbietach uprząż
Niewolniczo ciężka
A jakby jej nie było
Tylko w grzywach wiatr

Konie wolne przez chwilę
Osiodłam wasze grzbiety
Świtu mgłą i mym zachwytem
Przylgnę do nich

Unieście mnie
Kare gniade złotogrzywe
Do raju

Gdzie nie zabija się
Ludzi i koni

Listopad, 2002 r.

Ogłoszenie

Wynajmę
umeblowane cztery kąty
matki z ojcem
z psem
i kotem

najlepiej
synowi i córce

za jedyne
pół niedzieli
co którą
do uzgodnienia

Oczekiwanie

Gwiazdy pilnowały
snu ziemi
rozświetlona orze dzień
chmurami ociera pot

schowałam się w nadziei
nim rzeczywistość
ściągnie na skibę

rozsypię w bruzdę
całą radość

lub niewiele smutku
opornego na skrzeszenie

Moje siostry

Trzeba zaradzić
aby nie przychodziły
o tej samej porze

żeby jednej
przeszkadzał zapach farb
druga mogłaby mieć
alergię na słowa
albo pokłóciłyby się
lecz nie kosztem mnie

jedna jak nienapisany wiersz
druga jak czas
przed dotknięciem pędzla

Święta

Wpadłam do kropli szczęścia
jak do morza
wprowadziły mnie fale
do zamku z muszli

święteczny czas ugościł
i odprowadził
na brzeg codzienności

potykam się o kawałki
bursztynowego bólu

Wiosenna tęsknota

Wiosenny wiatr nad ziemią wieje
W błękitnej mgiełce tonie dal
Do mojej duszy się zakrada
Ni to tęsknota ni to żal.

Za czymś dalekim i nieznanym
Co dziś zapuka do mych drzwi
I nie wiem czy to sen czy jawa
Czy tylko moje serce śni.

Bo kiedy wiatr wiosenny wieje
I w jasnej mgiełce tonie dal,
Wtedy do duszy się zakrada
Ni to tęsknota ni to żal.

Do Matki

Za oknem wczesny zmierzch zapada
Ku gwiazdom biegnie mój wzrok
Może w ich blasku odnajdę cię mammo
Może usłyszę Twój krok.

Wtedy jak dawniej podasz mi dłońie
Zniknie samotność co puka do drzwi
Nastrój tęsknoty gdzieś odpłynie
Wrócą bezpieczne dzieciństwa dni.

Wiem że cię w blasku gwiazd nie zobaczę
Dawno przeminął znajomy twój krok
Spoglądam w okno mego pokoju
W które zagląda wieczorny zmrok.

Jest takie miejsce na ziemi

Jest takie miejsce na ziemi
Gdzie szumią bory sosnowe
Gdzie mgły się ścielą jesienią
I pachną wrzosey liliowe.

W dalekim błękitcie bez końca
Wolniej obłoki płyną
Gdzie zmierzch gasi promienie
Cichą szarą godziną.

Gdzie nad jeziorem drzemiącym
Łąki kwieciste się ścielą
Gdzie pośród lasów sosnowych
Ściany domów się bielą.

Jeżeli ci źle jest i smutno
Zanurz się w augustowskiej zieleni
Wierz mi – twe troski odpłyną
Bo tu jest to miejsce na ziemi.

Przeświadczenie

Poznałam siebie dogłębnie
i sparaliżował mnie strach
przed własną kruchością.
Nauczyłam się wierzyć w dobroć
i spadła na mnie słabość.
Zastrzegam sobie prawa autorskie
do kochania
i przyszło niezrozumienie.
Straciłam piękno, by odzyskać blask,
straciłam tajemniczość a zyskałam rzeczywistość.
Z tęsknoty uplotłam wianek różany.
Za wiele w nim było cierni.
Pokaleczyłam dłonie.
Dotknęłam stopą Ziemi,
nie bolało... na początku.
Później zjawił się szatan wrogości
i kazał mi zabrać stopę
z jego terytorium.
Na samym końcu
powiedziałam słowo: Bóg!
Rozjaśniło się nade mną niebo.
Już tylko Bóg mnie kocha.

Taka chwila

ptaki nie trafiają do gniazd
zmylone nagłą błyskawicą
nie wraca echo pod twój dach
nie ma domu
dłoń Boga zamyka się
na pięć palców
bielmo na oku Opatrzności
już po Jonaszowej rybie

Dzieje ludzkości drzewami znaczone

z rajskiego drzewa
jadł jabłko Adam
na drzewie krzyża
rozpięty Chrystus
pod drzewem Bo
Budda się przebudził
na drewnianej szubienicy
człowiek ze znakiem zapytania -
pętlą na szyi

List do Nieobecnej

lubię ten błysk w twoich oczach
tę iskrę szaleństwa
ale też eteryczną mgłę
jak na płótnach impresjonistów
kiedy rozmazują się kontury rzeczy pospolitych

lubię kiedy tak wymownie milczysz
i gęstnieje czas
nawet ptaki zasłuchane w to piękne milczenie

różowa satyna sukni lśni zachwycająco
ślizga się po niej światło
szarość i czerń stoją zasmucone w kącie

oglądam „Piękność dnia” Bunuela
myślę o tobie
pachniesz rozmarynem i miętą
tajemniczo
uwodzicielsko

patrzę na ciebie przez okno
dotykam przez szybę
delikatnie
szklano
z namaszczeniem tej szalonej chwili
która nie nadejdzie

* * *

wczepiam się w skórę świata
i nic
z wyjątkiem połamanych paznokci

* * *

w twoich marzeniach jak w szklanej kuli
widzę góry złota fruujące dywany
tęsknisz za życiem w kolorach tęczy
tęcza rodzi się ze słońca i deszczu
może tylko to potrzebne do szczęścia?

więc wyrzuć parasol
rozpuść włosy
i w dłonie chwytaj
niebieskie krople deszczu

na szczęście

* * *

mroczy się dzień
słońce stacza się za pagórek
atramentowa noc
zaprowadzi wreszcie porządek
uwyraźni ciemność
dostojnie zakręluje nad światem
rzuci nas do łóżek
omami snem

Pani Noc
uczy nas umierania
leżenia na wznak
zamykania oczu
na wieczność

Miejsce

Nie mamy domu,
Choć domy mamy:

Mamy mieszkania,
Chałupy na wsi,
Trailery, vany
I caravany –

Domu nie mamy.

Dom nasz daleko,
Nad jakąś rzeką
– Styksem?
– czy Sanem?

Dom nasz pytaniem.
Dom nasz czekaniem.
Nocnym wołaniem.

I usypianiem
Pamięci w
Amen.

Okna

Co widzę z mego okna?
Inne okna. Ludzi
Przy stole. Jedzą chyba.
Mówią coś. Śmieją się. Ktoś się rozbiera
Ktoś chyba śpiewa. Inni klaszczą rytm
Ktoś w pokoju obok
Samotny
Do okna podchodzi
I okno otwiera.

To on, czy ona?

Odgadnąć nie sposób.
Mieszka w tym hotelu
Bardzo dużo osób.

Ktoś puszcza wodę
Do wanny nade mną
Słyszę plusk

Potem wrzask
Na ulicy poniżej
Leży ktoś

Zgasł
Policyjny reflektor

Nad drzewami
Central Parku

Brzask.

grudniowy żart

Edkowi Z.

wysypali z budy w śnieg
nocą w środku lasu
otoczyli psami

szczękają zamki automatów
i zęby ze strachu
klękamy

a chamy w śmiech:

pooo-wstań!

siii-kaa-myy!

pięćdziesięcioletnia

matka trojga dzieci
w Polsce próbuje
szczęścia w Kanadzie

lewy paszport
lewe małżeństwo
lewe żydostwo

praca na czarno
piwnica bez okna
czarna rozpacz

ktoś ją namówił
ktoś jej obiecał
ktoś jej nie chce

patrzący na góry

siedzi nad kartką
przez okno
patrzy na góry

w porannym słońcu
lśnią jak tarcze
przed bitwą

nerwowość wiśni

zaczyna padać śnieg
kwitnące wiśnie w popłochu
zatrząskują pączki

tymczasem śnieg
nim dosięgnie ziemi
zamienia się w deszcz

Żurakowski

Stary pilot
naprawia łódź.
Przelatuje samolot.
Nie unosząc głowy
patrzy na cień skrzydeł
sunący po wodzie.

* * *

niebo
pulsujący ocean
zaorany kopytami widmowych rumaków
jest mekką podróżników
pielgrzymujących w sterowcach z mgły
trochę tylko gęstszej od nich samych

ich podróż jest pogonią
za potarganymi grzywami
ginącymi za horyzontem
rozedrzanym loskotem tysięcy kopyt

ich rzeczywistość jest lżejsza od powietrza
bo to co wiązało ich z ziemią
już dawno jej oddali

* * *

stare osiedla mają długie brody pajęczyn
i pogmatwane włosy zarośli
przycupniętych w cieniu wielkich drzew
jakby chciały ukryć wielkie tajemnice
mądrość na którą nikt nie ma już czasu

czasu który targa bezlitośnie
ich ubrania z pociemniałego drewna
i byle jak przyklepanej papy

dla którego nawet święte światło
dojrzałe jak jabłka które pieści
jest tylko przeszkodą w pędzie

* * *

jabłoń co broniła się przed wycięciem
czerwienią wystaranych jabłek
która krzyczała swoje jestem
miedzy dostojną wierzbą
a powabną czereśnią

i jarzębina
ze zbrojnym zastępem
wpatrzonych w nią bez pamięci bżów

i wiśnia
z głową pełną pomysłów
których nie pomieściłoby powietrze

i śliwa złotousta
mądra podróżniczka
stara królowa

są już tylko cieniami
które ziemia nosi z przyzwyczajenia

a my
kiedy wreszcie zrozumiemy spokój
z jakim sosny patrzą w słońce
nie liczymy na to
że ktoś zdążył przyzwyczać się
do naszych cieni

* * *

noc jest peleryną świetlistego olbrzyma
przemierzającego stępy siedmiomilowymi krokami
których puchowy łoskot niknie w szumie traw

olbrzym ma kaptcie z chmur
i oczy z gwiazd
a w świecącej szklanej kuli
którą niesie przed sobą
podobno widzi przyszłość
kiedy przechodzi na drugą stronę ziemi
widać jeszcze przez chwilę
jego rozwiane rude włosy

tylko wiatrom wyjawia powód
swojego marszu w nieskończoność
dlatego przykrywają nas cieniem jego peleryny
żebyśmy nie utonęli w absolicie
i biegli jak mróweczki swoimi małymi ścieżkami
szczęśliwi że mamy nasz mały czas
kres
sens

* * *

jesteśmy delfinami
pląsającymi w przesiąkniętym światłem oceanie powietrza
pół kroku przed dziobem fregaty czasu
otchłań przed nami jest placem zabaw
oplatamy się
ciągle jeszcze nieco zdziwionymi spojrzeniami
pełni ufności w nasz największy skarb

to dobrze że mamy siebie
i te pół kroku przed światem

za słowo
słowo
za gest
tylko gest
a w serce
nóż
aż do rękojeści

*es ist eine alte
Geschichte,
doch bleibt sie
immer neu...*

latorośle naszych rąk
splątały się w uścisku
zrosły na wieki
tak lekko
na dłoń
przez dłoń
przechodzi dzień
jasny uśmiech
i wiatru szept
cicho skrył się
we włosach
pozwolił im falować

włos o twarz
delikatny dreszcz
głęboko utkwiał
we wnętrzu
cykających serc

dmuchawiec

wśród łąk kolorowych
szukałem ciebie
barwnej jak kwiecie
i znajduję
rozwianą
jak nasiona
dmuchawca

i jesteś
w każdej cząstce
łąki
wśród traw
i w powietrzu
unoszona przez wiatr
w nieprzebyte
obszary życia

* * *

po drugiej stronie świata
wszystko zmienia się w sen
tak lekki jak biały puch
z łabędzich piór

po drugiej stronie świata
życie zmienia się w chwilę

chwila staje się trwaniem
i trwa nieprzerwanie

ku drugiej stronie świata
zmierzają zbłąkani wędrowcy
pielgrzymi w ciemną noc
znający prawdy swojej moc

Zapomniana uliczka

I

W zapomnianej uliczce zegar ciągle tyka.

Pod numerem pierwszym domek okrył się winoroślą.
Oknem wygląda stary pocztylion.

Oparł się na trąbce zapatrzony w lata
osypane śniegiem, skute tęgim mrozem.
Z tabakiery wysypały się drobiny wspomnień -
jarzą się w fajce nabitej machorką.

Wypłowiłe postacie brną ubitym traktem,
spieszą na dworzec z towarową rampą.
Spopielaly horyzont drga linią smutku
rozjaśniany przeblyskiem zorzy polarnej.
Lokomotywa rusza ospale, ciężko dyszy
ciągnąc długi skład wagonów bydłecych.
Torem pamięci biegnie pleban z krzyżem
gubiąc paciorki drewnianego różańca.
Pociąg tułaczy przyspiesza, pędzi,
po chwili znika za sosnowym matecznikiem.

Pod numerem pierwszym zamilkła trąbka.
Ze skórzanej torby wypadł list bez adresu.
Na dachu usiadły pocztowe gołębie,
gruchają opowieści niedokończone.

II

W zapomnianej uliczce zegar ciągle tyka.

Pod numerem parzystym płonie kaganek oliwny.
Nauczycielka pochyliła głowę na poźółkłą fotografią
krusząc wspomnienia wysuszonym liściem.
Unoszone wiatrem odlatują za rzekę,
gdzie ulicą idzie diabeł z żelaznym piecem -
pali resztki ludzkiego sumienia.
drzwi domu Pan naznaczył troską,
podaża śladem krwi po ubitym śniegu,
okiennicą domyka dziecięce portrety,
za kominem ukrył literki alfabetu.
W kufrze książka z ulubionym wieszczem
przedziela dwa światy smugą światła.
W pustych źrenicach przegląda się niemoc
niczym zjawa z dymu i ognia wyklęta.
Pod powieką pulsuje okaleczony pejzaż.
Brzask rozbudzony dźwiga bóle porodowe.

Pod numerem parzystym knot zachłysnął się dymem.
Zmierch w lustrze skręca cień wiotkiej brzozy.
W doniczce róża uroniła kroplę rosy.
Głoski krzyczą białym wierszem.

III

W zapomnianej uliczce zegar ciągle tyka.

Numer nieparzysty wyblakł chłostany deszczem.
W fabryce bez okien pracują tkacze.
Krosna dudnią potężnym łoskotem.
Nicielnice wznoszą się i opadają,
przesmykiem domykają wymyślne desenie.

Różnobarwne nawoje rozwijają nić życia
biegnącą przez cztery pory roku.
Plastykowa wzornica szumi i zgrzyta
skażając tkaninę przeplotem, zgrubieniem wątku.
Na brzegu sukna pojawiła się gwiazdka,
skryła się pod wałem i na zawsze zgasła.

Pod numerem nieparzystym błysnęło ogniem,
zamilkły maszyny, usnęły latarnie.
Tkacze odeszli na chleb tułaczy
zabierając w drogę rozwichrzone myśli.

IV

W zapomnianej uliczce zegar ciągle tyka.

Kuźnia bez numeru sypie skry szczerozłote.
Nad kopytem końskim pochylił się kowal,
przybija podkowę zlaną ludzkim potem.
Miechy wolno dyszą rozgrzanym powietrzem.
Palenisko żarzy się krótkim płomieniem.
Sękata dłoń trzyma bryłę żelaza
objaną ciężkim kowalskim młotem.
Od świtu do zmierzchu jęczy kowadło
przypalane rozżarzonym stopem.
Bramą życia odjechały wozy drabiniaste
unosząc kapelusze nasiąkłe starością.
Za horyzontem dławi się echo -
milknie pożegnalne ciche rzenie koni.

Do kuźni bez numeru już nikt nie puka.
Komin zachłysnął się gęstą sadzą.
Rozpadły się miechy, wygasło palenisko.
Kowal wyruszył na szlak gwiazdzisty
w poszukiwaniu złotej podkowy.

V

W zapomnianej uliczce zegar ciągle tyka.

Nokturnem potoczyły się ludzkie losy.
Wspomnienia błądzą uliczką umarłych
niczym płóche efemerydy w przemijaniu.

Nad wiekową lipą wiatr nadal szumi,
zagląda do ogrodu, gdzie kwitną żonkile.
Dziecko stąpa niepewnie chodnikiem,
zaplątało się w złotą nić promieni słonecznych
i przysiadło pod drzewem mocno zadziwione.
Na wysokiej topoli ptaki wiją gniazdo.

W zapomnianej uliczce zegar ciągle tyka...

Ramię w ramię

Zło nie walczy przeciwko dobru,
walka jest dopowiedziana,
a serce jak dzwon,
pomieści wszystkie zająknięcia.
Musimy stanąć w obliczu tego co odchodzi
ścieżka nieba powraca
potrzebując rozstrzygnięcia
zmierającego do komfortu,
aby zaczerpnąć
esencji duchowej,
tkwiącej w rzeczywistości jako próg nadziei,

smuga cienia
zamknięty w chmurach orzeł

Złudzenie to szerokie pole
na niezborne czasy
ramię w ramię.

Zło walczy ze sobą
i ścieżką nieba odchodzi
biały koń udający czerń.

* * *

(...)

I otwarło się
niebo i usłyszałem
głos
I pękło serce
i nastąpił
zgon.

(...)

Krew
Kość
My
Proch
Nicość.

(...)

Złożyłem dłonie
do modlitwy
nareszcie
do czegoś
się przydały

Kiedyś próbowałem
włożyć na siebie
inną twarz
stać się doskonałym
nie
udało się
zrozumiałem że jestem tylko
człowiekiem.

alter ego

Po kryjomu wychodzi
w noc,
zamienia się w szpiega,
odwiedza
domy miłości i śmiechu;
to tylko taka gra - powtarza.

On potrzebuje jeszcze
stoczyć się na skraj nocy
trzymając w rękę brudną pierś
i niebezpiecznie
zaśmiać się
królowej prosto w twarz;

zamiast czerpać
z głupiej miny
i uśmiechu,
którymi wypełnia
puste wspomnienia.

jeszcze żywi modlą się
Hiob układa się do snu
zapomina o cierpieniu.

Listy

MARIANNY BOCIAN DO JANA LEOŃCZUKA

Publikujemy fragment epistolografii z lat 1992 – 1998. Zdecydowaliśmy się przekazać do druku część listów, wprowadzając – jak nam się wydawało – konieczne opuszczenia i tożsamość niektórych osób ukryliśmy pod pierwszą literą nazwiska. Pełne wydanie listów, miejmy nadzieję w nieodległym czasie, wymusi niejako przywrócenie wersji pierwotnej i opatrzenie ich komentarzami.

Kilkadziesiąt listów skierowanych do Jana Leończuka jest świadectwem czasów, w których jedna z najwybitniejszych poetek Nowej Fali boryka się ze straszliwą chorobą i trudnym losem pisarza. Diagnozowane procesy tzw. transformacji i postawa moralna wielu twórców i decydentów ówczesnego życia społecznego i politycznego – stają się szerszym tłem dla ukazania polskich przemian po roku 1989.

Marianna Bocian (1942 - 2003), z wykształcenia filolog i filozof, przez wiele lat pracowała w bibliotekach Wrocławia, zajmowała się również pracami redaktorskimi, pisywała recenzje naukowe, ale przede wszystkim była poetką i niekwestionowanym autorytetem moralnym w środowisku pisarskim. Debiutowała tomem wierszy „Poszukiwanie przyczyny” pod pseudonimem Janusz Betrzycki, wydany nakładem Ossolineum w 1968 roku. Ukazały się drukiem m. in. „Wieża Babel pospolita” – wiersze (1972), „Narastanie” – wiersze (1975), „Strzępy fotografii” – wiersze (1977), „Proste nieskończone” – wiersze (1977), „Na marginesie historii Marsjasza i Apolla” – esej (1978), „Przestrzeń w poezji konkretnej” – esej (1979), „Actus homini – wiersze (1979), „Odejście Kaina” – opowiadania (1979), „Ograniczone z nieograniczonego” – wiersze (1982), „Odczucie i realność” – wiersze (1983), „Przebudzeni do Życia” – powieść (1984),

„Spojenie” – wiersze (1988), „Stan stworzenia” – wiersze (1989), „Narodziny słowa” – wiersze dla dzieci (1991), „Z czasów jedni jest JE-STEŚ jestem” – wiersze (1991), „Gnoma” – wiersze (1986, 1992), „O ukrytych nurtach w polskiej literaturze. Ostatnia rozmowa z Joanną Salamon” – wspólnie z Erykiem Ostrowskim (2003).

Marianna Bocian była też wybitnym teoretykiem i twórcą „poezji konkretnej”. Pozostawiła w dorobku twórczym wiele pozycji redakcyjnych, a przede wszystkim wierszy i prac krytycznych, które czekają na życzliwego wydawcę.

Jan Leńczuk (1950), poeta, tłumacz, adresat listów

14 grudnia 1992

Drogi Janie,
naprawdę jestem zmartwiona Twym milczeniem. Czy w czymś Cię obraziłam? Czy, aż tak braknie Ci czasu? Zaprawdę niepokoję się! Swego czasu, prosiłam redaktorkę z „Astruna”, aby Ci przesłała „Antologię – „Okruchy chleba”, w której, uzupełniając, włączyłam Twoje, piękne teksty! Czy otrzymałeś, czy książka dotarła?

Przesyłam „Gnomy”, wydane w części, z kieszeni przyjaciół! bo innych wyjść na razie nie ma! Jestem ciekawa, jak Ty żyjesz w tym antykułturowym czasie?

Życzę Tobie i Najbliższym
przede wszystkim Zdrowia
i Sił Ducha Świętego

- czekająca na list
Marianna

Drogi Janie,
widzisz, mnie też ciężko o pewnych sprawach pisać, ale nie dlatego, że Tobie i innym nie ufam, czy, się boję (bo w wielu, którzy ujrżeli prawdę „o opozycji”, wrócił lek!)! Nigdy tak, jak teraz, nie byliśmy zagrożeni i rozbici, zatimizowani. Przecież wiele ustaw ... jest wyraźnie antypolskimi. Tak. To była „gra”, i przechwycenie kapitału! To ... była „opozycja sterowana” pod nadzorem! I, myślę, że L., była od początku (ja za blisko byłam, by tego nie widzieć), tym, kim jest teraz! Rzeczywistą opozycję, która się ujawniła w ok. 79/80 ... już się z obrębu władzy wyeliminowało, tak samo jak cholernie inteligentnie „zrobiono odwet na pisarzach”, którzy zrobili ... rzeczywisty rozruch w myśleniu, przez ... odebranie rent, wyzbycie pracy (inny tylko rodzaj wytłumaczenia), uniemożliwienie wydań, czy sprzedaży (po prostu hurtownie z o.o. nie przyjmują książek pisarzy, wedle starych list cenzorskich, w tym emigracyjnych pisarzy). Są jeszcze inne przecieki, z ... czy Ty tego nie wiesz, czy nie zauważasz, z czasopism, których redaktorzy byli i ... chyba są, cenzorami! Kto sponsoruje ... ten dyktuje. Kto sponsoruje „Twórczość”, a kto „Odrę”? A, jak myślisz, czy J., to „Opozycja”? No ... Janie, ja nie raz widziałam pałkowicza w cywilu z upiętym znaczkiem „Matki Boskiej” i „Solidarności”. A chcę ci donieść otwarcie, że już w ok. 85 roku, wielu, blisko stojących Frasyniuka ludzi, było przekonanych, że to „wtyka”. Ja się przyjaźniłam z Kisielewskim ... i co On mówił o K. i M., to dech zapiera, i chyba nie „cierpiał na obsesję szpicli”. To myśmy wespół-zespół, wynaleźli tzn. posłużyli się historyczną już zasadą zdzierania masek, które ... były po raz któryś wedle starej metody „zakładane”! Wiesz, żeśmy zauważyli, że te „główne wtyki” obalały tylko komunizm (jak ich kamraci ongiś tylko carat), ale gdy podało, że chodzi o przewyciężenie okupacji sowieckiej, tupali, pluli, że to „nacjonalizm” luboż szszszsz-ooo-ww-iii-nizm! Co Ci to przypomina? Bo nam z Kisielem (i nie tylko), to przypominało ... rok 1918, gdzie, raczej kiedy ... międzynarodówka była przeciwna niepodległości, a zwolennikiem ... tego, co stało się po 45 roku! Janie,

to tą kartą grano w „podstawionej opozycji”, którą ... jak wszystko, poznaje się ... po owocach. A kto to są Ci z (...)? Skóra cierpnie, bo Kapitał – jak się o tym wie – to coś groźniejszego w podbojach od militariu, bo to właśnie kapitał, steruje militariami! To są bardzo – nie wolno emocjonalnie tego lekceważyć – inteligentni ... oprawcy! a nie jak niektórzy myślą, że „popelniają głupotę”. O nie! Mało kto zauważył, że Mazowiecki (za niego!) uderzono w rolnictwo ... i odczekano parę ... tylko miesięcy, by uderzyć w kulturę i oświatę! Dwa fundamenty dla wszystkich narodów (bez wyjątku, w całej historii powszechnej)! Ja mam nie do Boga, ale do polskiego Epis. cichy żal, że tego, nie nazwała ... po imieniu 2 lata temu! Janie, no rozejrzyj się wokół, na ile jest prawdą to „że pierwszy garnitur PAX-u nie obsadzał Piasecki, tylko KGB”; jeśli tak (bo o to chodzi!) to chyba nie trzeba – tu nie popełniano błędów – gmerał w kartotekach, i cholera ... ludzie, w tramwajach to mówią! A co Mazowiecki pisał już po 56 r.?! Kto liczy na zupełny zanik pamięci? Chyba nie wolno twierdzić, że „wszyscy kłamali”, bo nie tylko – co, za ewangeliczna uczciwość na dwu nogach – Kisiel, ale nie tylko Świrszczyńska – mówili jak to w 55 roku stalinowców – pisarzy „wezvano do Partii, która nakazała im „odwilż”, i ... Ważyk pierwszy zaczął! Tak, było! Przecież, w Łodzi stałam w kręgu, obok prof. Skwarczyńskiej, stała też Pogonowska Anka, która ze śmiechem opowiadała, jak Woroszyński z pistoletem w ręce „udzielał jej rozkazów” i co ma wyklądać! Janie ja sama w latach 70-tych, „sprawdziłam” W., który ... był ... szczerzym okiem w podziemiu! I teraz ... przemyśl sam pewne „fakty”, a przede wszystkim to, „jacy opozycjoniści okleili Papieża”? na spotkaniu z twórcami! Nie piszę Ci tego, byś dygotał (to tylko strata życia, którego mamy niewiele), ale po to, by się zastanović, jak się zintegrować by nie została dobita do końca polska kultura, literatura! które – zauważ! – albo są zohydzane w oczach społeczeństwa, albo inteligentnie N I E Z A U W A Ż A N I E! wedle – tu rzecz pewna, bo od byłych cenzorów (którzy nie bez powodu! boją się mówić, więc szepczą w ucho!) wiem – wytycznych cenzury! Jak to się robi? Ano tak, że gdybyś ... teraz napisał esej o mojej poezji ... to Ci tego rzecz pewna w „Twór.” nie przyjmą! Ja ostatnio rozmawia-

* Wiesław Kazancki

jąc z wieloma, naprawdę utalentowanymi ludźmi, ukulam powiedzonko: „Poznacie ich, po składanych wam propozycjach”. Janie, toż to nożownicy! wprost mówiący „o kim dobrze pisac”, a o kim „nie przyjmą ani słowa” i to tu, wyziera widmo cenzury, realizowanej kapitałem! Ale, o tym, to (Wiesiek* nawet w wierszu to rzekł) wiedziano, że „Dolar jest żandarmem”! A, co, nie jest?

Czy rzeczywiście, uda się im ten rodem z piekła zamysł? Janie, to nie jest tylko sprawa „braku pieniędzy” (choć sam widzisz, ja też, bo wiesz, gdzie się urodziłam i gdzie, wiele miesięcy spędzam - narastające zakresy ... już nędzy, ale zauważ, że kasyna gry są pełne obywatele polskich, którzy potrafią przegrywać po 100 milionów, i nie płaczą!), lecz wytwarzana (jak?) wzgarda polską książką, że nie ma zainteresowania nawet antologią o chlebie! ani wśród intelig. wiejskiej (jeśli takowa istnieje), ani w obrębie, nawet przykościelnym. Nie wiem, czym dla samej Wiary, skończy się zanik powszechny szacunku do czegokolwiek, i kogokolwiek, wiesz, że podejrzewam, że gdyby teraz przyjechał Ojciec Święty, to by część ... gwizdała?! I ... wcale, nie musiało by to być „nakręcane”, byłby to przejaw narastającego, groźnego zjawiska – brak wpajanego szacunku do ... chleba, domu, ojca i matki, ziemi ojczystej, i ... do religii, (często przez samych wierzących się ujawniającego). Na ten stan pracowano dziesiątki lat, ale NIC nie uczyniło się, by ten stan określić i go eliminować, choćby w samym szkolnictwie! Janie, ja w tamtym roku pojechałam do Matki, i Czemiernik, w których dyr. szkoły podstawowej jest mgr prawa, bardzo rzutki człowiek i on zakupił 150 egz. Antologii i 50 egz. „Narodzin słowa” z fun. komitetu rodzicielskiego, pięknie dzieci się bawiły na 3 spotkaniach, dzieci ... miejskie, ale bardzo otwarte, bo tam są jeszcze nauczyciele naprawdę ich uczący! I przyszedł w średnim wieku ksiądz uczący religii. No, uścisnęliśmy sobie ręce, ja z radością rzekłam w te oto słowa: „Proszę księdza, nareszcie ukazała się Antologia, wzbudzająca szacunek do chleba, z wierszem, śpiewanym na Boże Ciało”! Ksiądz popatrzył, nawet nie wziął w rękę i odrzekł: „A, to jest niepotrzebne do zbawienia człowieka”! Janie, mną zaczęło trząść i bez złości rzekłam: „No, kapłana Chrystusa, to nie tworzy sutanna. Wzgarda poezją jest wzgardą Słowem Bożym”. Szczerwień! jak burak! i ... bez słowa, wyszedł. Ksiądz ... który pocho-

dzi też ze wsi! I – nic tu Janie nie odkształciłam! – co Ty na takie coś, byś zrobił! Prymas będąc w Londynie ... widział tę antologię, i był zachwycony, ale ksiądz uczący religii w Czemiernikach, nie uszanuje nawet tej poezji, która jest włączona do liturgii. Nie ... nie, złośliwie, bo myśmy doszli z kierownikiem szkoły do takiego wniosku, że to jest przejaw długoletniego odkształcania poezji, jej funkcji! Pewien natomiast etnograf, „zapiał” z radości, jeśli chodzi o Twój tekst (ja też go lubię!), bo ponoć jest to jedyny (ja na tym się nie znam!) zapis w którym ujęto, utrwalono ... ponoć od „czasów pogańskich” piękny symbol (nie tylko związany z pragnieniem oddalenia głodu, choć i to wchodzi w rolę) prośby ... o błogostawieństwa Boga Stwórcy! To ... znali tylko Polanie! To nie przeszkadzało, włączenie „świętości chleba” z poprzedniej (nic, albo prawie niewiele zostało zabytków, tak wyniszczyli jezuita, z I zakonu, który rozpirzył sam Papież) religii, w układ chrześcijaństwa! Samo określenie – zauważ jakie to jest piękne! – „Z-Boże” (to coś więcej niż „nasienie”, czy ziarno!), wywodzi się ... albo raczej rzutuje na naszą przeszłość. Ja, mimo zmęczenia, i guzów, nie zamierzam „wierzyć”, że ów Kapitał (bo to wchodzi w rolę), w miejscu Boga, stanie się dobrem! Nie – doprowadzi do pogromów, i na to, powoli się w całej chyba Europie zanosi! Jedynie, rzeczywista przyjaźń umożliwia, bycie ... poetą! Ja, to głoszę na każdym spotkaniu! Bo, naprawdę, gdyby („każdy dał ile mógł, ale dał z serca”), nie przyjaźń – nie wydałabym „Gnomów”, powoli pomagają mi rozprowadzić „Narodziny Słowa”, które jak ktoś kupi jest zadowolony, ale ten tomik ma fatalną okładkę, i dlatego „nie rzuca się w oko”. Myślę, że istnieje coś realnego, choć nie znajduje nikt, bo nie znajduje (może to i lepiej) odpowiednich określeń, co zwę Opatrznością, i nie ma sensu „drzeć” że zginie-my, lecz, czynić, chcieć czynić najdrobniejsze dobro! To jest możliwe! tak samo jak możliwa jest życzliwość. Dlatego, pamiętajmy o sobie, choć może już nas nie będzie stać, nawet na ... odwiedzin! To nic. Przestrzeń nie dzieli, to co innego ludzi, czyni ... obojętnymi! Ja też, Janie, mam (ja, doskonale Cię rozumiem, bo my mamy gdzieś podobne losy, płasając między oborą, widłami, grabiami, domem ... i Księgą!), więcej niż trudne doświadczenia – Mama, zapada się ... w grób! i – nic mnie tu nie uwolni! – muszę z nią być,

bo to ... kręgosłup w dwu miejscach przelamujący się (dyc nie od leżenia, ani tańcowania – wiesz, jak Baby (piszę z dużej) z tego pokolenia tyrały)! I siedzę ... w Bełżęcu, a do Wrocławia wpadam ot na 2-3 tygodnie. W tym nieszczęściu ... jest to za daleko, i to mnie, wykańcza, biologicznie! + finansowo (odebrali mi rentę!) Widzisz, to, naprawdę jest trudniejsze – zresztą one to same najlepiej wiedzą! – niż wychowanie dzieci, które przynosi radość, tu co uczynimy jest bezskuteczne, ale świętym jest to obowiązkiem! Ja, nie czynię Ci zarzutów, żeś nie pisał, tylko ... byłam zaniepokojoną – zrozum to! – i teraz, odetchnęłam, żeś mało, że tworzył, to pokonał „sień”, i wydał! To mi przyniosło radość! Więc ... od czasu do czasu, Janie westchnij do Boga i za mnie, i ... choćby kartkę wyślij! Jestem ciekawa jak Basia żyje, a Dzieci, to pewnie piękne są! i porządnie wychowane!

Życzę Wam wszystkim Łask Bożych
z pozdrowieniami

– Marianna

*

31 marca 1993

Drogi Janie,

nie wiem sama, jak pisać po Twoich przeżyciach, by już nie rozdrapywać ran! Sam wiesz – bo tak to jest – że w sprawach śmierci Najbliższych (chyba nie tylko) nie ma żadnego pocieszenia, to musi przez pewien czas „wyboleć”! Ja, jestem – coraz bardziej jestem świadoma, choć wiesz, że tego nie sposób dopuszczać w myśleniu – przed tym właśnie, coś przeżył. Moja Mama, cierpi na kręgosłup, no wiesz, nie od leżenia, czy balowania, jej się wykrzywił, lecz pracy, z której byliśmy okradani aż do teraz! Jaki człowiek był miejscami śmieszny ... nieraz narzekałam, że musiałam pomagać (w zasadzie, to żadnego urlopu nie miałam) w polu, ale ... Ona tam z bratem pozostawała, zadowolona, że już w polu zrobione! Teraz, dopiero przeżywam duszący ból, bo, co zrobić, to jest już bezskuteczne! Jej się nie da, nigdzie przenieść, chciał ją starszy brat zabrać na jakiś miesiąc do Lublina, nie chce, płacze! a sama już goto-

wać nie może, więc, tak się zmieniałam z siostrą, bo ktoś musi być z nią, bo brat ... to (sam nie wyrabia już w oborach, a jak przyjdą roboty, w polu?) wiadomo, matki nie dochowa, nie dlatego, że nie ma serca, nie! Dranie odebrali mi rentę twórczą i zniżkę. Więc, muszę sobie – a i to coraz trudniej – dorabiać, mimo że jestem ascetą, ale z renty, po opłaceniu, nie starcza mi na zwykłe jedzenie. Niech mi nikt wody sodowej z mózgu nie robi, bo ja wiem, od byłych esbeków, że odebrali twórcom renty ... by drugiego podziemia nie robili, to był odwet! Czy to Janie, nie przerażające? Co robi się z rolnictwem, to nie jest tylko „głupota”, to jest coś gorszego! Coraz bardziej zło wzrasta, i myślę, że jeszcze przyjdzie – nie wierzę w żadne pokojowe uregulowanie ... spraw w Europie! – pa-trzeć, na coś podobnego jak w Jugosławii, co zreszto, jest wypro-rokowane! Jak zanika człowieczeństwo, a dochodzi do głosu, zbe-stwienie! Nie wiem – bo rząd co robi, to widać – na co liczą lu-dzie? A może to dopiero teraz się ujawnia, jakich spustoszeń w umysłach i sercach, dokonała komuna> No cóż, co było rzeczy-wistą przyjaźnią (jakie to jest niezawodne uczucie!) to pozostało, reszta ... złudzeń opadła i ... z ludzi, wyziera ... jakaś nieludzkość! jakaś wgardliwość do wszystkiego – zauważ! – co jest dobre w kulturze, co tych „drani udających opozycję” wyniosło ... do rzą-dzenia! Wierzę, że jednak Bóg obwarował ciągłość życia, pewnymi granicami, poza którymi, wszystko, co zwyrodniało z własnej winy, musi – i tak zawsze było – zginąć. Staram się czynić najmniejsze dobro, a jaki ono wyda skutek, nie mnie dociekać! Gdybym miała inną sytuację rodzinną, to bym wróciła do szkoły, i to podstawo-wej, uczyć, porządnie – Janie! – uczyć dzieci, bo to zostało zaprze-paszczone w naszym nieszczęsnym kraju.

Janie, Tobie i Rodzinie (Boże, pewnie Dzieci
Ci podrosły!) pragnę z całego serca
życzyć pogodnych Świąt Zmartwychwstania
z bólu, odzyskania pogody Ducha Św.

- Marianna Bocian

Drogi Janie,

wrzuszyłeś mnie swą „kresową” czułością, i trochę podciąłeś tą wieścią o cukrzycy. Przyrodę już tak różni „zbawiacze” rozjątrzyli, zatruli, że w zasadzie, jaki jest jej stan, taki wrak i całego stworzenia. Jeszcze w dzieciństwie widziałam 3 osoby, które odeszły na „bożą starość” bez żadnej od urodzenia choroby! Niepojęte już to jest, i wręcz nie do uwierzenia jak o tym mówią! Myślę, że już nie będzie na tych terenach takich organizmów! ze względu choćby na powietrze zatrute i wodę! Myślę jednak, że wpierwej, człowiek zatrul sam siebie fałszem, zwyrodniałą myślą, zbrodniczymi światopoglądami. Ja, która urobiłam się w polach (ac to ów pierwotny fundament żywego Boga, a nie jakiegoś maga wykoncypowanego przez ludzięnków) nie nabyłam złudzeń – jak się nie zaorze, to się nic nie odrodzi, jak się nie „zaorze” ugorów umysłów, to się i żadne odradzające myśli nie przyjmą! Tu się nic innego nie wydarzało od tysiącleci i nie wydarzy, bo to jest, prawo rozwoju życia, którego, nie potrafimy ciągle odczytać, ani określić, nawet Sedlaka teoria, w której pisze, że „życie jest światłem w dosłownym tego słowa znaczeniu” nie jest wyczerpującą, acz umożliwia szersze widzenie i zrozumienie, tego co nas otacza, ale... Życie w jego dwu fundamentalnych punktach: Poczęcie i Śmierć, pozostaje poza zasięgiem wglądu poznawczego, pozostając w Tajemnicy, a ta jest doznawana i przeżywana! Aby nie – Tobie to ja nie muszę tego tłumaczyć, bo wiem, że posiadasz dobrą wolę zrozumienia (podli nie tyle – Janie! – nie mogą zrozumieć, oni mają złą wolę, która odkształca wszystko!) – symulować jakiejś „odwagi stoików” (choć Seneka zawsze mnie zdumiewał swym „spokojem” wobec śmierci – ale „jak to było w Jego stanie, to Bóg tylko wie!), dla mnie śmierć jest Stanem Przeistoczenia (niepojętego, to fakt), będąc drugą Stroną Poczęcia! Mnie wstrząsnęła zbrodnia, która była i jest bezpodstawną! Dużo się - choć może „efekt” jest miżerny! – nażyłam, nabiedziłam, by w swej poezji, to ukazać, ku drwinie różnych pisarzyków – pistoleciarzy, którzy jak i za komunę, do dziś są porażeni, tą chorobą „wodzowania”, roją sobie, że

to oni, mogą decydować kto będzie tu twórcą. To nawet nie chodzi tylko o moją osobę, ale o samowyzywanie się ciemnych, destrukcyjnych sił, ludzi, którzy nie byli od początku twórcami, lecz oddelegowani byli do szpiclowania twórców i symulowali tylko „wierszykami”... to co robili, „opozycję” to też mieliśmy w dużej części – to się ujawniło, dosyć szybko! – podstawiona, wytresowana! Myślę, że to coś jest podlejszego od tej historycznej „targowicy” – nie wierzę, że im ujdzie to bezkarnie, jeszcze przed ich grobami! Zło w swym przewodzie (to jest przecież ukazane w odwiecznym symbolu węża zjadającego swój ogon, a więc samounicestwiającego się!), zamyka w samounicestwieniu! Ja nie zamierzam wprost wypruć swe siły na walkę z karłami wrocławskimi! którzy się odstłonili w pełni! Nie mogą „przełknąć”, że tom się ukazał! To z Wrocławia – nawet wiem kto! – zrobiono obławę, by ten tom ustrzelić! Istnieje jeszcze cenzura, tylko ona inaczej funkcjonuje! Dlaczego wielkie hurtownie nie chcą przyjąć pewnych nazwisk? Podobnie jak wielkie księgarnie? Ja „coś” wiem, od wewnątrz o tym! Nie ważne! A jak myślisz, komu to tak zależało, na rozbiciu środowiska twórczego? Gdzie była cała „wierchuszka opozycji” w SPP, gdy w odwecie, za tworzenie opozycji, odbierano renty twórcze? wręcz unieważnić usiłując układy nasze? Czy nie zauważyłeś, że – a chłop to mówi na głos! – po rzekomej, odzyskanej niepodległości pierwszy cios ustawowy, poszedł w rolnictwo (fundamenty pokarmów!) i drugi w umysł - kulturę z oświatą! Ja o tym, o sprawie „bandyckiego wyniszczania polskiej książki”, mówiłam, by coś zrobić na 1 zebraniu SPP we Wr., i zostałam „skwitowana” przez samą Ewę Sz., która odegrała farsę „niczego nie żądać od tego... męczeńskiego rządu”. No isama, siedząc przy korycie z pieniędzmi, nie zamierzała, nawet kiwnąć słowem, jak rozwalano biblioteki, zamieniając na pijackie knajpy. Nie chcieli napisać, ani podpisać protestu. Ostałam się j e d n a ... jak na ośle łąwce! Ja jak dawniej, tak i teraz, uwzg. to co kto dokonał w literaturze, i co czynił ! i nie dałam się „wpuścić w maliny”. Zresztą tu są dwa, potężne zagrożenia, ale to nie na list! Było mi i jest mi ciężko, ale wiem dlaczego! Moje życie (całe!) potwierdza, że jednak nie musiał nikt czerpać zysków z duchobójstwa, z najmu do wyniszczania kultury, bo można było nawet w najgorszych latach, za-

robić sobie pracą fizyczną! „Gnomy” to pomogli mi wydać znajomi, ale „W krę. st. ludz.” wydałam za własne pieniądze, zarobionepracą fizyczną, malowałam (nie chwalać się, by nie sprawić innym „radości” – były pieniądze z Wydz. Kult. na dofinansowanie to jedyny tom, któremu niejaka plagiatorka Szymborskiej J. na czele odmówiła, bo jakiś „tajemnicą – [dosłownie!] – objęty krytyk, odrzucił go”. Teraz... mają do mnie pretensje, że ja o tym mówię na spotkaniach ! mając ... podpisane konkretnymi nazwiskami pismo! Niech się spalają w tej ciemnej sile nienawiści, może zabraknie im sił, by bezcześcić P O E Z J Ę swymi ... psychizmaci, plagiatując kogo się da!

Nie jest znów tak beznadziejnie! Dorabiam sobie recenzjami naukowymi w „Nowatorze”, zajmując się głębiej pojmovaną sferą metodologii poznania! Ufam, że zdążę napisać esej o tym, na jakiej zasadzie poezja jest poznaniem, wyprzedzającym wszelkie inne formy poznania! Taka była – bo są tego dowody namacalne! – prawda, że w ewolucji Poezja była pierwotną kolebką, narodzin innych form, włącznie z religijnymi. Wszelkie Objawienia religijne mają wyraźnie F O R M Ę poetycką! Świętych treści, nie ujmuje się w szmatławym języku! To są te istotne problemy, na które dziś, niewiele umysłów zwraca uwagę! Zobaczymy, jak najbliższe tygodnie odsłonią co w tym moim organizmie, się będzie stawać. Po operacji, to ja się dobrze zrastam, ale... ! niewiadoma istnieje! USG, coś odsłoni!

Będę Ci wdzięczna za rozprawienie tych 10 egz. , egz. sprzedawaj za 6 złotych, to jest odzysk wkładu! Najlepiej gdybyś pieniądze przesłał na moje konto: PKO-BP IV O/Wrocław 93549-182504-170-4 ! Bądź dobrej myśli, jak ciut, ciut tu się prze-walała te badania, podlecze się, wydobrzeje, to może wybiorę się do Was! Szkoda, że ... ja z Radzyna Podl. bym miała blisko i wpadłabym (czekałam na wyniki z Krakowa) na te spotkania.

Janie – Szczęść Ci Boże !
z pozdrowieniami

Marianna b.

W Warsiawce, kogoś „zabolała” „śpiewka agenta”.

7 listopada 1995

Drogi Janie,

dzięki za przyjazne słowa! Szkoda, że ta moja „wredna” wpadka ze zdrowiem wypada teraz, jak trzeba Ci zrobić wybór i napisać wstęp. Dobrze, że mam „naczytane” Twoje dokonania, ... gorzej, jak (no zobaczymy!) podejrzewam pójdzie ze wstępem. Doprawdy, ja piszę – ale mam w tym rutynę! – trudne recenzje z prac naukowych (nawet w zmęczeniu, zawsze coś ... wykoncypuję), ale o poezji ... to nie przejdzie, tak nie wolno! Czy się wzniosę w [.....]*? Wybór tekstów to Ci zrobię i ... prześlę może – wiem, że chodzi o skład! – jeszcze w listopadzie! A wstęp ... zobaczę, bo jak by mi ... nie wyszło, to musisz kogoś znaleźć! Do rzeczy! Ja mam Twoje tomiki:

1. „Pieśń z karnawału”
2. „Zapisane ... w. z lat 1981-85,
3. „Żalnik”
4. „Duszna noc”
5. „Za horyzontem”
6. „Żertwa”

Nie mam – dlaczego? – arkuszy poetyckich „Rachunek” (1973), „W Drodze do Damaszku” (1980), „Sen odarty” (81), „Biała sukienka”. Szybko mi je podeślij. Nie mam „Zapisków” sołtysa. Parę razy pożyczałam Twoje tomiki i pewnie, gdzieś (bo nie sprawdziłam!), coś, zmieniło właściciela!

Mam 2 tomy tłumaczeń Hatifa - Al Dżanabiego, który miał spotkanie w Brzegu, na którym byłam, i czytałam teksty, bo wiesz jak Hatif, pitoli! Śmieliśmy się (ale sympatycznie!), że „Leończuk „to i owo” przetłumaczył w świetle Norwida”. Hatif nawet list do mnie napisał, na który nie odpisałam do tej pory. Nie wiem, czy w Bibl. „Oss.” mają Twoje arkusze! Dlatego ... uzupełnij mi, jak bym czegoś nie miała! Bo nie wydołę sama.

Janie, nie spieszmy się z tym wyjazdem! Na początku jest osłabienie, dołowanie, a później, to się reguluje! Ja przestałam

* wyraz nicodeczytany

już „planować” sobie ... po tym wszystkim, a nie lubię być człowiekiem niesłownym!

Cieszę się, że masz możliwość wydania (wcale nie musi być krępujące – bo to nie myśmy taką „politykę” tworzyli – wychodzenie, wyciągnięcie pieniędzy na książkę) wier. wybranych. Ja we Wrocławiu, takiej szansy nie będę miała! Żeby nie wiem, jakie spektakle zrobili aktorzy, (a Zelnik jest wspaniały!), to ... i tak, we Wrocławiu, nikt tego nie zauważy, nie odnotuje, i ... powyższymi z ludzi, to co za komuny skrywali! Były pieniądze i ... koleś z SPP – to jest nie do uwierzenia – wtrącił mój tomik, który wydałam zarabiając na robocie fizycznej, mając – a jakże! – wiele zamówień z ... radia, czy gazet ... ale za frajer! Co tym „pisarczykom” to dało, to nie wiem, chyba specyficzną radość, że mogą takie rzeczy wyprawiać. W dużej części „opozycjka” to były owe „szczury” w barwach ochronnych, które ... zbyt szybko zaczęły robić jawny odwet na tych, którzy coś konkretnego zrobili dla ludzi, społeczeństwa! Myślę, że to, czy wcześniej, czy później, będzie w prawdzie, ukazane! To boli, że w dużej części owa „inteligencja” była aż tak zwyrodniała i jest: teraz ... to chyba nikt nie może się usprawiedliwiać, że jest do tego „przymuszony”. Mnie to (rodziców również) nikt nie zmusił w tej „czerwonce” do wykańczania ludzi i kultury! Dorobili się na tym „koryt” i forsy! Ale ... czy są twórcami? Czas, zrobi swoje! Zostanie tylko to, co służy Życiu! Prawo Ducha jest bezwzględne! W to, to ja nie zwątpię nawet pozagrobnie!

Janie, wszystkiego dobrego, przyspieszajmy
roboty ... godziwie!

- Marianna

*

15 grudnia 1995

Drogi Janie,
przez jakiś cały tydzień, delektowałam się Twoimi dokonaniem, tak sobie huśtu-huśtu, przez Twoje wiersze; później zrobiłam ten wybór! Zrobiło mi się głupio, bo ... to należałoby wydać, wznowić w całości. Nie masz – jestem babą bezwzględną i w sferze ducha,

to dwakroć ta surowość wzrasta, to teksty dotyczą wszak nie twórcy, ale umysłu drugiego człowieka! – takich utworów, których byś się po latach musiał wstydić. Te pominięte teksty, mają – ja o tym wiem – swoje znaczenie i nie tyle są „gorsze”, co ich wyeliminowanie, nie narusza spójności logicznej wybranych tekstów.

Gorzej, a wręcz jak krew z nosa, szło mi z pisaniem tego nieszczęsnego opisu! Na paru stronach, to można, napisać parę nie zobowiązujących sloganów, a nie dokonać jakiś sensownej analizy! Prawda jest taka, że („ciut” Ci tu, ale nie wrednie Janie, pozazdrościłam tego niesamowitego w finezyjnej trafności wersetu) sam werset „niech język wypowie me ciało” jest, albo, zasługuje na dużą rozprawę! Żaden przeceniony (mydło i powidło ostało się po latach!) Barańczak, nie mówiąc o Zagajewskim nie dorósł nawet do zrozumienia tego „postulatu”, a tak. No ... czerwotka miała dużo czasu by się przepoczwarzyć! Czy wiesz dlaczego byłam tak zniechęconą i do dziś moje nazwisko jest wykreślane przez całą „opozycjkę” spod znaku B.? Bom publicznie i to już w ok. 80 lat, orzekła, że mamy do czynienia z „przebierańcami”. Tego, to mi do śmierci nie wybaczą! Ich to problem, a nie mój. Czy tak trudno zauważyć, że coś się tu, na naszych oczach kłębi jako antypolskie tendencje w kulturze! to się teraz rozgrywa ... w kształcie dotacji. Prawda jest aż niewiarygodna w „co się bawią” – bez większych osłonek – „byli opozycjoniści”, z K. na czele! Nie ważne! ... bo im tak już wyschły umysły, że nie potrafią „uroczyście bełkotać”, nawet już nie potrafią bełkotać. Ale już „podstawili”, nowych, młodych zwyrodnialców! którzy bagnią poezję, język polski! A nasza elitka intelektualna jest tak oglupiała, że nie jest już w stanie dojrzeć „co tu jest grane”.

Cieszę się, że znalazłeś jakieś możliwości wydania wyboru! W tej materii nie miej żadnych skrupułów!

Nie wiem, czy zaakceptujesz mój tekst, który parę osób we Wrocławiu przeczytało m.in. Stefan Bednarek z kulturoznawstwa, To co jest znaczącego w Twojej poezji od strony politycznej, nie mogłam, zobaczysz co się zacznie się znów dziać! – w rzetelności ukazać, bo ... bym mogła Ci zaszkodzić! W ogólności tak. Doprawdy, Janie, trudno mi tu się „usprawiedliwiać”, dlaczego taki, a nie inny, napisałam, wcale nie będąc, zadowoloną, tekst. Czy go,

zaakceptujesz? – Daj w tej sprawie, jak najszybszy znak. Jeśli, byś zaakceptował, to bardzo proszę, by tam jakiś „redaktor” przypadkowo nie „był mądrzejszy”, i nie uznał to za „maniryzm” niejakiej m.b. i mi nie zmieniał, pisowni, przez duże c „Człowieka” i nie zmieniał pojęcia „Istności” (też przez duże „i”). Czy otrzymałeś ... wysłaną listę ... wybranych tekstów, czy ją zaakceptujesz?

I jest jeszcze – tu musimy być szczerzy, bo nic, nas innego nie uratuje – sprawa (jeśli to zaakceptujesz!) mojego honorarium. Po tej zdrowotnej wpadce, i niskiej rencie, owszem, przydałby się jakiś pieniądz, ale jeśli to miałyby się odbić na publikacji, to nie ma sensu! No, tak! I nie powinno Ci, ze względu na łączącą nas przyjaźń, być przykro! O ... od czasu do czasu, mam ...a, jakże, propozycje napisania „pozytywnej” recenzji, ... luboż nawet grafomanom wstępu! W delikatny, i dorzeczny w takich wypadkach, sposób mówię: spierdalał z tym do wybitnej szmaty! Co za perfidia, z góry już zamawiać i określać „ocenę” bubla! Ci – no słowa hańby braknie, jak pisał Z. Krasiniński! – nie mogą uwierzyć, że w Polsce, jeszcze są niesprzedajne umysły! Są, są – ja nie jestem, na szczęście, wyjątkiem! Nie mogę przeboleć, odejścia Jana Drzeżdżona! Poznałam w Brzegu Selima Chazbijewicza, cudny to potomek Tatarów, których sowievi bestialsko mordowali, z jakąś, szatańską zjadłością! A z Kaszubami, co wyprawiano, to sama wiem, bom ich bliżej poznała chadzając do Technikum Młynarskiego (jam technik, technolog młynarski) w Krajence! A co się działo ... na Białostoczynie, toś ... sam „przelykał”. Ty, wiesz, że – to nie jest sprawą braku odwagi! – tego zbestwienia nie można w pełni ukazać? To – podziwiałam Drzeżdżona, że potrafił w swej szczeroci o tym mówić – coś od wewnątrz sumienia wstrzymuje, by nie utrwałać tego obrazu zbestwienia, które ... samo przez się jakby rozzuchwała ludzi, albo paraliżuje człowieka, ale w dużej części, zohydza życie! Niby kto po latach chce nas oszukać, jak to było? – No, ten temat to nie na list, ale wieczorne (nocy już nie mogę zarywać) rozmowy!

Ze mną nie jest tak źle. Chodzę na chemioterapię (ale nie są to silne dawki, którymi ... rozwalają raka w stanie przerzutów). Dobrze, że mam operację za sobą! Po której, nawet znośnie się czułam, dołam krowy (czekałam 2 tyg. na wyniki), oberżnęłam 3 fury rzepki, w cudnym, jesiennym słońcu, gotowałam, pochodziłam

sobie (nigdy nie miałam czasu na to!) po lesie, trochę nazbierałam grzybów, choć było ich mało, bo za duża susza była! Mam w miarę dobre wyniki, więc, może ten „bandyta” się nie wylęgł więcej, a ja „kołatnę” na coś innego. Zmartwiłeś mnie swą cukrzycą. Janie, spróbuj sięgnąć po oczyszczoną naftę, tę ze znacznikiem®, ja też ją zaczynam pić. Wiem, że niektórym cukrzykom, to pomaga! Nie wszystkim, bo każdy organizm, jest o coś inny. Podobnie jest z pićm huby brzozej, która, wyciągnęła niektórych, których wypisano z rakiem ze szpitala na umieranie. W medycynie nie ma sposobów, na dojście przyczyny dlaczego w organizmie X, powstaje nowotwór, są też inklinacje genetyczne! Zaczyna się zmniejszać w całej rozciągłości, sama odporność organizmu! Radzę Ci sięgnąć po naftę – z tym, że jeśli Ci się (weź po 2 godz. jedzenia, tu trzeba, brać ją wedle poleceń w ulotce) ... za pierwszym razem odbijać, to znaczy, że organizmowi, jest coś innego potrzebne! Janie, przy wielkich zaparciach, musi pić się rumianek, który podaje się niemowlętom, nie wywołuje żadnych ubocznych skutków. Przeżywam z tym wszystkim męczarnie. (...)

Miałabym chęć wpadnięcia do Was, ale kiedy (ileż ja mam zaległej roboty!?) Na następny zabieg powlokę się na 3 dni, 2 stycznia! Chciałabym, później na parę dni, pojechać (bo to bliżej) do Gdańska, do Bożeny Budzińskiej. No może jakoś się ugadamy! jeśli to będzie możliwe! Będę czekać na list od Ciebie!

Racz przyjąć najserdeczniejsze życzenia dla całej Twojej Rodziny na Boże Narodzenie i Nowy Rok! Życzę przede wszystkim Zdrowia i pogody Ducha!

Z pozdrowieniami

– Marianna Bocian

*

4 listopada

Jasieńku, rybeczko droga, nie nagadaliśmy w Brzegu, ale dobrze, że zjechałeś, bo parę osób, było Tobą, Twoim tomem, zachwyconych – żadnej w tym mojej zasługi nie było, bo trochę ten wybór spierdaczyłam – to część

splendoru na mnie spadło. Jak oglądam (zazwyczaj tylko to oglądam!) mapę pogody, to patrzę, co nad Leończukami wyczynia niebo i nad Bełczęcem... Dobrze, że parę dni będzie jeszcze ciepło, bo dosyć wymroziła ostatnia zima! Nie mogę Jasiu przeboleć, że taki fatalny błąd korektorski zrobiono! Zobacz co za kiks (no i bełkot!) wyszedł – w podstawie jest „Błaga, której w niezwykłym wizjonerstwie obawiał się S.I. Witkiewicz...” Bardzo Cię proszę, jak gdzieś wysyłasz egzempl. popraw, to, nic – długopisem. W ostatnim nrze „Metafory” bydgoskiej B. Budzińska opublikowała bardzo interesującą analizę „Gnomów”. Nie ukrywam, że zrobiło mi się przyjemnie. Obiecałam Ci adresy, pod który (do Paryża, wyślij koniecznie) winneś wysłać tomik! A. Vincenz jest w komisji „Kościelskich”, ale ta fun. ponoć już nie ma ani grosza, i pada! Nie ważne! Dedecius – (...) wyślij. (...)

Bardzo Cię też proszę, - oczywiście napisz ile kosztuje, to Ci wyślę pieniądze! – przyslij mnie z 3 egz., bo nieraz, są takie postaci, którym chciałabym dać Twoją poezję, ew. do zrecenzowania. Bo, ja tego nie mogę wszak uczynić. Słuchaj – wyślij 1 egz. do Bożeny Budzińskiej (...).

Może nie powinnam, bo to jest niedorobiony tekst, przesyłać Ci ... Jak Was nie było w domu, a był pies (no, podkarmiłam też sukę!) sympatyczny, to ja zaczęłam „wierszowanie”. Ty wiesz, że chyba w Lubnikach (ale nie mogłabym gadać z Wami, bo to się głowa „rozmagnesowuje”) to bym, chyba mogła tworzyć. Ty wiesz, że ja w Bełczęcu, w swojej chałupie, to nie mogę pisać? Jedynie gdzieś w polu, albo w lesie. Ja Cię podziwiam, że Ty możesz się skupić, wyłączyć, przestawić na inny rytm myślenia, mając obok Basię, i 2 rycerzy (pewnie chłopaki urosły!). Ja pisze w zupełnej ascezie, i jak się z niej urwę, Boże, jak smakują rozmowy! No to zobacz, co utworzyłam w Lubnikach (może jeszcze uda mi się coś wyszlifować!)

*za oknem tężeje mróz i przetacza śniegowa chmura nad Lubnikami
a, w ogródku Twojej Matki na który patrzą okna domu
uroczysta cisza brzęmienna w niejasne oczekiwanie
wszystko tu się spełniło i dokonało
w Jej księdze żywota
obok kwiaty wzrosły i wydały nasiona*

*których już nie zebrały Jej ręce
i, Twoja tu wypleciona w złocienie każdej jesieni
tęsknota dziecka
za Jej głosem i spojrzeniem*

*nic w ogródku Twej Matki nie przeminęło w zgubę
choć sam już dawno zostałeś ojcem i gospodarzem*

*tu będziesz ciągle dzieckiem oczekującym na ręce Matki
już ... albo jeszcze nieobecnej
które uniosą Cię w błękitne żorzę
jak korony wznoszących kwiatów
unosi bezustannie tajemnie matkująca Ziemia
by dojrzawały potencją światłości życia
by ...*

za oknem tężeje mróz i przetacza śniegowa chmura nad Łubnikami

luty 1996, w domu J. Leńczuka

Nic mi mądrzejszego wtedy nie przywiął do głowy wiatr.

Pozdrowienia dla Domowników
i co bardziej dobrych duchów
/-/ Marianna Bocian

*

10.03.97

Drogi Janie,

Pogodnych, Zdrowych, pełnych Łask Nieba i Ducha Świętego
Świąt Wielkanocnych
życzy
Marianna

Janie,

przesłałam tom Budzińskiej, by zrecenzowała. Zaniośłam jeden
do Ossolineum, bo to ważna biblioteka. Za dwa dni jadę na wieś,

bo już tam w polach sporo roboty, a trzeba kartofle już przebierać do sadzenia, bo jak tak pójdzie, to się będzie sadić na początku kwietnia.

Wszystkiego dobrego
Marianna

Pragnę podziękować za wspaniałe spotkanie ze społecznością Zabłudowa. Życzę by dobry duch i człowieczeństwo rozkwitało na pięknej Ziemi Zabłudowskiej.

/-/ Marianna Bocian

*

Drogi Janie,

Dzięki Ci stokrotnie za taką przyjaźń, za trudzenie się i nawet za tę drogę – tego to się nie zapomni, ale kto nam uwierzy? – przez las, na skróty. Autobus wyjechał z opóźnieniem, ponad pół godziny. Tak jak ja się ryplam z tą kuszetką, tak Ty, z tym rzekomym srazczem. Słowem wyszło 1:1. Sikaliśmy na głęboki śnieg. Od Wyszkowa, to wyraźnie jest mniej śniegu, a za Warszawą, to czerniały pola, a na uschniętej łące pasły się sarny. We Wrocławiu, było ciepłutko jak u Boga za piecem, za parę godzin zaczął padać duży śnieg, ale bez takich mrozów, jak u Was! O, tam u Was jest pięknie wiosną, latem, ale zimą to ... namęczycie się z tym mrozem! Dojechałam dzięki Bogu, tylko z lekkim katarem, i już zapadłam w roboty, takie drobne pilne duperele – recenzje, (na normę, bo mam ryczałt) bo zamierzam, po kroplówce, ruszyć też na wschód, ale ciut bliżej południa.

Z przyjemnością przesyłam Ci obiecane książki, wysyłam osobno, bo musiałabym paczką wysłać. Dołożyłam jeszcze w dobrym stylu pisaną pracę o Vencerzu. Ci, Twoi studenci, to powinni uwierzyć, że mogą, jeśli by tylko teraz dobrze się pouczyli, świetne rzeczy pisać o literaturze, bo są mniej skacowani, i zmanierowani od polonistów. A, tak! Jak zobaczysz Panią Wałę Kazimierczak*, to

* Walentyna Szwed

powiedz, że Państwo Bednarkowie ją serdecznie pozdrawiają, Stefan (to kulturoznawca!) powiedział, że to była wspaniała studentka, a on jest sprawiedliwy. Boże, Janie jak dobrze, że masz taką dobrą żonę Basię. Dzieci też, tylko zlituj się, i ciut, ciut skróć im to siedzenie przed telewizorkiem, bo to otepia, właśnie w tym wieku. Mam nadzieję, że powoli będzie nadciągać i nad Wami cieplejsze słońce, myślę, że się przełamie po pełni księżycowej, za jakiś tydzień. Nie wykluczone, że chłopcy mogą pod koniec marca siać owsy. U Was ciut może później, bo to jest północ, i jest różnica! Jeszcze raz pięknie dziękuję,

łączę serdeczne pozdrowienia dla Basi, Jaśków
(już tych dwóch) i Antosia

bądźcie Zdrowi
Marianna

5 marca 1996

*

23 sierpnia 1996 r.

Drogi Janie,
cóż za radość, po powrocie ze żniw i sianokosów, że masz już i to pięknie wydany. Znakomita jest okładka, gorzej przedstawia się wstęp niejakiej m. b. Mogłam chyba – ale nie wiedziałam, czy mają na tyle pieniędzy – go trochę rozbudować. A już nie mogę sobie wybaczyć – ale to w części przez tę cholerną chemioterapię, silne w pierwszej fazie dawki, które w jakimś zakresie i rzutowały na myślenie, na pewno go nie upotentjalniały, ale chwalmy Boga, że jakoś się jeszcze kotulałam od świtu po noc po polach, z grabiami luboż widełkami – tej sprawy z tłumaczeniami. Dobrze, że to uczyniłeś. Jeszcze nie przeczytałam, bo rano wczoraj przyjechałam i odsypiałam zmęczenie, ale nie mogłam wytrzymać i jednym cugiem przeczytałam „Zapiśnik”. Jest to świetna rzecz, i wzruszająca. Jakąż sztuką jest ukazywanie – bękarty tego nie pojmy! – normalności, rzeczy namacalnych, realnych, acz tragicznych. Nie mam złudzeń, że w sztuce albo myślisz i odnawiasz przez to samo obraz prawdy, albo bezmyślność – jak u (...) – wyradza się w pusto-

słowie, za co język nie ponosi winy, lecz łeb bezmyślny, projektu-
jący dewiacje umysłowe! Jakież u Ciebie gąszcz faktów i znaczeń.
Leończuk jesteś robodem „winnicy Pańskiej”. Słuchaj, z tą istną fa-
lą antyreligijności w Polsce, to sprawa zorganizowana, to głupi by
spozrzegł, i robią to ci, którzy robią „kariery” na wytykaniu anty-
semityzmu Polakom. Tę korbkę to kręcił amerykański rabinat. My-
ślę, że Bocheński miał rację, że raz a dobrze, wyleczą tym podłym
zniesławianiem narodu polskiego, z jakiegokolwiek sentymentu do
siebie. Jakby zapomnieli, że Europa wytłukłaby ich – pamiętasz co
robiono w Hiszpanii? – już za Kazimierza Wielkiego, że jedynie
Polska udzieliła im pomocy, ale tu powtarza się idealnie przypo-
wiesć o źmii. Mało, od kiedy to chrześcijaństwo jest – zauważ co
oni wygadują wręcz szantażując samego papieża! – pomawiane o
antysemityzm? To – ja tu nie mam złudzeń, dochodzi do głosu zła
karma, za którą zapłacili wielokrotnie; a czy nie zapłacili za wy-
rżnięcie, zniszczenie całego narodu egipskiego? A jaki Bóg Stwór-
ca, kazał im – prócz ciemnego maga Mojżesza! – łupić złoto świą-
tyń egipskich, wynosić „święte księgi”, które poprzerałiali, niszc-
ząc oryginały? Czy tak trudno ujrzeć, że Chrystus narodził się w
samym jądrze ciemności zwyrodniałej, ówczesnej religii? Jeszcze
się nie wyleczyli z obłędu dążenia do rządów całym światem, choć
parę razy dostali po pazurach. To czym się popisali na zbiorowej
mogile w Oświęcimiu – czy nie budzi odrazy? To tu coś wylazło
gorszego od szowinizmu! Niech nie liczą na naiwność – Janie, sa-
taniści tę sektę zorganizowali w USA (a przez kogo opłacani są, bo
nic za darmo!) jako bojówki antychrześcijańskie! i niektórzy polscy
gówniarze o tym mówią, że dostają dolary. A kto i po co stworzył
(...) Sprawa jest zaiste „piekielna”, ale jedynie rozumną prawdą
można ją opanować. Zauważ z jaką zajadłością ruszyli do zniesła-
wienia Polski, Ci, którzy tu ocaleli. Czy inne prawo, owa – ja wie-
rzę, że ona istnieje i się idealnie przejawia tylko na dłuższym cza-
sie – sprawiedliwość Boża ich za to nie spotka? Oni nawet już nie
mówią, kto rozpetał II woj. światową, mając na języku do kogo za-
rzuty? No, za tym się kryją jeszcze wredniejsze sprawy. Kto usiło-
wał „rozrobić” najpierw Niemcy, a potem, to co zrobili w Rosji, z
tą „rewolucją”. Czy Ty nie zauważyłeś czegoś niesamowitego, w
owej niekończącej się „sympatii” USA do Rosji, prócz rządów Re-

gana? Ba, to jest podtrzymywanie Rosji jako zorganizowanej militarnie hordy, którą się zdalnie kieruje! A nie jest tak? W co oni Rosję wpuścili? Na „łowy” przy ... przerażającej zapaści kulturowo-cywilizacyjnej. I Ty medytujesz – i słusznie! – na stronie 123 (dół) o tym? Tu nie chodzi o żadną megalomanię, ale byłeś i widziałeś, że na terenach od Bugu na wschód, co Polacy ucywilizowali, to tylko zostało do teraz, włącznie z architekturą. (...) Ale kto tym ludziom wodę robi z mózgow? Ci co robią, wiedzą, że religia to podstawa rzeczywistej integracji. I ty się dziwisz, że mamy znów brawurowy atak na religię? No, zgoda, że pewne formy (ale to są formy kulturowe) wyznawania religii, wymagają przemian, bo religijność sprowadzona do pustych rytuałów nie spełnia swej funkcji. A cóż to za religijność, która bez Wcielenia (na serio!) Ewangelii w życie, staje się owym „upiórowym myśleniem”, albo co śmieszny czczeniem figurek, wizerunków których się nie rozumie! A Chrystus uczynił wszak wykładnię (nie do podważenia!) 10 przy. – „Miłuj bliźniego, jak siebie samego”, i to wszak jest owym braterstwem! Tu nie trzeba żadnych 3-5 tomowych rozpraw teologicznych, by to pojąć, to trzeba życiem własnym potwierdzać, bez oglądania się nagrody. Żaden dureń, który łupi i kradnie, nie będzie dzięki temu żył dłużej ani o 1 sekundę, bo to, żadna wartość. I taka jest prawda. Dlaczego tak nienawidzi się Chrystusa, drwiąc co dnia z Odkupienia? Nasi teolodzy już dawno przestali – zauważ, że i na kazaniach się „to” pomija ... pomija – zastanawiać nad Odkupieniem, a myślę, że tu skrywa się realizm przebudowy życia na Ziemi. Nie miałam nigdy żadnych „widzeń”, ale raz przydarzyła mi się dziwna jasność umysłu, jakiś stan nie do opisanego, w którym, z jakąś mocą i wyrazistością powstała myśl w moim łbie, że Chrystus wykluczył mord, że Krzyż w tym rozumieniu, jest fundamentem odstąpienia od mordowania na życiu, zaś ... to błąd interpretatorów, nie mógł, to nikomu nie dane, nie wykluczył „śmierci”, ani nie podważył. – Śmierć jest II Przeformowaniem (I jest Embrion!) Życia! Mord jest, był i będzie bezpodstawnym i jedynie sztucznie, zwyrodniałe myślenie stwarza podstawy. Mord to nie to samo co naturalna śmierć! Ja zamierzam napisać tekst jeśli chodzi o „prawa człowieka” by zwrócono człowiekowi prawo do naturalnej śmierci! Jestem – a niech piekło się zatrzęsie z drwią-

cego śmiechu – to w stanie ukazać. Zauważ, ile energii Rodzaj ludzki poświęcił na mordy? I my się dziwimy, że taki jest stan Ziemi? że nie ma sił na zalesianie, użyźnianie pustyni, wręcz dobijanie ziemi? Czy (ci co zabijają i zabijani – wszak nie pracują twórczo!) aby około 20% tylko ludzkości pracuje, a reszta – zważ na to! – co czyni? Za dużo ludzi? Nie! Za dużo ugorów zaniedbanej ziemi. A sprawa z aborcją? No ... kto tak namiętnie propaguje sterylizacje całych narodów? A te globulki hormonalne, to co to jest jak nie sterylizatory, prowadzące w następnym pokoleniu do zaniku płodności i cech płciowych. Albo Watykan zdobędzie się na odwagę, ogłoszenia realnej, medycznej prawdy, albo będzie brnął w moralizowanie w złym stylu. A narkotyki – tam gdzie jest kara śmierci za ich handel, to wiedzą – czy aby to nie jest „bomba biologiczna”? Żydzi pod karą – czy ktoś w Polsce o tym wie! – wykluczenia ze wspólnoty, nie sterylizują się ani nie używają narkotyków. A my? A gdzie są polscy lekarze, biolodzy, którzy by to wyjaśnili ludziom? A już słyszałam „profesorka”, który w bezczelności (powinno mu się odebrać tytuły włącznie z mgr) twierdził, że promieniowanie odpadów radioaktywnych nie jest groźne dla człowieka, że Polska (no, skurwesyn zupełny) winna być obszarem odpadów atomowych na całą Europę, to istny byłby zysk. Wyobrażasz sobie „co” komuś się śniło? Z tym, że chyba Niemcy, pojęli, że ich by to sięgło jeśli chodzi o układ wód podziemnych. Nikt inny jak prof. Zimny, grzmiał, że Polskę czyni się śmietnikiem (już składowano w Kot. Jeleniogórskiej) odpadów radioaktywnych, bez żadnych osłon i zabezpieczeń! Ileż mamy amatorów na ziemi polskiej, jakie piękne, żyzne ... i jak zaniedbane! A jak myślisz, to ciągle wyśmiewanie się ze zbiedzonych (ile to lat okradanych) chłopów, którzy nie bagnili ziemi. Jak zaczęto gadać o „kresce” i rzekomej niepodległości, a jak za Mazowieckiego rąbnięto (w pierwej w chłopów) to stary akowiec w Czemiernikach rzekł: „A jaka to niepodległość, ludzie, to strzał w chleb, a lada miesiąc to rąbną w szkoły, w umysły ludzi!” Czy się pomylił? I gdzie o tym pisać? Pisma katolickie też nie chcą takich „drażliwych” tematów! A zajadłość Gazety Wymiotnej, nie maleje i za tym skrywa się wrogość do narodu polskiego, cholernie inteligentnie rozgrywana.

Dlatego tak poruszył mnie „Zapisnik”, z którego wyziera

umiłowanie tych ziem i ból, z wiadomych powodów. Goli i bosci, mogą się pracą dorobić, ale – taka Janie jest prawda – zwyrodniali duchowo, giną. Wyjątków jak ukazuje historia, nie było. Rozczuliłam się, że ... i pojęłam, że lubisz gęste zagajniki, przez które brnęliśmy wśród zawiei. Jak dwa wariaty brniemy przez przeszkody, pokonując opór! Myślę, że już zboże masz sprzątnięte, że kartofle obrodziły, i na piachach, nie będą gnić.

Łączę pozdrowienia dla całej
Rodziny Leończuków, a proszę i
pozdrowić sąsiadów

z przyjaźnią
Marianna

*

21.12.97

Drogi i Wspaniały Janie,
doprawdy chyba się starzeję, albo ciągle robię za 3 zomowców, bo na nic ostatnio nie mam czasu, nawet na pisanie listów. Doprawdy podziwiam Cię – jak Ty się wyrabiasz w życiu!? Masz z pół powiatu na głowie, dwóch rycerzy w domu! Słuchaj, Ty im skróć siedzenie przy telewizorze i komputerze! bo to negatywnie wpływa na ich zdrowie. Nie wiem, czy wiesz, że w Japonii już jest jednostka chorobowa tzw. padaczka telewizyjna. Podawali w naszej. Wł. Sedlak się nie mylił! Ale czy ktoś zadał sobie trud zapoznania się z jego teorią, odrzuconą tylko dlatego, że był księdzem?! Tak dużej dawki fal elektromagnetycznych organizm nie znieś. Więc dla ich zdrowia, ukróć trochę to siedzenie przed ekranami!

Janie, dziękuje Tobie i Basi, za przyjaźń i dobre Serce, i proszę o przebaczenie za wszelkie nietakty z mej strony.

Proszę przyjm dla całej Rodziny i dla Ciebie moc (całą furę!) najserdeczniejszych życzeń na nowy Rok: życzę Wam Zdrowia, sił duchowych i pogody duchowej (wbrew trudnościom!), życzliwości od ludzi i Łask Bożych, Tobie zaś nieustającego natchnienia z Ducha Świętego i człowieczej pomyślności, mniej kło-

potów! Amen!

Jestem ciekawa jak dałeś sobie radę z C., jak on omotał tę dziewczynę, że nawet bała się rozmawiać! Dziwny człowiek. Pisał do mnie ks. Wacek, którego wybór wierny mu zrobiłam (redakcja, to rozwalila) i wstęp. No, to może, mój wstęp, okazał się absurdalnym. To tak jest jak księża zabierają się za nie swoją robotę; nie wiem jak oni to „wybrali”, podejrzewam, że wyrzucili sporo tekstów, choć Wacek mi o tym nie napisał. Nie wiem dlaczego nie powiadomili mnie i nie wiem, czy aby nie wrobili mnie, że to rzekomo ja zrobiłam ten wybór. Nie, nic. Niech się ukaże! Ładny jest tekst Staffa! Prawda?!

Wszystkiego dobrego

Marianna

*

3 lipca 1998

Drogi Janie,

dobrze, że chociaż u Ciebie się coś zmieniło na lepsze. Chociaż jak jest trochę zdrowia, to w zasadzie, człowiek winien dziękować Bogu, a nie ciągle narzekać; Wiadomo, że pensje w kulturze są żadne, prawie zasiłek. Tak, tylko nie wszyscy mogli zostać złodziejami, którzy teraz są „kapitalistami”. Ja na to znalazłam niezłe określenie – pieresrajka czerwonki.

Janie, ja jutro jadę do Bełczęca, bo w tym roku żniwa będą wczesne! Jeśli – jako Niebo pozwoli – wszystko się ułoży to mam zamiar po 20 sierpnia wrócić do Wrocławia, by znów 10 września pojechać na kopanie. Więc jechałabym – to bliżej – z Radzyna Podl. Napisz więc o wszystkim, o co chodzi, i konkretne dni tej imprezy. Skoro mam otrzymać jakieś 300 zł to sprawdź, czy za jakieś 120 zł nie można by kupić moich książek, a ja bym wzięła 180 (rozpisane na 2 rachunki, po 90 zł) dlaczego? A biję się, żebym nie przekroczyła „zarobków” z 10 zł, a wtedy odbiorą mi połowę renty, która nie jest wysoka! O to chodzi. Wiem, że nieraz można takie coś zrobić, ale nie zawsze! Nie ukrywam, że chciałabym trochę sprzedać egz. w „Kręgu stanów ludzkich”. Nie wiem czy już ukaże

się mój wybór poezji, który został ... tzn. ukazał się z dotacji, zdobytych metodą Zagłoby, zgoła ... z podtekstem (jak wszystko w moim życiu) tragedii. Elżbieta Piasecka, która była szef. Wydz. Kultury, umierając na raka, jeszcze „zdążyła” wypisać rachunek, za 2 dni ją, konającą wyrzucono z pracy. Obłąd. Nie mogli uszanować nawet ostatniego tygodnia jej życia, wiedząc o tym! To nie na list. Elżbieta, zastrzegła sobie, żeby nikt z nikczemnych nie był na jej pogrzebie. Z jakim ... a raczej, czym ją „obdarowano” na tę drogę Wiekuistą? We Wrocławiu to się „coś dzieje” nie do opisania. Nie myśl, że przesadzam.

Ja i tak miałam pisać do Ciebie list w pewnej sprawie. W tym roku przypada 30-lecie mojego debiutu książkowego. Mam trochę tu niezłomnych przyjaciół, którzy postanowili, że złożą się ... i ze składek na tę okoliczność wydadzą tomik „bliskie i konieczne”, z wymienieniem nazwisk. Jest osoba, która da trochę więcej. Mnie już nie stać, bo właśnie na własny koszt (26 milionów!) wydałam „W kręgu stanów ludzkich”, na którego „zapolowano” na całej linii, od SPP we Wrocławiu, aż po Fun Kultury. Ja sobie zrobiłam pracę fizyczną. Jest to jeden tom wrocławski, który ujął w II wyd. „Literatury polskiej” Tomkowski! Boże, szczękościsku tu niektórzy dostali. Dlaczego? Doprawdy trudno dojść, dwakroć, że nikomu nie szkodziłam. Wręcz odwrotnie, jeśli chodzi o stan wojenny, i następne lata! Ty wiesz, że istnieje cenzura, tylko utajniona! Ja się o tym, wprost dowiedziałam. Ten tom by wydano, ale gdybym wycofała 4 teksty. A, gówno! Trochę stanęłam na nogi, bo opracowałam słownik dla dzieci ze szkół podstawowych „Wyrazów obcych i trudnych”, który się sprzedaje wyjątkowo dobrze! I nakł. już jest na wyczerpaniu, i „Astrum” wznawia II wyd. kieszonkowe! Myślałam, że będzie się sprzedawał ze 2 lata, a okazało się, że niecały rok, więc on mi płaci z dołu, po sprzedaży. Nie jest to też dużo, ale jako dodatek do renty, to chociaż nie drzę, że nie starcza mi na jakiś droższy lek, czy jedzenie jarskich potraw, które są droższe od mięsnych. A ... w Belczęcu, ogród duży zrobiłam, ponoć wszystko rośnie jak nigdy! (z badyłem włącznie!). Podaję Ci adres (...)

Łączę pozdrowienia
Marianna

26 sierpnia 1998

Drogi Janie,

wiem, że byłeś u Karabowicza Tadźki w Holi, bo Kresowaty z Wójcickim, wykręcili karocę i zjechali – ku mojemu zaskoczeniu! – do Bełczęca. Ongiś Wójcik jak jeszcze studiował, to we wrześniu przyjeżdżał i pomagał przy kopaniach kartofli tzn. poznawał i doznawał czym jest powaga ziemi, pokonywanie jej przyciągania. Bardzo szybko zrozumiał dlaczego chłopci po takich robotach, wieczorem nie czytają książek, włącznie z nim samym i nie „kontemplują piękna”.

Parę dni temu zjechałam ze źniw. Niech nikt nie pieprzy z rządzących, że w tym roku zboże (może na Pomorzu?) jest poślednie. Odwrotnie. Dawno nie było tak dorodnego zboża, bo nie wyległo. Owszem, po kombajnie, trzeba suszyć, by trochę odparowało, ale – ja mam wykształcenie i tytuł „technik, technolog młynarstwa” jest metoda oceniająca tzw. glutenowa! Nikt o niej nie mówi i chyba nie stosuje, by położyć kres blagowaniu o złej jakości zboża! A co czeskie zboże lepsze? czy węgierskie? Czy to jest głupota, nieudolność w handlu zagranicznym, czy jakaś ukryta głęboko tendencja niszczenia podstaw życia naszego pokaleczonego narodu? Może jedno i drugie wchodzi w zakres.

Są – sam wiesz! problemy nie na list.

Mam do Ciebie kilka spraw.

1. Czy wyrażasz zgodę, by wymienić twoje nazwisko jako „sponsora” wydawanego na okoliczność 30-lecia mojego debiutu książkowego tomiku „Bliskie i konieczne”. Zaręczam Ci, że jest to poezja na skroś godziwa, jeśli nie wyjątkowy już tom. O mojej wyjątkowości poezji to się „gęsto” mówi, ale oficjalnie nie, by nie obnażać owych „nagród”. To mi parę razy powiedziano wprost. Kurestwo nie ma końca. Nie do uwierzenia, ale to jest na piśmie za sprawą K., i K. i (masona) M. i Ł. (z judaszowskim uśmiechem na pysku! udającym „wierzącego”!) nie dostałam dotacji na tom „W kręgu stanów ludzkich” z Fundacji Kultury? Wiesz jakim grafomanom (pedałom – 2!) przyzna-

no? jednemu, który idealnie prawie przepisał mój utwór i się podpisał, i wydrukował w „Sigmie”. Można i tak postępować. Ale Ł. o tym wiedział! Nie ważne, bo nie oni decydują o uzewnętrznieniu się sfery duchowej natury. Zarobiłam sobie - taka jest prawda! - pracą fizyczną na wydanie tego tomu, z wstępem Drzeżdżona. Przeliczyli się, myśląc, że tom się długo nie ukaże. Czy to będzie bezkarne, nawet nie poddane osądowi moralnemu jak wielu przybrało tylko maski opozycyjki sięgając po ochłapy „rządzenia” jak K.? A w co się „bawił” latami M. - mason?

Janie, ja się z tym, antypolskim ryciem w naszej kulturze nie mogę pogodzić, ale nie ma po owej „prawicy” nawet czasopism które by to obnażyły. Boję się! Kogo? Chyba nie Watykanu!

2. Czy ta impreza we wrześniu dojdzie do skutku? Jeśli tak, mam prośbę! Zaproś na nią Zbyszka Kresowatego. To dobry malarz, no, może orłem w poezji to nie jest, ale tworzy ją na jakimś poziomie, rzecz pewna, nie dostępnym dla zwyrodniałego na wskroś (ośmielającego polską poezję) bełkotu R. Wiesz dlaczego, bo Kresowaty po 10 września w okolicach 15 września przyjechałby wozem do Bełczęca, a stąd niecałe 3 godziny przez Radzyń - Podl. i Białą - Podl. jedzie się do Białegostoku! Więc pojechalibyśmy z Bełczęca. Ja po 10 września jadę na wieś. Być może - jeśli go zaprosisz! - to i J. Wójcik by taką trasą jechał.
3. Jest sprawa również może kłopotliwa, ale Ty to dobrze sam rozumiesz. Ja pod koniec września będę miała wydany „Wybór poezji” przez Towarzystwo Polonistyki. Przed samą śmiercią Elżbieta Piasecka przyznała mi dotacje z Wydz. Kultury. Czy jakaś księgarnia w Białymstoku nie wzięłaby z 10 egz. do sprzedaży? A jeśli to która? - sprawa - wiem! - kłopotliwa, ale poprzez znajomych, może gdzieś poza Wrocław tom trafi. To jest wydawnictwo, które nie potrafi rozprowadzać książek po kraju, poza Wr. i okolicach.

Będę czekać choćby na negatywne odpowiedzi

- z przyjaźnią M Bocian

*

Janie,

chodzi mi o to, czy zgodzisz się być obecny na tej liście darczyńców, jeśli chodzi o wydanie t. „Bliskie i konieczne”. No, pieniądze od Ciebie, nie wezmę. Jedynie by nie było oszustwa podarujesz mi 1 złotówkę! Stefan Bednarek, u którego studiowała Wala, zbiera.... trzusi się, ja mu nie podałam Twojego adresu, ale on mnie uczulił, by nie narobić nietaktów, bo niektórzy może by to odebrali, że....! Nie ma co tu wiercić dziury w całym, znaczy się z różnych stron. Tom ponoć jest wyjątkowy, więc nie przyniosę Ci wstydu. Wpiszę Cię! Ale....wyraż zgodę! Tu nawet nie chodzi o same pieniądze, lecz pewną postawę. Zaproś J. Baziak, która ma dobre pomysły, chcąc przekroczyć głupie podziały, drukować dobre teksty, ale dotacji nie dostała, p.minister, jeszcze więcej dała przygłupom z „Brulionu”. Myślę, że ona nie padnie, ale... ! Niech przyjedzie, niech nawiąże kontakty z wami! No, tak.

*

7 października 98

Drogi Janie,

dziękuję Ci i Basi za ucztę duchową. U Was, w domu, to krąży jakaś wyraźnie odczuwalna energia, dobra aura. Nie mówiłam Ci, ale jak wtedy zimą się gdzieś powlokłeś, a ja zostałam sama pod tym krzyżem. To było coś niecodziennego, bo chyba, udzieliła mi się siła modlitwy. Bardzo wtedy dobrze się poczułam, nawet nie odczuwałam zmęczenia po tym „spacerku” przez las! A jak wtedy siadłeś na tym drzewku, to mnie ogarnął strach, nie o mnie. No, ale to mamy już za sobą.

Nareszcie mam wydany wybór wierszy. Pewnie za życia pierwszy i ostatni. A jaka była droga (metodą Zagłoby!) otrzymania dotacji, to tragikomizm, ale książka jest.

W poniedziałek jak powlekłam się na Grodzką po autorskie egzemplarze....(czy to przypadek?) spotkałam prof. Hernasa, pełnego wigoru, pachnącego jak perfumeria na odległość 2 metrów, uśmiechniętego. Więc przekazałam mu od Ciebie pozdrowienia, a Hernasowi oczka się roziskrzyły jak latarki nocą (nieźle chyba wy-

ście tam ongiś balowali), bardzo się ucieszył i nie grał tego zadowolenia. Pytał się o Ciebie, więc Cię „oplotkowałam” od stóp po głowę, coś napisał, jakie to fenomenalne itd., no i uradziliśmy, że Ciebie trzeba zmusić tym razem do skończenia doktoratu! Profesor bardzo prosił, abys do niego napisał długi (mam Ci to uzmysłowić!) list. Myślę, że miast tracić czas na jakieś ZLP, łązić, coś załatwiać, a jeszcze miast wdzięczności, coś odwrotnego obieriesz, to zrób doktorat, bo umożliwi Ci szersze pole działania, zajęcie stanowiska, a tak, które mógłby zająć jakiś szubrawiec. Myślę, że Hernas, jest Ci życzliwym. Więc odnow z nim kontakty, a skoro jest w tak znów dobrej formie, więc pewnie jest zainteresowany by znów mieć doktorantów ... z którymi mógłby poużywać życia! Nie mogłam Hernasa wręcz poznać, bo z 2 lata temu, był w depresji, a teraz ... jak perfumowany skowronek, z tymi iskrzącymi się oczkami! Więc jest to, Przyjacielu, dobra pora dla Ciebie, odnowić z nim kontakt. Nie zwlekaj. Dziś się nie będę rozpisywać, bo po powrocie z pól, roboty mam po uszy, a kurz, a brud zarósł gary, trzeba to wszystko sprzątać. To dopiero jak się wyjedzie na miesiąc i zostawi w kuchni otwarte okno to widać „jakie” to powietrze, jaki kurz, palcem można pisać, choć przed wyjazdem wysprzątałam, bo sąsiadka się opiekuje mieszkaniem, więc nie wypada ostawić brudu.

Łączę serdeczne pozdrowienia dla
Szlachetnej Rodziny, a Ciebie
całuję w policzek

Marianna

p.s. Wiesz, że w naszych lasach (za stodołą!) nie było w tym roku podgrzybków nawet, jeno jakieś sketulaste opieńki, których ja nie zbieram, brat z kosz przywłókł tylko.

*

27 list. 1998, Wrocław

Basiu!

Moi Wspaniali, Drodzy, Szlachetni ... Janie,
dzięki stukrotnie za przyjaźń, za ewangeliczną prawość. A ... żebyś

się Jasiu nie spowiadał, to „wpląć” znaczkiem za 10 gr. Basię wpisaliśmy – towarzystwo doborowe. Jak odbiorę nakład (to jest sygnałny ... pierwszy sobie zatrzymuję, a drugi [są dwie komory serca!] wysyłam Wam, to prześlę parę egzemplarzy dla sympatycznych ludzi!

Basiu, racz przyjąć serdeczne życzenia imienninowe – niech Bóg obdarza Cię zdrowiem, a i te Dwa Rycerze się dobrze rozwijają, a Jana niech Natchnienie nie opuszcza!

Wszystkiego dobrego
Z przyjaźnią Marianna Bocian

P.S. napisałeś do Hernasa!?

*

Basiu i Janie, Leończuki Kochane,
niech Nam wszystkim da Bóg Moc życia, aby można było przeżywać Czas ziemski. Powoli, bo w męce i trudzie, Duch się w ludziach przebudza. Myślę, że nie z odruchu poczyna się życie ludzkie, i nie zagładą jest życie odchodzące z tego stanu bytowania. Jest to ciągle niepojęty, przerastający nasze umysły ciąg Wiecznego Prze-istaczania. Istoty życia nie zmieni człowiek, zmienić może swój własny sposób przeżywania życia, spożywania życia na dobro i miłość, a nie na zbrodnie. Ktoś już powiedział, że krew męczeńska jest zasiewem ludu Bożego.

Moi Drodzy,
całą sobą (niestety mam grypę!) życzę aby Basia szczęśliwie i w zdrowiu powiła Nowe Życie i abyście mieli siłę w pokonywaniu trudu i znoju na tym łożu padole. I abyśmy się wzajemnie miłowali. Resztę pragnień sami już sobie przed sobą złóżcie, a ja się duchem przyłączę.

Całuję Was wszystkich w łepetynki
Marianna



Piotr Sawicki, ur. 19.05.1948 r. w Białymstoku, syn sławnego białostoczanina Piotra Sawickiego twórcy Teatru Lalek, fotoreportera II Korpusu gen. W. Andersa, który rozwinął zainteresowania fotografią i teatrem u syna.

Pierwsza fotografia „Zachód słońca nad ulicą Antoniukowską w Białymstoku” powstała gdy jej autor miał 5 lat. Pierwsza wystawa, na której były prezentowane reportaże ze ściany Wschodniej to rok 1978; przygotowano ją w dawnym EMPIKU, a prace publikowała białostocka prasa, w tym miesięcznik „Kontrasty”. Przez wiele lat towarzyszył i towarzyszy teatrom, dokumentując ich artystyczną codzienność. Z lotu ptaka utrwalał piękno naszej ziemi, realizując niejako swoje niespełnione w pełni zainteresowania lotnictwem.

Jego fotografie były zamieszczane w wielu publikacjach; wymienimy ważniejsze autorskie prezentacje albumowe: „Białystok moje miasto” (1984), „Wizyta” poświęcony Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II wspólnie z Andrzejem Sokólskim i Janem Choroszczą (1991), „Białystok” (1994), „Białystok” (1998), „Białystok na progu XXI wieku” (2001), „Między niebem a ziemią. Podlasie” (2003).

Autor wielu wystaw w kraju i za granicą. Członek Związku Polskich Artystów Fotografików, wieloletni fotoreporter „Kontrastów”. Laureat wielu konkursów.















KATARZYNA GRYGOTOWICZ

Fiołki

dziecięcy kaprys
ze smętnie zwieszoną główką
nad białym obrusem

pierwsze fiołki
w kieliszku zamiast dzbanuszka
umarły

* * *

moi umarli nie straszą
przychodzą nocą
piją herbatę z aluminiowych kubków
opowiadają o niebie
zupełnie jak za życia
potem odchodzą
krzyczę za nimi
z bolesnej tęsknoty

mówicie mi
to tylko sen
lecz ja wierzę
w ich dotykalność

AGNIESZKA OSTAPOWICZ

Lęk

Każdej nocy
na falach radia
dryfuję przez bezsenność,
odkąd moje sny
stały się zakładnikami złych myśli.
U kresu ciemności
nowy dzień
straszy zapachem bitewnych pól.
Swoją lęk
zaklinam
w ciekące przez palce
paciorki modlitwy.

Znieczulenie

Trzy kieliszki temu
jeszcze bolało.
Teraz
nie czuję nic.
Leżę,
studiuję geografie sufitu,
słuchając po raz n-ty
tej samej płyty.
Minęła dwudziesta,
minęła mnie bez słowa.
I kolejna północ
przemknęła niezauważona.

Wiara,
Nadzieja
i inni adwersarze ciemności
kapitulują
w obliczu niespełnienia.

Potrzeba filozofii

Po znalezieniu
w całym
jakieś setki dziur
szukanie
przeszło być zabawne.
Wyszło bowiem na jaw,
że każda prawda
ma drugie dno,
a za większością radości i radostek
zawsze wlecze się
niczym cień
jakieś drobne „ale”.
Nadzieja zaś
wcale nie jest dobrą inwestycją
– zamiast zysku
przynosi tylko wybrakowaną przyszłość.
Taka świadomość
pozbawia sensu marzenia.
Chyba nie warto więc
zagłębiać się w życiorysy
wszystkich chwil i zdarzeń,
bo można niechęć
dowiedzieć się zbyt wiele.
Lepiej
iść przed siebie w aureoli złudzeń.
Lepiej
być uboższym o całą tę wiedzę.

27.11.01

Tego dnia
śmierć zaczęła w końcu
wyrażać się jaśniej.
Czarnym flamastrem
naniósła poprawki
na moją przyszłość.
Nauczyła
Definiowania świata przez nieobecność.

...Widzę
bezzaświadczeniowy klucz
w osieroconej portmonetce
i szafy –
niczym przytulki
dla Jej bezrobotnych ubrań.
60 m² ciszy.
60 m² wspomnień.

Słone krople
wciąż wpadają
w otwarte stygmaty świadomości.
niczym postscriptum do ostatniego z pożegnań.
Każdego dnia
zmagam się z pustką
oddychając powietrzem
skażonym Jej echem.

Zła

Modlitwą
spłacam rachunki sumienia,
by nazajutrz móc
zaciągnąć kolejny dług.
Chyba nie wypada najlepiej

mój bilans istnienia.
Mam wrażenie,
że waluta mojej pokuty
jest warta
coraz mniej.

Przed bitwą

Otwieram oczy,
z wolna przechodząc do meritum codzienności.
Świt pachnie kawą.
Łada moment
radio
wypłoszy stąd resztki nocy.
Jeszcze kwadrans
na krzątanie
wokół dobrze znanych rekwizytów przebudzenia.
Wybiegam,
pozostawiając niedopite śniadanie
i domowy spokój
w nieco już
sfatygowanej aureoli.
Pora zacząć kolejną bitwę
na froncie powszedniej wojny.

Piękni trzydziestoletni

Wyprowadzeni przez nadzieję
na manowce złudzeń,
przygodne szanse
czynią teraz swoim drogowskazem.
A istnienia,
poranione na skutek ciągłego chwytania się brzytwę,
leczą pokątnie
tradycyjnym kieliszkiem spokoju.

Prędzej czy później
dopada ich
syndrom strachu przed lustrem,
bo gdzieś w głębi czują,
że decyzje naszkicowane łękiem o przetrwanie
są niezbyt efektowną ozdobą ich dusz.

Fotka

Wertując kolejny
ilustrowany przewodnik po teraźniejszości,
pełen recept na wszystko
[od lazanii – po udane życie]
odnalazłam zdjęcie
ofiar nowej wojny.
Nieszczęście, trzeba przyznać,
jest bardzo fotogeniczne.
Poza tym, nic nie czuję,
przewracam stronę.
Prawdę mówiąc,
wolę raczej poznać
nowe trendy w modzie.
Świat
zanadto oswaja nas z cierpieniem.
Każdy, prędzej czy później,
zobojętnieje.

Non omnis moriar

Setki tanich
migoczących światełek –
jedyne
zauważalne
trofea nieistnienia.

Lecz
nie zrażaj się tym, bo
pamięć
jest lennem umarłych.
Masz więc szansę na dalszy ciąg,
pod warunkiem oczywiście...
że ktoś cię zapamięta.

Powrót do powszedniości

Z lekkim zażenowaniem
usuwam resztki
swojej żalostnej
sobotniej egzystencji.
Po raz kolejny
wypłaciłam sobie
procenty od cierpienia.
Teraz
nerwowo zacieram ślady
eksmitując do zsypu
puste butelki.
Powoli
wszystko powraca
do tak zwanej normy –
dusza ocalona,
zachowane pozory.
Znow udalo się zacząć z czystym kontem –
nowy tydzień,
nowy początek.
W dni powszednie
jestem prawie jedną z was.

Weekendowi buntownicy

Skażeni monotonią
wyruszamy
na weekendowe kruczaty
przeciw codzienności.
Bez namysłu
kładziemy na szali nocy swój rozsądek,
tylko po to,
by przez chwilę
o wszystkim zapomnieć.
Tacy z nas śmieszni
póletatowi dysydenci,
w nocnych klubach
budujący
swe atrapy wolności,
na co dzień przeraźliwie poprawni politycznie,
w weekendy – niepokorni.

ANDRZEJ KITLIŃSKI

1.

wyprowadzam się
z dusznej, ciasnej ziemskości.
Ze wsi ukrytej
Pod skrzydłami bocianów.
Mam ochotę
Na gwiazdne lody
I drżące usta Wenus

Wystarczy dziura w płocie
By przekroczyć dwulicowość przeznaczenia

Wygrałem wszystkie konkursy
Na mistrzostwo świata w krzyku
Do kamiennych twarzy
I nie mogę nakazywać sercu
Pracy Syzyfa

Nic do oclenia
Nawet szczoteczka do zębów
Pozostaje własnością
Czasu przyszłego

Znowu ktoś zarzuci –
Uciekł, bo się bał.
Nie.
Zgłębiam istotę przewodzątek – tam –
Gdzie przeciętność
Jest taką samą zbrodnią
Jak tutaj otwartość uczuć.

2.

Tutaj jestem swój,
Chociaż to tylko
Opuszczona szopa pozbawiona właściciela.

Na zzieleniałych ścianach
Pozostawione
Setki anonimowych donosów
Usprawiedliwionych zwolnień
z lekcji fałszowania uczuć.

Nie ma żadnego adresata
Ani z gatunku ludzkiego
Ni z populacji transcendentnej.
Pominięto nawet
Rezydenta absolutu.

Nie wiem czy zbłądziłem tu przypadkiem
Czy w ramach obrony koniecznej
Celowo wybrałem
Nieoznakowany kierunek.

Przedemną były tu miliony
Bezimiennych korespondentów miłości
Fotoreporterów osamotnienia
Dziwaków i geniuszy.

Tak jak oni
Zostawiam krótką notatkę
Telegram
Nosiciela wirusa nadwrażliwości.

3.

Z jałowej ziemi
Ku niebu bezpłodnemu
Nie wzleci ptak –
Ani strzęp słowa.

Nic nie zaślubi narodzin,
Nic nie odjedzie
Ze śmiercią pod rękę.

A to, co trwa
Istniejąc – pokutuje
Za grzech poznania
Prawdy.

4.

Na końcu języka
Czuwa resztką świata
Wyluskana z płytkiej kieszeni
Programisty marzeń.

Ostatni fragment żywota
Mdłego sitkomu splecionego w warkocz
Z przesłodzoną telenowelą.

Zatrzymywana telegramem podświadomości
Usychając jak wiara jesiennej łąki
W jeszcze jedną zieloność –
Na końcu języka
Wiesza się miłość.
Głową do dołu –
Gdyż bez lęku może istnieć
Tylko w świecie odwróconym
Do góry nogami.

5.

nie pijam nocą czerwonego wina
bardziej odpowiednia jest
nalewka z suszonych kiści gwiazdozbiorów.

Gorącym strumieniem wlewa się
W dolinę zmysłów
Czyniąc ją krainą płodną
W owoce grzechu wyobraźni.

Na nic bezpieczna muszla snu
I schrony
zbudowane z wiary w potępienie

Nawet wyparcie się swojego drugiego ja
nie przesłoni kurtyną ślepoty
Pejzażu
W którym raj nie zapadł w szarość
A piekło jest pensjonatem
Odpoczywających od rozkoszy.

I tylko tyle –
A może aż – pozostaje do wzięcia
Z biesiadnego stołu
Pozostawionego na czas określony
W opustoszałej
Letniej rezydencji
Bogów.

6.

kiedy śmiałość ognia
przestaje być dokuczliwą sąsiadką
a natarczywość chłodu
nie drażni hartowanych szyb oczu
kim się jest?
gdzie?

Ten czy inny świat
Jest podobny do walizki
Pakowanej przez służących ludzkości?

Kiedy zostałem sprzedany
Obojętności o marmurowym sercu?
Jeszcze w planach – czy w czas buntowniczej zawieruchy
Niepokornej dojrzałości?

Flirtowanie ze śmiercią.
Obce żony
Obce dzieci
Obce archipelagi czasu

Bez prawa
Posiadania czegokolwiek
Na własność.

7.

nikt nie idzie obok
ani przed – ani za.

Ziemia zmienia okrycia
Przeglądając zawartość szafy
Swojej przybranej siostry – Natury.

Niebo – od lat ten sam korowód przebierańców
Ten sam karnawał barw
Z obsadą jak pierwszego dnia –
Gdy zabrzmiał klaps światła.

Cóż po szyfrogramie drzew
Kodowanych listach ptaków
Narzeczach latarń -
Wypełniających eter nocy
Kiedy dzielę ich treść
Sam ze sobą...

Nikt nie idzie obok
Ani przed – ani za.

Czas złożyć podpis
Na liście
Wymierających osobliwości życiowych.

U bram raju

Nawet owad krzyczy złapany w pudełko,
A co mówić człowiek przez ból uwięziony,
Przez powiększające nie zobaczysz szkiełko,
Czy duszę śmiertelnika posiadały demony.

W każdym małym krzyku pływają pociski,
Strzały do niewinnych – ich huk zmartwychwstaje,
Wiesz czemu go nie słyszysz? Bo stoisz za blisko
Bram ogrodu pięknego, który zwie się rajem.

Spojrzyć poza siebie i śmierć świata ujrzyć
Zgon kolorów mocy, krzyk barw konających...
Nie rób tego! Będą oczy boleć później!

Uszy będą palić pełne dźwięków zrączych!
Zakołataj w bramę, baw się życie całe,
Kiedy będą pytać – nie mów co widziałeś.

Bez wyjścia

Odejdź do krainy gdzie brzydota pięknem
Wylej tęczę smaków, napełnij się gorzkim
A przestaniesz bać się tego, co jest święte,
Powiedz – łatwo przyszło, jeszcze łatwiej poszło.

Albo wlej najsłodsze piękno w swoją duszę,
I zachowaj spokój godny antenata,

Biel i czerń po omacku, ale chętnie służą,
W chwilach śmierci barwnego, śmiertelnego świata.

Jedną nogą na morzu, drugą w porcie jeszcze,
Co robić? Czy płynąć? Fala pała gniewem,
Zostać? Przystań płonie – żywioł ma mnie w kleszczach...

Gdyby tak stać się ptakiem i odlecieć śpiewem,
Most za sobą spalić, utopić wspomnienia,
Być świętym i czekać cierpliwie zbawienia...

Posłuszeństwo

To nie takie proste jak nam się wydaje,
Iść wolno, posłusznie samym drogi skrajem,
Przepaść – dla mnie straszna przez dal i kamienie
Przepaść – miejsce kaźni – innym – wyzwolenie.

Kroczę spoglądając w dół, gdzie śmierć mnie czeka
Potknę, dreszcz przebiegnie, przymknie się powieka,
Cofnąć się jak najszybciej rozum podpowiada,
Strach wewnątrz mnie siedzi i siebie dokłada.

Lecz co sprawia, że cofnąć się nie mam ochoty,
I przestrzeń wabi – rozkładam ręce jak do lotu,
Przez ciekawość szczenięcą a może szaleństwo,

Jakże łatwo wypowiedzieć życiu posłuszeństwo,
Pozbyć się swego cienia lecąc w dół kamieniem,
By po chwili posłusznie stać się wiecznym cieniem.

Studnia

Przed laty, w dalszej części ogrodu wykopano studnię. Na początku woda w niej była mętna i brudna, więc na jakiś czas dano jej święty spokój. Głównie po to – jak mówił ojciec – żeby ułożyła się sama ze sobą i ustatkowała. Trwała więc pozostawiona sama sobie, pełna krytycyzmu i niełaski. Tylko my, dzieci codziennie do niej zaglądałyśmy. Przyjmowała nasze umizgi w milczeniu. Zaczynała się czuć panią sytuacji – było jej dobrze i sennie, a nocą, kiedy otulał ją włochaty brzeg ciemności i wpełzał powoli do środka, zaczynała marzyć, wydając co jakiś czas głęboki pomruk z wnętrza. Ironią byłoby powiedzenie, że w jej życiu wypadki przeganiały się w oszalałym tempie. Były to raczej niezmierzone połacie czasu, pełne jałowego trwania w dzień, kiedy milkła i cofała się w głąb – cała jednak w pogotowiu i do dyspozycji, ukazując wygładzone lustro twarzy na zachętę. Dopiero w nocy zaczynała prowadzić swoje sekretne życie... Przepychała się w dół bez tchu i pamięci, byle dalej w pozornie głuchą głęb, gdzie pulsowało życie korzeni i pachniało darnią.

*

Minęło wiele lat. W jej wnętrzu zaczęła rozwijać się bujna, tania vegetacja, bezbarwna, pozbawiona światła, momentami monstrealna. Pogmatwane arabeski mchów pięły się po ścianach rosnąc i wielokrotniejąc. Coraz to nowe korzenie pobłyskując białym, odbarwionym ciałem wynurzały się z dna, z samego pępka ciemności. Traciła nad tym panowanie. Zamiast się zdecydowanie odciąć od tej dławiącej, przeraźliwej formy istnienia, wplątywała się w nią coraz bardziej. O ile jeszcze w dzień opierała się ostatkiem sił, wzywając na świadka jaskrawy świat, który trwał u wylotu

tu, o tyle w nocy ulegała dziwnej, odurzającej fascynacji, zatruta fermentami wydobywającymi się z głębi jej istnienia. Czasami mar-
twiała ze zgrzyoty, kiedy jej wzrok zapuścił się w labirynt własnych
wnętrznosci i potem długo nie mogła dojść do siebie po tym, co
widziała. Ogarniał ją lęk przed tym, co natarczywie żądało, doma-
gało się uwagi, coraz bardziej bezczelne i pełne roszczeń. Wzdęta
gniewem, pluskała przekleństwami...

Wystający ponad ziemią krąg popękał i pochylił się na bok, jak
zmęczony człowiek. Wody było coraz mniej, a korzenie w środku
wiły się niczym stado żmij. Omijałyśmy ją z daleka, bo czasem z
jej wnętrza słyhać było jakieś westchnienie. Ojciec mówił, że to
dusza studni, ale my, dzieci nie wierzyłyśmy w to, bo przecież du-
sze mają tylko ludzie, może parę znanych nam zwierząt... ale stud-
nie, to już na pewno nie.

Broszka

Noc była chłodna, ale przyjemna, kiedy Herman Milc przytula-
jąc do piersi zawiniątko, wyszedł do ogrodu. Na samym jego koń-
cu rosła wielka, rozłożysta grusza. Zatrzymując się pod nią Her-
man nie mógł się nadziwić, że obrodziła tak bardzo, niepomna na
wszelkie okropności świata. Stała przed nim wyzywająca, uginając
się pod ciężarem własnej płodności, spokojna w ogromnym, zło-
wrogim milczeniu jesieni.

*

Uwielbiałam przeglądać biżuterię Babki. Leżała w małej, dREW-
nianej szkatułce zniszczonej i odrapanej z dawnej świetności, która
stała zwykle niedbale wciśnięta między książki, na półce. Broszka
rzuciła migotliwe, dziwne światło, którego źródłem były pewnie
kamienie układające się w zawijas o kształcie litery S. Mnie przypo-
minał on raczej jakąś przebiegłą żmiję zeszywniałą w zatorach wła-
snej pamięci. Układałam o niej w myślach niesamowite historie.

*

Dwa dni i dwie noce zastanawiał się nad tym pomysłem, ale w końcu zapakował kilka sztuk biżuterii, porządnie, w lnianą szmatkę, osobno zawijając broszkę, która w szczególny sposób przypominała mu Sarę. Zatargało nim boleśnie przez chwilę – bez niej, bez swojej Sary był nikim – wiedział to aż nazbyt dobrze. Trwał bez sensu, mały i chudy, w krajobrazie wyblakłym jak kartka papieru. Długie lata nie mógł uwierzyć swemu szczęściu, że ona – duża, postawna kobieta wkroczyła w jego życie nadając mu znaczenie i miarę. Wszystko, co robiła, odnosiło zamierzony skutek. Można było z jej poczynań wysnuć, że była kobietą niezwykle przewidującą. Czasami nawet zaczynał podejrzewać ją o jasnowidzenie. Dlatego nigdy w życiu nie ośmielił się jej sprzeciwić, głęboko ufając wszystkiemu, co postanowiła. Czasem błąkała się w nim jakaś nutka sprzeciwu, ale tłumił ją w sobie szybko i ze wstrętem, jako objaw słabości.

*

– Włóż tę broszkę – poprosiłam. Matka nie przerywając robotki powiedziała – Jak chcesz, tylko uważaj, żeby cię Icek nie udusił. – Zabrzmiało to o tyle złowrogo, co idiotycznie. – Jaki Icek, co ty mówisz – nic z tego nie rozumiałam. Kiedyś z opowieści Babki wynikało, że otrzymała tę broszkę w spadku po przyjaciółce czy też żonie przyjaciela.

Dokładnie nie pamiętałam, ale o żadnym Icku – dusicielu nie było mowy.

– No, może wtedy miał na imię Herman – przyznała pojednawczo moja Matka. – A może jeszcze inaczej. Ale chyba Herman, było to dziwne niemieckie imię. Ale ona, Sara, jego żona, nazywała go Icek. Przerobił się później znowu na Hermana, za szybko jak na mój gust i przy tej całej swojej rzekomej miłości do żony... Ja tam nigdy w to nie wierzyłam. Ona była duża, rozłożysta, a on, pozał się Boże – prawdziwy Icek, chociaż miał niebieskie oczy i jasne włosy, przecież wygląd to w końcu nie kwestia imienia. Matka zamysliła się...

*

To nie był jego pomysł. Jak zwykle Sara ustaliła wszystko. Można by powiedzieć, że zaaranżowała własną śmierć a także jego życie, Icka, na kilka następnych lat.

– Wrócisz do swojego imienia – zażądała – łatwiej przeżyjesz. – Potem spal moje rzeczy i zapomnij. Zostanie tylko ta broszka. Jest mała, nie sprawi ci kłopotu. Przechowaj ją i kiedyś oddaj swojej córce czy komuś, kto na nią zasłuży.

– Jakie kiedyś, jakie potem, Sara – Icek vel Herman wykazywał oznaki prawdziwego popłochu słysząc te słowa. Wyglądało bowiem, że jego żona Sara żegna się z nim na zawsze. A on już wiedział, że kto jak kto, ale ona nie rzucała słów na wiatr. A co z nim? Czasy były straszne. Niewyobrażalnie straszne. Przecież nie mogła go tak zostawić, rzucić na pastwę samotności... – Tak będzie lepiej – poklepała go czule po ręce – będę ci tylko kulą u nogi, Icek.

*

– No widzisz, nic mi nie jest – powiedziałam triumfalnie, odnosząc następnego dnia broszkę. – Żyję, było świetnie, wytańczyłam się za wszystkie czasy i w dodatku nikt nie usiłował mnie udusić. Matka wzruszyła ramionami. – Babka miała z nim swoje porachunki – kontynuowała swoją opowieść, jakby zaczęła ją przed kilkoma minutami – to znaczy z Ickiem, czy Hermanem. Nie mówiła mi o wszystkim, a ja nawet nie chciałam o wielu rzeczach słyszeć. W tamtych czasach, drogie dziecko, im mniej się wiedziało, tym łatwiej było... W końcu po wielu latach okazało się, że Icek jednak żyje, mieszka w Nowym Jorku, ma żonę i wiedzie mu się zupełnie dobrze.

Usiłował nawiązać nawet kontakt z Babką, ale wtedy nie było to dobrze widziane. Mieliśmy przez to sporo przykrości. Babka była już stara i żadna władza nie mogła jej nic zrobić ani nastraszyć... bała się tylko o nas. Więc napisała na kopercie – adres nieznanym...

*

Wkrótce po rozmowie z Ickiem Sara umarła. Po prostu któregoś dnia nie wstała z łóżka. Kiedy jej dotykał i mówił do niej, leżała nieruchoma i zimna, chociaż poprzedniego dnia nakarmiła kro-

wy i ugotowała cały gar kaszy... Pochowano ją szybko, żeby nie powiedzieć, ukradkiem, bo nie był to dobry moment na rozdzieranie szat i głośnie szloch. Icek siedział przez następnych kilka dni w zimnej izbie na przemian jęcząc i przeklinając.

*

– Szkoda człowieka – powiedziała po tygodniu Babka, nie mogąc patrzeć na zamknięte drzwi i brak dymu w kominie. Wzięła garnek rosółu i wyszła. Wróciła za godzinę.

– Trzeba porozmawiać z Jaszka – zerknęła w stronę Dziadka.

– Jaszka to swołocz – odburknął. – Ale tylko on może mu pomóc – wzruszyła ramionami. – Chyba masz dobrą pamięć? A o resztę będziemy się martwić potem. Będzie na to dużo czasu...

*

Sprawa broszki nie dawała mi spokoju. Kogo udusił Icek, który w mojej wyobraźni jawił się jako ciamajdowaty blondynek o niebieskich oczach, wiszący u spódnicy wysokiej, rozłożystej jak jabłoń Sary. Matka opowiadała niechętnie, w odcinkach, operując dużymi skrótami myślowymi, jak gdyby starając się wypchnąć wspomnienia raz na zawsze, jak zdarzało się wymiatać stare śmieci – na poły z ulgą, na poły z niechęcią. – Icek w końcu, po latach przyjechał do tamtego miasteczka, co mówię – do mojego miasteczka, chociaż dobrze go nie pamiętam, byłam mała, zbyt bez troska, żeby pewne rzeczy chcieć pamiętać... Zdziwił się niepomiernie, że było takie małe i brudne i jak mogło kiedyś wydawać się jego całym światem? Domu, w którym mieszkał z Sarą nie było, ale był dom Babki i to on był jego punktem orientacyjnym na mapie przeszłości. Obliczał w myślach kroki, przemierzał pola, żeby dotrzeć do tamtej gruszy, która nie istniała. Wszystko trwało zaorane i nieosiągalne...

*

Cały aż się spocił, kiedy dokonując przemyśleń uznał, że to właśnie tam... Wystarczyło przejść przez miedzę i tłuste kołchozowe bruzdy, żeby wczepić się palcami w ziemię i wygrzebać jedyną pozostałość po Sarze. Przeklinał siebie w duchu od kilkudziesięciu lat, że zostawił, zakopał, zamiast zabrać... ale wtedy był zaszczytny strachem, a litera S mogła naprowadzić na ślad innych...

*

– Więc przyjechaliście odwiedzić krewnych, towarzyszu Herman – zapytała osoba płci żeńskiej, do której go skierowano. – Okazało się, że nie żyją, a chciałbym przynajmniej stanąć w miejscu, gdzie kiedyś był dom, pozwólcie, proszę... – otarł pot chusteczką. – Pozwolimy, pozwolimy, jak przyjdzie czas, sami rozumiecie. – Rozumiem, rozumiem, czemu nie... – odpowiedział nerwowo. Nagle przyszło mu do głowy, że to pryszczate stworzenie należy gdzieś zaprosić na kawę, ugłaskać, bo wyczuwał, że ani obskurny pokój zwany biurem, ani czas, nie są jego sprzymierzeńcami.

*

– Zanim Jaszka wziął sprawę w swoje ręce – kontynuowała moja Matka – trzeba było wielu dni, w czasie których niezliczone garnki rosółu, dobrego na wszelkie depresje, wędrowały w rękach Babki do tamtego zamkniętego na głucho, dla świata, domu. Rozmawiała z Ickiem i wyprowadzała go z krętych korytarzy boleści. Karmiła i znowu do niego mówiła, a właściwie do jego ciała, przycupniętego na zmartwiałym z zimna piecu... Nie rozmawiali o Sarze, to raczej ona, Babka, wspominała swoje życie, snuła ciąg wydarzeń... Aż wreszcie, któregoś dnia Icek zrozumiał, że świat się nie skończył na zawsze, że jest mimo wszystko, a on, Herman, może coś jeszcze na nim zrobić. – Świat jest stosunkowo prosty – brzmiały mu w uszach ostatnie słowa Babki – albo ty pomagasz komuś, albo ktoś pomaga tobie. Icek w swojej nieskończonej żalości po Sarze, uczeplił się tej myśli gorączkowo i wydobył się po niej na powierzchnię. Babka Jadwinia, oprócz innych zalet miała jasne i proste zdanie na temat rzeczywistości, w czym bardzo przypominała mu zmarłą żonę. Wypił więc rosół, narzucił na siebie podartą marynarkę i wyszedł za nią do Jaszki.

*

– Pomijam wszystko, co się później działo, bo jest to dla mnie samej zbyt trudne, ale wierz mi, że wielu okazało swoją wilczą twarz, jeśli tak to można ująć najogólniej – kontynuowała Matka. – Faktem jest, że Icek, czy powiedzmy Herman, wrócił do miasteczka po latach, chociaż doprawdy sama nie wiem, po co mu to było...

Wrócił i pierwszą osobą, na którą się natknął w swoich poszukiwaniach ducha Sary, była Zoja, córka przewodniczącego kolchozu, córka Jaszki. Pracowała w miejscowej bibliotece. Pannica była po studiach w Moskwie i w bezmiarze nudy ucieszyła się, że może pomóc znanemu i wykształconemu człowiekowi, który przeprowadzał badania na tematy historyczne, a zarazem szukał śladów rodziny – tak jej powiedział – oczywiście w ramach dozwolonych i zaakceptowanych przez tutejsze władze.

A Herman chciał doprawdy niewiele: obejrzyć krajobraz i posiedzieć pod gruszą, której nie było. To się przecież dało zrobić. – Umówili się na coś w rodzaju randki czy spaceru i wyobraź sobie – mówiła moja Matka z przekąsem – ta biedna Zoja przyszła wystrojona jak na święto. A najważniejsze było to, że w kłapie kostiumu miała broszkę. Broszkę Sary. Icek oniemiał. Zabrakło mu tchu w piersiach, poczuł, że się dusi... ale po chwili zaczął ją spokojnie wypytywać o pochodzenie klejnotu. Ale panienka migiała się w zeznaniach – jakbyś ty to dzisiaj ujęła. Koniec końców wydusiła z siebie, że to rodzinna pamiątka. Można się było uśmieć...

*

Moja Matka zamilkła na długą chwilę. A ja zastanawiałam się, znając ją, dlaczego w ogóle opowiada mi tę historię. Nie czuła żadnego sentymentu do ludzi, którzy w taki czy inny sposób nie spełniali jej oczekiwań, a podświadomie czułam, że Icek – Herman już na pewno do nich nie należy. Jej rozumienie świata opierało się na zasadach niezmiennych od lat – wszystko było albo czarne, albo białe, żadnych niuansów ani żadnych, broń Boże, niedopowiedzeń. Z tego banalnego, ale jakże dokuczliwego powodu bałam się jej całe życie. Bardzo zależało mi na jej zdaniu i wiedziałam, jak bardzo łatwo uzyskać jej dezaprobatę. Zupełnie jak gdyby żyła w nieprzemierzalnym czasie, w którym nie dokonywały się zmiany, świecie czarno-białego filmu, który już przecież nie obowiązywał.

Nie lubiła Icka, nie wierzyła w jego miłość, dlatego wyparła z pamięci wiele szczegółów, po prostu uznała, że nie należy się nimi obciążać...

*

– Herman, który miał w Nowym Jorku nową żonę i nowe życie, postanowił ożenić się z Zoją z powodu broszki. – kontynuowała z niechęcią. – Doprawdy trudno powiedzieć, czym kieruje się męski umysł. Ogłupił dziewczuchę ze szczętem. Wiedział, że dla niej on, Icek – to szczyt ziemskiego szczęścia. Chociaż w tamtych czasach nie przedstawiał się nadzwyczajnie – łyсы i chudy. Umawiali się jeszcze kilkakrotnie, kiedy na któreś spotkanie Zoja przyszła bez broszki w kłapie. – Gdzie ona jest – wykrztusił Icek pokazując drżącym palcem puste miejsce. – O co chodzi, Herman – Zoja wzruszyła ramionami, nie wiedząc, że w tym momencie ważą się jej losy. – Gdzie broszka – wrzasnął nie panując nad sobą. – Przestań krzyczeć, kupiłam za nią suknię ślubną, zachodnią, z paczki. Mówię ci, Herman, cudenka. Oszalejesz, jak mnie w niej zobaczysz. Icek zmiął w ustach przekleństwo i dopadł białej szyi morderczym uściskiem.

*

Dawno już zapadła cisza, a ja widziałam jego piegowate dłonie zaciskające się na dorodnej szyi dziewczyny... okropność. – Naprawdę, zabił ją? – pytałam Matkę, która milczeniem odseparowała się od całej opowieści. Czulaam, że ją potępia i ignoruje jednocześnie. – Jeśli chcesz wiedzieć, udusił biedaczkę – powiedziała niespodziewanie dla nas obu – a potem słuch o nim zaginał. Broszkę przywiózł Babce ktoś stamtąd, kto pamiętał tamte czasy i tamtych ludzi.

*

– A co z Ickiem – zapytałam po kilku dniach. – Nie wiem – odpowiedziała – może zmienił imię na Igor, czy coś w tym rodzaju. To do niego podobne... Nic więcej nie chciała dodać. Dla niej ludzie zmieniający imiona zawsze byli podejrzani...

Lalka

W starej drwalce zachowały się jeszcze rysunki zwierzoludzi, precyzyjne w maniakalnym zagmatwaniu linii, ostre w okrucieństwie tak przejrzystym, że ciepło, jakie wywołują pod palcami, wydaje się nienaturalne. Czuję zapach smolnego drzewa i myślę o łani, która łagodzi napęczniały zapach lasu. Na dworze, między jałbioniami, schnie bielizna rozwieszona przez małomówną wróżkę z przeciwka.

Wróżka jest skryta i do niej nie chodzi się pożyczać soli. Jej drzwi mają zapach oleju, na jakim smaży racuchy, którymi karmi swoją ogromną lalkę. Pierwszego dnia, kiedy jeszcze nie wiedziałam, że jest wróżką, dotknęłam lalki. Poczulałam, że poruszyła się leniwie pod palcami, prężąc ciało, całując nieśmiało opuszki palców.

Wspomnienie lalki towarzyszy mi wszędzie. Jest nieodparte jak pierwsze wyznanie miłości, lekko zwilża wargi, a w mięśniach wywołuje napięcie, które za moment może rozmotać się w łagodność.

Stary kolejarz spod pierwszego dał mi powąchać karbidu. Ma dużą wybrzuszoną lampę i dzieci, które na jego imieniny na pewno przyjadą z Warszawy. Mruczy pod nosem zakłęcie, a potem sapie głośno: – Diabli nadali nam tę wróżkę! Boję się, że lalkę skusi któregoś dnia ostry zapach karbidu i pójdzie oswoić lampę ciepłym nocnego pocałunku. Jestem zazdrosna o lampę, o lalkę, o każdą z nich oddzielnie. Oswojona lampa przestanie być sobą, zamieni się w blachę z odrobiną szkła, oswojona lalka znieruchomieje pod palcami.

Dzieci kolejarza nie przyjeżdżają, za to wraca ze szpitala jego łagodna żona, wraca, by w domu umierać na raka. Ma spaloną skórę na piersi – leczyli ją lampą. Lampa jest smutna w zawieszynie zapachu karbidu.

Żona kolejarza zna bajki i lubi mnie czesać. Mówi: – Masz takie miękkie włosy, jak sierść kota.

Po paru dniach korytarz pachnie jedliną. Do domu kolejarza idą kobiety, żeby modlić się i płakać. Żona kolejarza leży w pięknej, mieniącej się od aniołków trumnie. Ma twarz nieruchomą i uśmiecha się do mnie. Widzę, że palce poruszają się lekko i czuję dotknięcie, szepc: – Masz takie miękkie włosy... Odwracam się, za mną stoi lalka, ma łzy w oczach i dłonie złożone do modlitwy, które posuwa powoli w kierunku moich oczu. Przepoławia dłońmi płaszczyznę widzenia: z jednej strony róg trumny, z drugiej oddychające gorącym okno.

– Uciekaj! – mówię. – Wszystkich się zdradza – dodaje z boku Stara Panna, a na jej głowie leciutko drży granatowa kokarda.

Wiem, że tego wszystkiego nie rozumiem, że chyba nie wolno mi rozumieć, a mimo to opieram się lalce, której złote ręce snują w powietrzu gęstość piesszoty, zapowiedź ukojenia w ciepłe skóry obcej, a jednak nagle przejętej w posiadanie.

– Uciekaj! – mówię. Stara Panna płacze. Lalka pokonana przesuwa twarz w powietrzu, za okno, prosto w pulsujący słońcem kurz. Jest łagodna jak łania, rozplywa się w zieleni, nagłej zieleni lasu, wynurzającej się z okna.

Czarno ubrane kobiety, tak konkretne jak zbyt wyraźne odczucie, jak zapach skwarek ze słoniny, przesłaniają las, rozbijają ciszę, kiedy szeptem zaczynają mówić o zmarłej dobrze. Była taka gospodarna, jedyna sąsiadka, co ten mąż bez niej zrobi, ożeni się jeszcze – to pewne jak dwa razy dwa, pani, pani nie zna kobiet, jak wywęszą wdowca, to zaraz się któraś przytuli.

Siwy kolejarz przytulił się pewnego dnia do lampy, pachnącej karbidem, ale tego nie zobaczy nikt, prócz mnie schodzącej na bosaka ze strychu.

– Masz już dwanaście lat – mówi matka – a takie z ciebie dziecko, już niedługo, a wydamy cię za mąż – śmieje się i lekki rumieniec pokrywa jej piękną młodą twarz. – Tylko ci lalki w głowie,

idź lepiej do wróżki, ciekawe, kogo sobie w kartach upatrzysz.

Pierwsze truskawki. Lubię je z cukrem rozgniecione, krwiste, żywym sokiem spływające do żołądka ściśniętego w oczekiwaniu, jak zwinięta dłoń. Życie staje się proste, nie ma już przyspieszenia oddechu w gęstniejącej mrokiem klatce schodowej. Klatce, w której zamknięta stara karbidówka jeszcze się pewnie zapali jak jaskrawy czerwony kwiat. W klatce, otwartej nagle podmuchem ludzi, człekoźwierząt zaczajonych i czyhających na nieskromny oddech jak na mocno wysmażony ochłap mięsa po obiedzie.

Dowiedziałam się. Te twarze rysował węglem syn tęgiej kobiety mieszkającej na poddaszu. To ogromny, tłusty mężczyzna w dobrze skrojonym garniturze, który ostrożnie wprowadza po południu po wysokich schodach drżącą laleczkę – narzeczoną, żeby przedstawić matce.

Budzę się rano spłoszona. Na prześcieradle ślady rozmazanej czekolady. – Mamo, mamó – krzyczę i płaczę. Skąd u mnie tyle czekolady? Boję się batów, pewnie znowu pod kołdrą łasuchowałam przed snem.

– To twoja pierwsza menstruacja – mówi matka. – Każda kobieta ma co pewien czas krwawienie. Każda zdrowa kobieta.

MONIKA KARPOWICZ

Publikujemy fragmenty pisanego w międzywojniu pamiętnika Moniki Karpowicz – córki znanego w Białymstoku i w Polsce bankiera – Józefa Karpowicza, właściciela majątku Bogdaniec koło Białegostoku.

Kserokopię rękopisu pamiętnika przekazała do moich prywatnych zbiorów pani Bogna Wciórka z Warszawy.

Niezwykłe losy Karpowiczów, jednej z najciekawszych rodzin ziemiańskich na Podlasiu, ciągle czekają na swojego odkrywcę. Podobnie, jak pamiętnik Moniki Karpowicz.

Być może kiedyś uda się go opublikować w całości. Być może nie tylko ten. Takich podlaskich pamiętników, niczym „arka pamięci rozrzucanych po morzu historii”, jest do odkrycia jeszcze wiele...

Jan Leończuk

Fragmenty pamiętnika

1.

Jezus i Maryja. Cóż oddam Panu za wszystko, czego mi udzielił?

Pierwsze moje wspomnienie: duży kwadratowy pokój o czterech oknach, owalny stół – dwie ławy na środku pokoju – przy których spacerujemy we dwie z siostrą bliźniaczką, z koszyczkami w ręku.

Drugie – wielka balej, w której czworo nas się chłapie...

W stołowym na stole duży samowar, na nim imbryk – dookoła szklanki – gospodaruje Babunia, więcej niż średniego wzrostu, w ciemnej sukni, okryta cienkim wełnianym szalem w kratę biało - czarno - szarą.

Wieczór, na kominku ogień, dookoła zebrani starsi – na drewnianej, wyplatanej kanapie i takichże krzesłach.

Dzieci bawią się z dala – ale chwytają każde słowo. Mówią o powstaniu 63. roku. Za i przeciw; każdy opowiada znane sobie epizody, momenty. Słyszyc się – Murawiew – Wiesziatel, a potem przechodzą do dawniejszych czasów – Napoleon, Kościuszko... niewola... gdzie szukać ratunku, jak się bronić?

2.

Miałyśmy swój pokój, który co dzień rano sprzątałyśmy same. O godzinie ósmej wchodziła do nas babcia, wszystko było gotowe – łóżka posłane, podłoga zamieciona, przetarta mokrą ścierką, kurze starte. Babcia wszystko obejrzała, szłyśmy na modlitwę, potem na śniadanie. Po śniadaniu – do ogrodu, do kwiatów, do pszczół, do piasku, na huśtawkę. Był w ogrodzie rozłożysty stary orzech włoski – po którym łatwo było się wspinać.

Potem były lekcje, chwila swobody i obiad. Po obiedzie szłyśmy z babcią do chorych, którym babcia nosiła lekarstwa i lepsze jedzenie. Czekaliśmy przed domem, aż Babcia wszystko załatwi i szłyśmy czasem do lasu, czasem w pole.

Wieczorem przychodzili do Babci ludzie. Wychodziło w odcinkach „Ogniem i mieczem” Sienkiewicza. Czytali ludzie z wielkim zainteresowaniem i ciekawość ich paliła – co dalej.

3.

Józefów. Miałyśmy 8 lat, kiedy przystąpiłyśmy po raz pierwszy do Komunii świętej. Babcia była sparaliżowana, jeździła w wózku. Ale na ten dzień przewieźli ją do nas. Pojechaliśmy z drugą babcią do parafialnego kościoła, egzamin z katechezy bardzo dobrze się udał.

W dzień I Komunii w białych sukienkach batystowych, wianek mirtowy przewiązany niebieską wstążką – jechaliśmy bardzo przejęte. Dzień ten pozostawił niezatarte wspomnienie na całe życie. Witano nas w domu bardzo uroczyście.

4.

Ojciec gospodarował, ale za ciężko było materialnie. Majątki obłożone kontrybucją po powstaniu – likwidowały się jeden po drugim. Ojciec starał się o pracę w mieście, ale szło bardzo ciężko.

Pewnego razu, kiedy miał w kieszeni tylko 3 ostatnie ruble, pojechał do miasta i zaszedł do znajomego sklepu – wszystkie były w rękach Żydów.

Kupcowa ucieszyła się, bo miała kłopot. W pewnym dworze dostał się jej kufer z rzeczami z kaplicy – obrazy, ornaty. Więc radzi się ojca – co z tym zrobić.

Ojciec ją pyta, co by zrobiła, gdyby to były rzeczy z synagogi?

Oddałaby do synagogi. Więc trzeba oddać kufer z zawartością do kościoła, bo są w nim rzeczy do służby bożej. A na wierzchu w kufrze leżał niewielki obrazek w owalnej ramce – św. Antoni. Ten obrazek ojciec wziął i ostatnie 3 ruble, które miał w kieszeni, dał za niego.

Po wyjściu ze sklepu spotkał znajomego, który mu zaproponował posadę.

Założenie filii Banku Wileńskiego. Ojciec miał Akademię Handlową – wkrótce miał już pracę i mieszkanie.

5.

Jesień, dzień zamglony, wiszą opary, białą płachtą zasłaniają pola, las, domy przydrożne. Jedziemy do szkoły. Jedyna szkoła dla dziewcząt. Internat – Rosyjski Instytut. Ciotki moje też się tu uczyły, ale mnie się w głowie nie mogło pomieścić, że mam się uczyć w rosyjskiej szkole!

Przyjmuje nas dama podobna do Baby Jagi, z ostrych rysów twarzy, wysoka, chuda. Jesteśmy o dwa tygodnie spóźnione. Żegnamy Ojca.

6.

Ojciec dostał pracę i wysłał nas do Belgii. Byliśmy tam rok w klasztorze sióstr franciszkanek, które prowadziły szkołę i internat. Uczyliśmy się francuskiego, a potem rachunkowości, rolnictwa, pszczelarstwa, malarstwa. Byliśmy łakome na wszystko – tylko już brakowało czasu. Poznałyśmy innych ludzi, inne zwyczaje. Nie odczuwało się różnicy między obywatelami. Każda robota była dobra i nikt się jej nie wstydził. Mieszkań nie zamykano, bo nie było zło-dziei.

Zwiedzałyśmy Belgię, nawet byłyśmy przedstawione królowi jako Polki.

Na pewnym zjeździe międzynarodowym byli Amerykanie, Szkoci i różni inni.

Miałyśmy taką rozmowę: Szkot mówi, że my jesteśmy Rosjanki – a my na to – A pan Irlandczyk! On na to dęba skacze, a nie może zrozumieć, że to to samo – takie my Rosjanki jak on Irlandczyk – dopiero Amerykanin mu tłumaczył.

1902 rok, babcia zmarła. Po powrocie zastałyśmy zmiany. Ojciec pracował w Rosji. Wakacje spędzał za granicą studiując spółdzielczość. Marzył o Banku Spółdzielczym dla Kongresówki.

Będąc w Rosji podjął się wydobycia z dna rzeki zatopionego statku ze zbożem, należącym do pewnego banku. Udało mu się to przeprowadzić, czem zyskał sobie uznanie i przy przychylności ludzi dostał pozwolenie na otwarcie filii banku rosyjskiego w Łodzi.

Dostał też ojciec mieszkanie funkcyjne, bardzo eleganckie. Ja tam nie miałam co robić i wyprosiłam sobie u ojca, że wrócę na wieś i będę uczyć.

7.

Rok 1905. Zachorowałam na uszy, trzeba było jechać do domu, do Łodzi, na kurację. Marzec. Zaczęły się strajki, a co za tym idzie – lokaut. Fabrykanci zabrali pieniądze i wyjechali za granicę, a robotnik został bez pracy i bez pieniędzy. Komitety pomocy rosylały dzieci na wieś, aby ciężki czas łatwiej przetrzymały. Przyje-

chałam do domu na samą robotę. Zaraz po wyzdrowieniu idę do Komitetu pomagac.

Maj. Pierwszy maj. Poprzedniego dnia przeszedł ulicami Łodzi pochód robotników. Szli za nimi żołnierze rosyjscy i policja. Śpiewali, mówili, rozeszli się. Na drugi dzień od rana miasto było obstawione sprowadzonym wojskiem. Przejść ulicą nie było można – bili albo zabierali. Robotnicy robili barykady, walczyli. Potem były masowe aresztowania.

Przyjechałam czwartego maja do Warszawy.

8.

Strajki szkolne pociągnęły następstwo zamknięcia uczelni wyższych w Warszawie. Uniwersytet był otwarty – ale młodzież nie uczęszczała na wykłady, nazwozili różnych amatorów z Rosji. Młodzież uciekała do Galicji – do Krakowa, Lwowa. Trzeba było zaopatrzyć wyjeżdżających przynajmniej na początek. Urządzano na ten cel koncerty, loterie, zabawy. Była taka zabawa na ten cel. Bawili się, tańczyli. Był pewien malarz z żoną – weszłam do sali i na nich się natknęłam. Patrzmy – i mówię: „tańczą we krwi – a jutro nie wiadomo, co będzie”. Trzeba trafu, że na drugi dzień malarz został zabity przez pomyłkę na ulicy – jakieś porachunki partyjne.

Spotkałam ja po paru miesiącach – mówi: „Pani mi przepowiedziała...”. A to był tylko zbieg okoliczności...

Pojechałam do Babci – szarytki – siostry Dziadka mego, do Lwowa.

Była przełożoną domu dla nieuleczalnie chorych. Miała wyjść za mąż, ale narzeczony zatrul się czymś pracując w aptece i zmarł – a ona wyjechała do Paryża i wstąpiła do szarytek.

9.

Pewnego wieczoru zebranie towarzyskie młodzieży, tańce. Ja przy bufecie. W pewnej chwili odwołuje mnie Mania, żeby poznać z kolegą, o którym nieraz mówili nasi współtowarzysze me-

dycy. Poznaliśmy się, jedna chwila i odeszłam od bufetu. Wracając mówię do Mani – on będzie moim mężem.

Na drugi dzień poszłam na odczyt – sala pełniutka, stoję w tłoku, ktoś mnie pociąga za suknię, oglądam się – mój nowy znajomy, ustępuje mi miejsce na oknie. Odtąd spotykamy się często. Pierwszego czerwca umawiamy się na Panieńskie skały. Pożyczyłam sukienkę od Mani – wracamy – narzeczeni.

Bóg strzegł, że trafiłam na człowieka. Uczucie ogarnęło mnie całą. Pustka wewnętrzna spowodowana utratą wiary – otwarła się na przyjęcie uczucia ziemskiego, które mnie zabrało bez reszty. Idziemy na Kopiec Kościuszki.

Jeszcze chcę się bronić. Mam swoje cele, wytkniętą drogę – po co mam mu sobą życie zajmować, rozejdziemy się, każdy wróci do swego – zapomnimy...

Ale on tego nie chciał. Ostatnie egzaminy z medycyny. Jadę do domu...

10.

Kraków. Ciocia zamieszkała z córkami i miały lokatorki. Przyjechałam za późno, nie było miejsca. Wynajęłam pokój. Mietek kończył egzaminy. Już niewiele zostało. Postanowiliśmy się pobrać. Gdy napisał o tym do swoich otrzymał kategoryczną odmowę pozwolenia od matki – ale Ojciec inaczej się ustosunkował. Wysłała go matka do mego ojca, aby tę sprawę omówili i nie zgodzili się na nasze pobranie się. Ale dziwnie się nieraz składa – nasi ojcowie chodzili do tej samej szkoły, porozmawiali ze sobą bardzo serdecznie i ta wizyta spowodowała list Ojca Mietka, bardzo serdeczny i z błogosławieństwem.

Ślub miał być na Wielkanoc. Rodzice przyjechali i Matka Mietka z siostrą.

W drugi dzień świąt przyszedł po mnie mój Ojciec, wziął pudełko z moją suknią i kapeluszem i poszliśmy do Cioci. Tam się ubrałam i wszyscy poszliśmy do kościoła świętego Mikołaja na ulicę Kopernika.

Mieszkanie dostaliśmy nad Wisłą, nazywaliśmy – na „Bernardynce”.

11.

Warszawa. U moich rodziców. Choruję na nerki. Przychodzi na świat Stefa.

Mieszkamy w dużym pokoju. Mietek pracuje w szpitalu, często ma nocne dyżury. W nocy, jak się dziecko odezwie, przychodzi Ojciec, przewija. Jeżeli trzeba, podaje mi do piersi. Wyjeżdżam z matką na wieś. Karmię butelką. Dziecko dużo śpi, często przesyfia przy jedzeniu, aż wreszcie zasłabło. Wezwany lekarz zalecił pokarm kobiecy, więc przychodziła dwa razy dziennie kobieta i dokarmiła.

Mietek musiał zdobyć dyplom rosyjski, dlatego pojechał na egzaminy do Kijowa. Ja byłam na wsi, wychowywałam naszą córkę, wieczorami uczyłam wiejskie dzieci. Nie od razu przekonałam się do mojej Stefy – chciałam mieć samych chłopaków, żeby Polska miała żołnierzy.

Mietek wrócił, wynajął mieszkanie na Pradze, 3 pokoje z kuchnią.

12.

W roku 1914 dał o sobie znać Tadzio. Trzeba było pomyśleć o lepszych warunkach. Mietek dostał posadę lekarza przy fabryce – cukrowni, na Podolu.

Przygotowany był do tej pracy uczęszczając na chirurgię wewnętrzną. Mietek przyjechał do nas na wieś w marcu. Ja miałam do spakowania meble, rzeczy trzeba było wysłać. Mieliśmy jechać zaraz po Wielkiejnocy.

Podole, szpitalik murowany, w ogrodzie obszerny dom z tarasem, pokoi siedem. Przyjechała ze mną gosposia, która była u mnie w Warszawie.

Zastałam święconego na cały miesiąc. Na początku niczego nam nie brakowało.

Mietek miał dwóch felczerów – Rusinów, bardzo niechętnie usposobionych, był też jeden posługacz. Ludność niechętnie odnosiła się do Polaków – urzędników i właścicieli.

Mieliśmy wszystkiego w bród – mleka, masła, śmietany, owo-

ców. Cudne powietrze, nerki zupełnie wyleczyłam ciepłym mlekiem. Stefcia się poprawiła, Tazio też. Przyjechali rodzice Mietka z siostrą.

13.

Dziwny miałam sen. Przeszły przez mieszkanie obie moje babcie ubrane na czarno. Widziałam jakby pustynię pełną piasku, na niej połamane kolumny;

Szedł tłum ludzi uginających się pod ciężarem różnych tobołków, szli starcy, dzieci, padali, nikt ich nie podnosił... A na niebie – Krzyż ogromny z chmur.

Po obudzeniu się opowiedziałam mężowi ten sen...

Następnego dnia dowiadujemy się, że wojna!

Męża zabierają na pobór żołnierzy. Przyjeżdża Żyd, który nam dostarczał mięso i chce protekcji dla poborowego, przeganiam go oczywiście.

Mietek ciągle w rozjazdach, chciałby przenieść się do Warszawy, nawiązuje kontakt z naczelnym lekarzem kolejowym w Warszawie.

Przyszła ostra zima. Przychodzili z cukrowni inżynier z żoną, bardzo mili ludzie. Mietek dostał posadę lekarza kolejowego w Kowlu – z tem, że przy pierwszej okazji będzie przeniesiony do Warszawy.

14.

Niemcy coraz bliżej Kowla. Przyjechał Mietek na kilka dni, jedzie zaraz do Moskwy, stamtąd da znać, gdzie go wyznaczą. List od matki z Warszawy. Pisała, że Moskale wychodzą, że ich Niemcy pędzą, że Stefan – młodszy brat Mietka – jest w Legionach Piłsudskiego.

Mietek pojechał. Zanim dostałam od niego wiadomość – przyszło zawiadomienie dyrektora cukrowni, że trzeba wyjeżdżać, bo Niemcy się przybliżają. Zabieram co się da. Jedziemy do Połtawy.

Tam jest rodzina kuzynki Mietka i mamy ich adres. Przyjęli nas bardzo serdecznie – i choć ciasno – zmieściliśmy się.

Po miesiącu – dzięki spotkaniu Mietka z bratem Zosi – trzeba było wybierać się w drogę do Brańska, za Orłem.

Orzeł, stacja zapchana wygnańcami z Polski i żołnierzami. Wreszcie pociąg do Brańska. Mietek pisał, że do osiedla kolei blisko, ale nikt mnie nie chce objaśnić. Zostawiam gosposię z dziećmi na tobołkach, idę szukać osiedla, dochodzę do ambulatorium, stamtąd woźny prowadzi mnie do Mietka. Idziemy na stację po dzieci. Mieszkancko w drewnianym baraku, ale rzeczy mamy niewiele. Dzięki Bogu jesteśmy razem, to najważniejsze.

Przyjechaliśmy 13 października. Spadł śnieg. Jesteśmy w sercu Rosji, lud prawie dziki, obok nas wieś osiedleńców – po odbytych więzieniu, bieda aż piszczy...

15.

Mietek wraca z jakiegoś ciężkiego porodu. Ale udało się. Mówi: „Wracam z tamtego świata. Cesarz abdykował. Zmieniły się rządy, głową państwa Kiereński – socjalista”.

Front się dezorganizuje ostatecznie, żołnierze nie chcą się bić. Ameryka pomaga Koalicji. Wilson ogłasza wolną Polskę! Duch nowy wstępuje w nasze serca. Co znaczą wszystkie nasze biedy wobec tego, że Polska znów będzie wolna. Jaka radość, jakie szczęście!

Ojciec mój wyjeżdża z Mamą i Halszką na Krym, na odpoczynek. W drodze zachorowuje poważnie – lekarze rokują – rak żołądka. Śni mi się, że trzeba dać na mszę świętą przed ołtarzem Matki Boskiej Ostrobramskiej. Przechodzą miesiące, ojciec sama skóra i kości, ale mówi: Będę żył.

Zima, marzec. Któregoś dnia koło południa przychodzą robotnicy. Przenosimy doktora do należącego mu mieszkania. Cztery pokoje, puste, zrobili nam tapczan, szafę, stół, stołki.

W pierwszych dniach kwietnia przyjechała Mama. Piątego urodził się Adaś. Był malutki, urodził się prędko.

16.

Przyszła czas na wyjazd do Ojczyzny. Nasi kolejarze z Brańska i z Orla – już się wybierali i nas zabierali. Robotnicy bardzo Mietka prosili i namawiali, żeby został, ale gdy zrozumieli, że każdemu najmiłsza jest ojczyzna, przygotowali dla nas wagon z oknami, ławkami, drabinką, nawet były klatki na kury. Zabieraliśmy wszystko, co się dało. Jechaliśmy 5 tygodni z różnymi przygodami i przerwami. Niemcy dali nam wagon do połowy założony nawozem i na 30 osób. Ile pracy kosztowało oczyszczenie wagonu! Ale to nic nie znaczyło w porównaniu z tem, żeśmy się zbliżali do celu.

Warszawa. Już tobołki związane, gotowe do wysiadania, ale niestety, trzeba nocować w wagonie. Na drugi dzień jedziemy na Marszałkowską, do moich rodziców. Ojciec zbiega pierwszy – wyzdrowiał, mówił, że będę żył – i żyje – bierze Adasia na ręce i wprowadza do mieszkania. Dopiero odprężenie i odpoczynek po trudach podróży!

17.

Mietek dostał się do wojska na lekarza. Niemcy uciekli, a nasi obejmowali ich stanowiska. Mietek dostał szpital we Włocławku i zaraz tam wyjechał. Czekalam z dziećmi u rodziców, zanim dostał mieszkanie po Niemcach, na drugim piętrze – pięć pokoi, umeblowane, od Komendy. Szpital pochłoniął Mietka bez reszty. Nic nie było, trzeba było wszystko zdobywać.

Chorych miał dużo, do pomocy młodego lekarza i sanitariuszy. Zrobił dla nich kurs, który sam opracował i prowadził; przygotowywał kadrę sanitarną do wysłania na front. Zima była dla mnie dość ciężka, drugie piętro, pięć pieców – nanosić węgla, narąbać drzewa. Mógł Mietek dać ordynansa, ale uważałam, że to niewłaściwe, aby posługiwać się żołnierzem.

Przyszła Wielkanoc. Wzięła mnie hiszpanka z zapaleniem płuc. O pierwszej w nocy Mietek zerwał się, znalazł u mnie brak pulsu – kamfora – do piątej rano utrzymywał mnie przy życiu. Kilka dni byłam nieprzytomna, chorowałam długo. Po zapaleniu płuc była

woda w boku. Przyszedł kolega Mietka – Żyd, aby ją wypuścić. A syn mój taki mały jeszcze, złapał babcię za spodnie i krzyczy: „Babciu, to Żyd!” Doktor to posłyszał, wziął go na kolana i powiedział: „Tak, chłopcze, Żyd, ale doktor – kolega twego tatusia, trzeba twoją mamę ratować, bo bardzo chora, a ojca nie ma”.

18.

Mietek starał się o przeniesienie do Białegostoku, do szpitala wojskowego. Wyjechaliśmy w zimie, w początkach 20 roku. Mietek miał oddział laryngologiczny. Mieszkanie było spore, trochę mebli dostaliśmy od rodziców.

Domek stał w sporym ogrodzie. W szopie były króliki, mieliśmy też czarnego prosiaczka, który za nami biegał.

Moim światem był dom. Mąż – jego zainteresowania, dzieci – ich wychowanie, ich potrzeby. Staralam się obszyć dom – szylam wszystką bieliznę, a i ubranka według nabytych wzorów, dopóki nie poszli do gimnazjum. Nawet uszyłam sobie raz suknię wieczorową – też według wzoru, bo była zabawa wojskowa, na której musiały być żony oficerów.

Mieliśmy blisko do Józefowa, toteż nieraz korzystaliśmy w dniе święteczne i letnie z tej bliskości.

W Białymstoku byłam w swoim rodzinnym mieście. Chodziliśmy do kościoła, który za mego dzieciństwa był małej, ale gdy starano się o postawienie drugiego na wysoko położonym starym cmentarzu, władze carskie odmówiły pozwolenia, motywując tem, że na tak wysokim miejscu powinna stać cerkiew. Dzięki energii ojca mego i jego znajomościom otrzymano pozwolenie na budowanie kościoła.

19.

Front coraz bliżej. Coraz więcej dezercji. Coraz więcej wojska zmęczonego, nieraz przerażonego. Prawdziwa ucieczka. Zaledwie Polska odżyła – a już żołnierze się załamują, już uciekają przed wrogiem, nie bronią własnej ziemi. Rozkaz – rodziny wojskowe

ewakuować!

Kamień spadł mi na głowę, nie mogłam pojąć, że mamy uciekać przed wrogiem.

To było okropne. A co dalej, co dalej? Gdzie się zatrzyma? Kto go zatrzyma? Tyle zdrady, tyle dywersji.

Zajechaliśmy do Warszawy, do rodziców Mietka i tam przebyliśmy dwa tygodnie. Warszawa przygotowuje się do obrony.

Warszawa otoczona, wśród oficerów są zdrajcy... Po mieście, po wałach idzie procesja z Przenajświętszym Sakramentem. Cała ufność w Boga. Walczą – poszły na wroga oddziały młodzieży, dzieci – prowadzi ksiądz Skorupka z krzyżem w dłoni. Padł. I oni kładą się pokotem. Ale robi się zamieszanie w szeregach wroga! Odstępują! Uciekają.

Mówili jeńcy : „Jak ta wasza Pani rozpuściła swój płaszcz, to was przykryła, a na nas puściła strach” – i uciekali bez pamięci. W dzień Wniebowzięcia Maryi Panny, naszej Królowej! Warszawa wolna.

Popielniczka

Popielniczka... Są różne popielniczki. Rzadko można spotkać dwie takie same popielniczki w dwóch różnych domach. Wyjątek stanowią popielniczki w barach, miejscach publicznych i na przystankach. Osobiście chyba tylko raz widziałem popielniczkę taką samą jak moja. Zresztą była innego koloru. Myślę, że popielniczki chyba się dziedziczy. Po rodzicach, dziadkach, wujkach. Nie pamiętam, aby ktoś z moich znajomych chwalił się kupnem popielniczki. One po prostu są. Używane lub nie, ale są. Nawet jako ozdoba. Od bardzo ładnych, kryształowych na przykład, po najzwyklejsze, prawie niczym się nie wyróżniające. Za popielniczki nie uważam puszek, butelek czy słoików. Muszelek zresztą też nie. Nie da się chyba opisać popielniczki, którą można by uznać za standardową. Nie ma też chyba jakiejś charakterystycznej cechy wspólnej dla wszystkich popielniczek. Oczywiście, poza wgłębieniem na popiół i rowkami na papierosy.

Z zawartości popielniczki można wywnioskować kilka rzeczy. Chyba najbardziej rzucającą się w oczy jest długość niedopałków. Przeciętny niedopałek zgaszony został kilka milimetrów przed filtrem, o ile był to papieros z filtrem. Z takiego niedopałka czasem można wywnioskować, czy należał do kobiety czy do mężczyzny. Banalne, ale ślad szminki mówi sam za siebie. Co innego, jeśli śladu szminki ani śladu. Tu z pomocą może przyjść sam kształt niedopałka. To teoria niedawno przeze mnie zasłyszana. Nie jest ona w stu procentach sprawdzalna, ale widocznie coś w tym musi być. Otóż kobiety, według tej teorii, gaszą papierosa pionowo, nie zginając go. Taki niedopałek jest w zasadzie prosty, w przeciwieństwie do męskich niedopałków, które są zginane. To znaczy żar na

końcu papierosa jest przyduszany filtrem. Taki niedopałek gdy się go podniesie wygląda mniej więcej jak jedyńka arabska. Niedopałek damski też wygląda jak jedyńka, ale rzymska. Teoria ciekawa, aczkolwiek nie zawsze potwierdzalna. Inna sprawa to wspomniana wcześniej długość niedopałka. Jeśli jest przeciętna to wiele powiedzieć nie można. Inaczej gdy niedopałek jest dłuższy niż zwykle, w skrajnych przypadkach, gdy jest to ledwo napoczęty papieros. Prawie zawsze świadczy to o braku czasu. Charakterystyczne na przystankach autobusowych w popielniczkach w koszach na śmieci. Tam długość niedopałka świadczy o tym ile mniej więcej czasu przed przyjazdem autobusu ktoś zapalił papierosa. Faktem jest, że pośpiech również wpływa na długość niedopałka. Zależność jest wprost proporcjonalna.

Bywa czasem tak, że popielniczka skupia wokół siebie ludzi. Może to sprzyjać zawarciu ewentualnej nowej znajomości. Aczkolwiek nie musi. Popielniczka... to tyle jeśli chodzi o popielniczkę. Temat jak mniemam nie został jednak wyczerpany. Przynajmniej na razie.

Medytacje z papierosem

Nie mam wątpliwości co do tego, że palenie tytoniu to swoiste więzienie. Ale kto jak sobie ułoży życie w tym więzieniu jest osobistą sprawą każdego człowieka. Czytając „Zmartwychwstanie” Tolstoję można wyciągnąć wniosek, iż więźniowie rosyjscy dzielą się na trzy podstawowe kategorie: wariatów, niewinnych i filozofów. Wariaci to ludzie, którzy na skutek napięcia nerwowego, lęku i złych warunków w jakich przebywali po prostu postradali zmysły. Tym ludziom było wszystko jedno czy znajdują się w murach Bastylii, czy na plaży w Brazylii. Niewinni są również ciekawymi ludźmi. Na wszelkie oskarżenia odpowiadają przecząco, płaczą i narzekają. Przekonani są o własnej niewinności i pomyłce sądu co do ich wyroku. Morderca czy oszust, nieważne. Niewinni i tyle. (Pomyłki sądu owszem były nawet częste, ale w końcu cóż ci na-

prawdę niewinni mogli poradzić). Trzecia kategoria to filozofowie. Potrafili na swoim więziennym losie, jak na solidnym fundamencie, wybudować teorie, które czyniły z nich świętych męczenników. Dopasowali do swojego życia filozofię, przez co ich istnienie nabierało znaczenia. Posłużyłem się tym pozornie dziwnym i odległym porównaniem, aby wykazać analogię więzienia w stosunku do osób palących tytoń, którzy chcą czy nie chcą są zniewoleni przez nałóg. Analogia jest wyrazista. Palacze albo są do tego stopnia zniewoleni, że palą tytoń absolutnie pod każdą postacią i świat rzeczywisty umyka im poza zasłoną dymu. Natomiast najliczniejszą grupę stanowią (podobnie jak wśród więźniów) ci, którzy całe życie przeklinają siebie za swoją słabość i innych za to, że im nie pomagają w pokonaniu nałogu, a wręcz jeszcze bardziej ich pogrążają. Odmianą grupę stanowią ci, którzy mając świadomość, jak by nie było, zła, wynikającego z palenia, dorobili do tego filozofię i spokojnie palą sobie przez całe życie, mając usprawiedliwienie w postaci argumentów. Ja należę do tej trzeciej grupy, ale zastrzegam, to co powiedziałem do tej pory i to co powiem dalej, jest moim subiektywnym odczuciem i nie mam zamiaru nikogo przekonywać, że palenie jest dobre czy wartościowe.

Palenie może w pewnym stopniu potwierdzać nasze istnienie. Wiara człowieka nie jest pozbawiona zewnętrznych, namacalnych znaków, rytuałów. One pozwalają przeżywać głębiej, niejako dotknąć nieuchwytnego. Przybliżyć nieokreślone, wejść w Tajemnicę. Na płaszczyźnie biologicznej takie fakty jak krążenie krwi czy oddech są niezaprzeczalne. Są także nieuchwytny. Krew własną widzimy rzadko, ale mamy świadomość jej ruchu. Zakryte, a jednak wiadome. Oddech jest pierwotnym aktem sprawczym istnienia. Powietrza nie widać, a jednak świadomość oddechu jest w nas obecna. Tajemnica zakryta, ale uświadamiana. Każdy choć raz pokosztował smaku własnej krwi, każdy choć raz, przez chwilę nawet, ale czuł powietrze we własnym oddechu. Podobnie jest z paleniem tytoniu. Jest to czynność niejako wtórna czy pochodna oddychaniu i krążeniu krwi. Zaciągając się papierosem mamy przed oczami ten dym, zmaterializowaną substancję, niemierzalną, nieokreśloną, ale widoczną. Po czym przez drogi oddechowe dym przenika do płuc, wypełnia je, przenika do krwi, w końcu w deli-

katny sposób pobudza nasz organizm. Na języku i w gardle pozostaje wyczuwalny posmak tej dziwnej substancji, w świadomości ulotne uczucie odprężenia, lekkości, dziwności przeżywanej chwili. Palenie i zaciąganie się dymem potwierdza więc nasze istnienie w danym czasie poprzez doświadczenie zbliżone bardzo do oddychania, bardziej jednak od niego namacalne i świadome, wręcz widoczne.

Przyjrzyjmy się samym papierosom, bo o takiej formie spożywania tytoniu mówię. Jest stosunkowo niewielki w porównaniu do innych przedmiotów czy naszego ciała. Okrągły w przekroju, podłużny, kolor końca wyrazisty, odmienny od reszty. Wkładany delikatnie przez kobietę do ust po czym wyjmowany w pośpiechu czy w skupieniu, nabiera tu rangi symbolu fallicznego. Mężczyzna trzymający go w dłoni w jakiś sposób odsłania się, staje się ekshibicjonistą. Robiąc to publicznie, nieświadomie masturbuje się, oczywiście psychicznie. Niczego nie podejrzewając, oddaje się tej rozkoszy jaką jest palenie, gdyż niewątpliwie jest to przyjemność, w dodatku dość intymna. Pokazywanie, odsłanianie tej właśnie sfery jaką jest intymność, czy to przez artystę w formie jego dzieł, czy też przez palącego, bo palenie jest również bardzo osobistym przeżyciem, ma samo w sobie element ekshibicjonizmu. Na pytanie dotyczące tej sfery w przypadku kobiety, odpowiedzi trzeba szukać u źródeł teorii Freuda w psychoanalizie. Krok w tej sprawie został przeze mnie dokonany już przez samo postawienie kwestii w takim świetle.

Palenie tytoniu to także swoisty hazard, igranie z własnym życiem, zdrowiem. Narazamy się na niebezpieczeństwo mając jednocześnie świadomość kontroli nad swoim życiem. Palący nie poddaje się biernie losowi. Stara się nad nim zapanować. Wprowadza w swą egzystencję pewien element, który jest wyłącznie jego własnością. Element niezależny od świata zewnętrznego. Trwały, ograniczony jedynie barierą śmierci. O jego bycie decyduje tylko człowiek. Zegar może się zatrzymać, królestwo upaść, a ten element pozostaje żywy. Palenie dyktuje nam swoje warunki. Musimy je akceptować, aby nie być odrzuconym. Przyjmujemy zwierzchnictwo tej siły świadomie. Świadomie decydujemy się na ponoszenie wszelkich konsekwencji wynikających z oddania się tej sile. To jest

jak przebywanie w otwartej klatce na szczycie wielkiej góry. Można wyjść z klatki i wędrować, szukać, z tym, że wyżej niż na szczyt nigdy nie dojdziemy. Więc po co błądzić skoro można trwać na wierzchołku, widzieć więcej, doświadczać pełni, mieć ponad sobą bezkresne niebo, a czasem spoglądać w dół by się przekonać, że z góry widać więcej niż z dołu. Nawet czas upływa wtedy inaczej. Raz wolniej, innym razem szybciej, a czasami zatrzymuje się w miejscu, pozwalając mi głębiej zajrzeć w siebie, dostrzec to, że moje życie jest tylko jednym z wariantów i możliwości realizacji człowieczeństwa.

Szafiry

(powieść fantazy)

Rozdział 20. „Dor Lothluin”

Rany paliły ogniem. Kaźdy, bodaj najmniejszy ruch sprawiał ból. Gorączka trawiła go dniem i nocą.

Nie wiedział, gdzie jest i co się z nim dzieje. Nie rozróżniał miejsc, osób i zdarzeń. Nie docierał do niego fakt mijającego czasu, a głośy które słyszał nie należały do nikogo, nic nie przypominały, były niczym.

Tylko upiory. Upiory bólu, przeszłości, niemocy. Tylko one istniały i rwały jego ciało i duszę na strzępy. Kawałek po kawałku. Cierpliwie. Metodycznie. Z satysfakcją przypatrując się jego cierpieniom.

A wszystko po to, by przestał być. Wszystko po to, by stanął przed początkiem i końcem, oślepiając jasnością, bytem w niebycie.

I żeby już nie wracał.

Żeby został.

Już.

- Trzymaj go! Mocno!
- Nie mogę! Nie dam rady! Nie wiem, co się dzieje!
- Walczy, ciągle walczy.
- Ale ta siła jest zdumiewająca! Jeśli będzie tak dalej... Na bogów! Spójrz!!! Cóż to?!

- Moc, moja droga, moc, która drzemie w każdym z nas. Nie uważałaś tego wcześniej?
- Tak, ale nigdy w ten sposób. Co się dzieje? Powiedz!
- Jest na pograniczu. Nic nie możemy zrobić. Teraz wszystko zależy od niego, od jego chęci życia i woli walki. Od tego, czy jest tu coś, co potrafi go zatrzymać. Trzymaj go, na bogów! Nie pozwól zerwać bandaży!
- Ale on tak cierpi, tak bardzo... To straszne. Synu mój!
- Co czynisz?! Nie puszczaj rąk!
- Chcę mu ulżyć!
- Jedynę co możesz, to czekać!
- Jestem jego matką! Czy wiesz, co czuje matka...?
- Wiem. Nawet nie wiesz, jak dobrze.
- Nareszcie...
- Wygrał?
- Może?
- To już trzeci atak.
- Ich liczba o niczym nie świadczy. Mógł być jeden, ale ostateczny. Były trzy, a on wciąż jest z nami.
- Czy to znaczy, że...
- Módlmy się, aby tak było.

Noc. Noc czarna jak Otchłań. Tylko gwiazdy, gwiazdy na niebie. Błyszczące jak srebrne cętki na grubym aksamicie. Oślepiające, wirujące, tańczące pośród nieprzeniknionej czerni, bezkresnej i głuchej.

I cisza. Cisza oblepiająca wszystko, niczym gęsta mgła, mokra i zimna. Obrzydliwa. Przygniatająca niemożliwym ciężarem. Straszna.

Nic, tylko noc, gwiazdy i cisza. Cisza, gwiazdy i noc. I bezwład. I ból. I cierpienie.

- Mamo... - wyszeptał spieczonymi wargami. - Mamo... Gdzie jesteś...?

Chciał otworzyć oczy, ale blask dnia wpił się w jego źrenice niczym lodowa obręcz, ściskająca głowę przesywającym kluciem.

Jęknął i odwrócił twarz od wszechobecnej jasności.

Bolało go wszystko. Szyja, gdy odwrócił głowę, ręce, gdy próbował podnieść je do twarzy, klatka piersiowa, gdy odetchnął głębiej, nogi, gdy usiłował nimi poruszyć. Ból był obezwładniający, ale czuł go, a więc żył.

Ponownie otworzył oczy, tym razem wolno, by przyzwyczaić wzrok do białości dnia. Z trudem uniósł się na łokciach, rozejrzał po pokoju.

Był w domu. W Kemenman. W zamku swego ojca, w Sindamar. Jak się tu dostał?

Spróbował wstać. Niebo z gwiazdami, oślepiająca jasność poranka i szarobłękitna komnata zawirowały w szaleńczym tańcu. Ciało odpowiedziało mdłą słabością. Chwycił się brzegu łoża i odychając ciężko przeczekał bezsilność.

– Mamo... – szepnął znowu. – Mamo, pomóż mi...

Uniósł głowę dopiero, gdy zawrotne srebrzyste kręgi zwolniły tempo. Tuż obok łóżka dostrzegł szafkę rzeźbioną w smoki, a na niej dzban z wodą i kielich. Drżącą dłonią ujął ucho dzbana i niepewnie podniósł go do ust. Pił łapczywie, z każdym łykiem czując ulgę ogarniającą ciało. Woda, cienkim strumieniem, spływała po jego twarzy, na szyję i białą, jedwabną koszulę.

Zakrztusił się. Kaszłąc, odstawił dzbanek i spojrzął po pokoju.

Na karle, stojącym z drugiej strony łóżka, ktoś zostawił jego ubranie. Czyste, pachnące, bez śladów krwi, potu czy błota. Wolno, bardzo wolno sięgnął po nie i z trudem naciągnął na siebie, nie mając już siły, by zmienić koszulę, a nawet upchnąć ją dokładnie w spodniach i do końca związać tasiemkami.

Czepiając się oparć łoża i foteli stojących tuż obok, wstał i z niemalym trudem podszedł do okna. Otworzył je, wychudłym policzkiem opierając się o chłodną szybę i wysunął dłonie do słońca.

Był koniec września, ciepłego, słonecznego, pachnącego liśćmi i dymami ognisk, ciężkiego od jabłek, zasnutego mgłami i lepkiemi nitkami babiego lata.

Ciepły wiatr dmuchnął w jego bladą twarz, przywiał pęk kolorowych liści, z których jeden, wirując w słońcu, musnął go delikatnie, lekko, aksamitnie, niczym skrzydło ptaka. Złocistego ptaka...

Araiwe! Gryf królowej!

Erin!!!

Tak szybko, na ile pozwoliły mu rany, odwrócił się od okna. Pamiętał! Już pamiętał wszystko. Wiedział, co się stało, jak i dlaczego znalazł się w Kemenman. Już wiedział.

Chwiejnym krokiem ruszył do drzwi. Gdzieś w zamku na pewno są jego rodzice. Musi też być służba. I Erin.

Wyszedł na korytarz, szary, kamienny. Nie przypuszczał, że otwarcie drzwi sprawi mu kłopot, a jednak tak się stało. Wciąż był słaby. Zbyt słaby na cokolwiek.

Potykając się, wspierając na kamiennych kolumnach, rzeźbach, wykuszach okien, szedł w zapamiętaniu przed siebie, mimo bólu, niemocy i ran. Szedł, coraz częściej napotykając straż i służbę, przerażonych widokiem jego chorobliwie bladej twarzy, rozżarzonego gorączką spojrzeniem, gotową wesprzeć go i zawrócić z drogi. Ale nie dawał sobie pomóc. Szedł od komnaty do komnaty nawołując Erin lub matkę, lecz nikt nie odpowiadał na jego wołania. Nikt.

Aż wreszcie przeznaczenie pochwyciło jego głos i stawiło się na wezwanie bólu i rozpacz. Niemy rozkazem zawiodło go do małej zapomnianej komnaty, położonej w samym końcu bocznej korytarza, w najstarszym, wschodnim skrzydle zamku. Tam odkryło przed nim tajemnicę.

Gdy królowa Neldewen, zaniepokojona jego zachowaniem, wbiegła do komnaty, sprowadzona z królewskich ogrodów przez wierną służbę, zastała go wspartego o okap zasnutego pajęczynami kominka, wpatzonego nieruchomo w mały, owalny przedmiot, ściskany w smukłej dłoni.

Usłyszał jej kroki, zanim weszła. Usłyszał bicie serca i przyspieszony oddech. Obrócił się wolno i spojrzał jej w twarz.

– Mamo – szepnął, a w oczach miał cierpienie. Wyciągnął do niej rękę z owalnym kształtem i spytał cicho – To Ersarna, prawda?

Neldewen skinęła twierdząco głową.

Odwrócił od niej wzrok i drgnął, jakby zabrakło mu sił i za chwilę miał upaść. Służba rzuciła się ku niemu, ale powstrzymał ją stanowczym gestem. Znów spojrzał na matkę.

– Już wszystko rozumiem – rzekł. – Nareszcie wszystko rozumiem.

– Jak się czujesz? – Ersarna przysiadła na brzegu łóżka i spojrzała na księcia z ciepłym uśmiechem.

Dimgaladh siedział oparty o poduszkę, zdobną w hafty i koronki. Wciąż był blady, ale szczupłych policzków i smutnych oczu nie trawiła już śmiertelna gorączka.

– Dobrze – odparł, ale zaraz poprawił się – Prawie dobrze.

Ersarna westchnęła ciężko i uściśnęła jego dłoń w geście pocieszenia.

– Nie zamartwiaj się, kochanie. Odnajdziesz ją, tak jak raz już odnalazłeś. Bogowie nie pozwolą, aby ludzka złość rozdzieliła was na zawsze. Zresztą, nie takie jest wasze przeznaczenie.

– Przeznaczenie! – W głosie księcia brzmiała gorycz.

Spomiędzy fałd kołdry, okrywającej jego nogi, wydobyl owalny portret młodej kobiety o jasnych włosach. Smutek jej wielkich oczu koloru bławatka do złudzenia przypominał smutek innych, równie ogromnych i równie pięknych. Ale tamte były szare.

– Byłem głupi. Głupi i głuchy na wewnętrzny szept mocy i serca – rzekł twardo. – Jak mogłem przeoczyć tak wielkie podobieństwo? Chyba tylko przez wspomnienie błękitu spojrzenia Ersarny.

– Nie zadreżaj się, dziecko. – Neldewen wyjęła portret z rąk Dimgaladha i przyjrzała mu się. – Każdy z nas popełnia błędy, nawet nie wiesz jak wielkie. Niektóre z nich żyją z nami do końca naszych dni, a my nie możemy już nic zrobić, tylko patrzeć na ich skutki. Ludzi od takich cierpień uwalnia śmierć. Nas – nie. Lecz ty możesz naprawić swój błąd, gdyż jesteś w tej uprzywilejowanej sytuacji, że wciąż panujesz nad swoim życiem. Obyś tylko jak najprędzej powrócił do zdrowia.

Dimgaladh oparł głowę o poduszkę i zamknął oczy. „*Obyś wrócił do zdrowia*” – mówiła jego matka, a on bał się, że nim to się stanie, na wszystko już będzie za późno.

– Nie znasz jej – szepnęła, uśmiechając się smutno. – Przecież nie możesz jej znać. Ale chcę, byś wiedziała, że jest tym wszystkim, czym razem byli Ersarna i Khaseamer. Po nim odziedziczyła siłę i upór, prawość i honor, po niej urodę, dobroć i delikatność. Jest jak kruchy kwiat, którego tak naprawdę nigdy nie można złamać.

– Twoje słowa świadczą o uczuciach, jakimi ją darzysz – stwierdziła królowa miękko. – Czy ona o tym wie?

- Dimgaladh uniół głowę i spojrzął na matkę.
- Może... Jednak najmocniej martwi mnie to, że została tam, sama, bez opieki, a jej wróg i prześladowca jest tak blisko!
 - Ma tam wrogów?
 - Tak. To dziedzic Tol Mithorod, jej sąsiad, Eramon.
 - Eramon? – Neldewen w zdumieniu aż uniosła głos.
 - Mnie też zastanawiała zbieżność imion, ale wszystko potoczyło się tak szybko... Nie zdążyłem tego wyjaśnić.
 - A zatem czas to uczynić.

Królowa wstała i podbiegła drobnymi kroczkami do drzwi. Otworzyła je z rozmachem i wyrzała na zewnątrz, dając komuś znak dłonią, aby wszedł do środka.

– Co zamierzasz, matko? – zapytał Dimgaladh, nie rozumiejąc zachowań królowej.

W odpowiedzi, do komnaty weszła wolno drobna postać w mnisim habicie, kobieta, o twarzy wykrzywionej okrutnymi bliznami i dwojgu oczu, płonących w niej, niczym najczystsze szafiry.

– Yaveara?! – zakrzyknął książę.

Mniszka zbliżyła się do łóża, rzuciła przelotne spojrzenie na owalny portret i pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Yaveara – powiedziała zmęczonym głosem człowieka, który zbyt wiele przecierpiał w swym życiu. – Byłam Yavearą. Jestem Ersarna, hiril Dor Lothluin.

Dwa konie wspięły się na porośniętą trawą wzgórze. Za sobą zostawiły drogę do Sindamar, przed sobą miały zadrzewioną dolinę, za nią polanę, usłaną niby kobiercem, błękitnym kwieciem.

– Dor Lothluin! – zawołał zduszonym szeptem Dimgaladh i skoczył na swym gniadoszu w ciemność drzew. Parł śmiało naprzód, roztrącając grube konary wiszące bez życia.

Drugi jeździec zmierzał jego śladem. Był równie wysoki, co Dimgaladh, lecz mniej smukły i, co zdaje się niemożliwe u elfów, wyraźnie starszy od księcia. Ciemne włosy dla wygody związał na karku rzemieniem, a jego czoło ozdobiła opaska spleciona z kilku miernie kutych nici złota. Ciemnobordowa barwa jego stroju, dobrane komponowała się ze smagłością skóry twarzy i nie odkrytych rękawicami dłoni, lecz całkowicie kontrastowała z ulubionymi zie-

leniami Dimgaladha. Mimo to, w obu elfach wyczuwało się niezrozumiałe podobieństwo i więź. Więź ojca z synem.

Król Laurethoron zrównał się z księciem dopiero na polanie. Dimgaladh zatrzymał gniadosza u jej skraja i bez słów wpatrywał się w rumowisko kamienia, marmuru i piaskowca, które kiedyś były pięknym dworem.

– Siedemnaście lat nikt tu nie zaglądał.

Dimgaladh spojrział na ojca.

– Dlaczego?

– Baliśmy się wracać do wspomnień, do przeszłości. Baliśmy się bólu po stracie tych, których kochaliśmy.

– Uważając się nad sobą, pogrzebaliście ich nie wiedząc nawet, czy to prawda, że nie żyją!

– Mijał czas, a oni nie wracali...

– Ale nikt nie przyniósł wam pewnej wiadomości. Nawet ja, chociaż krążąc po świecie nie trafiłem na żaden ślad.

– Już to samo sugerowało odpowiedź.

– Nie! – księżę niemal krzyknął, a gniadosz zastrzygł niespokojnie uszami. – To nie była żadna odpowiedź! Brak dowodów nigdy nie jest wystarczającym dowodem! A to?! – chwycił ojca za prawą rękę i obrócił wewnętrzną stroną do góry. Na nadgarstku elfa widoczna była gruba kreska blizny. Biała i równa. – A to już nic dla ciebie nie znaczy?! Braterstwo krwi? Przysięga? Wierność? Kiedy ja szukałem, ty zdradziłeś swego brata! – Puścił dłoń Laurethorona i spojrział mu prosto w oczy, odważnie, bez wahania. – Jeżeli my, elfowie, zapomnimy o honorze i ideałach, cały świat będzie mógł napluć nam w twarz. I chyba do tego zmierzamy! – Ścisnął konia nogami i stępa ruszył przez polanę.

Kobierzec błękitnych kwiatów szumiał upajająco wonią młodości, miłości i szczęścia, kładł się przed księciem w podmuchach ciepłego wiatru, giął pod kopytami gniadosza.

Dimgaladh zatrzymał konia, zeskoczył z jego grzbietu i stanął pośród błękitnej bajeczności. Wiatr porywał jego jasne włosy, przyjemnie owiewał twarz, furkotał połami opończy. Słońce grało złocistymi skrami w brązowych oczach księcia, odbijało w nich biel marmuru i piaskowca. Elf nachylił się do kwiatów, smukłymi palcami przeczesywał ich bogate w płatki główki, gładził dłońmi,

czule, pieszczotliwie.

Gdy usłyszał tuż za sobą kroki Laurethorona rzekł, nie odwracając się nawet:

- To miejsce jest jak sen.
- Na szczęście, to sen na jawie.
- Niewiele brakowało, aby się nie ziścił.
- Jednak tak się nie stało.

Dimgaladh odwrócił się do ojca. W spojrzeniu miał wyrzut.

– Rzeczywiście – zakpił. – Chociaż tyle jeszcze brakuje do pełnego spełnienia.

– Uczynię wszystko, aby ci pomóc, synu.

Książę uśmiechnął się z przekąsem.

– A co byś uczynił, gdybym wrócił z nią niezapowiedziany i pokazał to, co zostało z jej domu? Taką.. niespodziankę? – zatoczył krąg ręką.

Laurethoron nie odpowiedział.

– Nie wiesz, co mógłbyś uczynić. Z pewnością nie wiesz także, co byś jej rzekł. Wybacz? Zapomnij? Naprawię błędy? To mogłoby być zbyt mało!

Odwrócił się i wyszarpnął srebrny sztylet z pochwy wiszącej u pasa. Rzucił się na kolana, pośród błękit kwiatów, i krzyknął, zaciśkając dłoń na ostrzu:

– Przysięgam, na bogów i życie własne, że zniszczę każdego, kto stanie na drodze mego szczęścia! Przysięgam!

Pogodzić się z czasem

Wewnątrz każdego z nas odbywa się ciągła i nieustanna, mniej lub bardziej intensywna, mniej lub bardziej skuteczna działalność poznawcza, dzięki której wypełnia się wewnętrzna czasoprzestrzeń człowieka. Gdyż to człowiek, uzewnętrzniając czas i przestrzeń tworzy swój świat. Ale współczesny *homo sapiens* – jak wykazują badania – wykorzystuje tylko niewielką część swych możliwości poznawczych. W głównej mierze jest to zależne od tego, co determinuje naszą reakcję na życie i codzienność: świadomość trwania czy też poczucie przemijania.

Spójrzmy na cykl zegara. Jeśli przyjrzymy się jego tarczy i zachodzącym tam zmianom czasowym to, doznając uczucia przemijania, nie sposób byłoby nie zgodzić się z myślą Heideggera, który twierdził, iż „życie jest bytem ku śmierci, wolnym zamieraniem”. Jednak jeśli zachowując w sobie świadomość trwania doznamy jedynie uczucia aktu doświadczenia – jak bardzo nasz światopogląd będzie się różnił od myśli heideggerowskiej, zakładającej niejako lęk przed tymże czasem i jego nieuchronnością. A przecież dany nam jest jeden, wspólny świat. Który możemy poznać i nim – w pewnym sensie – zawładnąć. Wówczas to naszym celem staje się czasoprzestrzeń zewnętrzna, którą pragniemy atakować i zdobywać, a czas synchronizuje działania skoncentrowane na celach praktycznych i zwiększa ich skuteczność.

Tym sposobem spróbujmy podejść do tematu naszego tu-i-teraz w sposób eschatologiczny. Bo jeśli gdzieś tam jest ten koniec, to ten koniec jest dopiero uwieńczeniem naszego dzieła. Dzieła, które tworzymy i kreujemy w naszej, zaprzeszłej już codzienności, gdyż w praktyce człowiek dostrzega tylko przeszłość,

ponieważ właściwie każde nasze spostrzeżenie staje się już wspomnieniem. A bez owego przetrwania przeszłości, w teraźniejszości nie byłoby trwania, a jedynie trudna do uchwycenia chwilowość. Przyjmując zatem subiektywistyczną koncepcję Kanta, w której czas jest daną a priori kategorią ludzkiego umysłu [lub także subiektywistyczną koncepcję czasu Bergsona] jesteśmy, niejako z założenia pogodzeni z myślą, iż to właśnie w człowieku, w jego świadomości rozpoczyna się proces wszelkich zmian i przemian, dynamizujących m.in. ludzką osobowość oraz dążność do samostanowienia i odpowiedzialności, „gdyż co to jest wolność? To pragnienie samo-odpowiedzialności. To przestrzeganie dzielących nas oddaleń. To zobojętnienie na trudy, niedostatki, srogość, nawet na życie. To gotowość poświęcenia swej sprawie innych i siebie.[...] A czym-że mierzy się wolność u jednostek i u narodów? Oporem, który pokonać trzeba, trudem, którym okupuje się swą przewagę. Najwyższego typu wolnego człowieka należałoby szukać tam, gdzie wciąż największe pokonywa opory.” [Fryderyk Nietzsche: *Zmierzch Bożyszczy...* W-wa 1991, s.101]

Jest to ważne zwłaszcza teraz, gdy świat, w którym łamane są fundamentalne zasady i normy, które regulują stosunki między ludźmi, w którym zaginęła rycerska etyka walki, wyparta przez zasady stosowane przez terrorystów, u których to ocenie podlega jedynie skuteczność zamierzonych działań. W końcu – gdy świat taki nie stwarza człowiekowi warunków do normalnego [czyt. zgodnego] życia.

Każdy więc człowiek, który „uporządkuje” swój system wartości i swoje życie, powiększa tym samym szanse innych, również i całej społeczności, z którą jest związany. To człowiek wybiera swoją drogę, dlatego też rozumienie bytu musi być u niego całościowe, w którym każde „ja” należy do tej całości. Jako i że każdemu też dany jest czas, z którego może stworzyć „dzieło”, wspomagające innych twórców własnego życia.

Można zaryzykować stwierdzenie, iż każdy człowiek jest zdolny do porzucenia myśli o „nieuchronności bytu ludzkiego”, myśli które nie są wyłącznie skoncentrowane na kształtowaniu warunków tego bytu. Niezdolność do nadawania jakościowego sensu swej codzienności prowadzi bowiem do tego, że nasz czas wolny

zapełniany jest przez zwykle kolekcjonerstwo. A tym „zbieractwem” czy też pochłaniaczem czasu mogą być na równi i jazda samochodem, i godziny oglądania programów telewizyjnych, i minuty, a nawet godziny spędzane w internecie. Ktoś, kto koncentruje się na – szeroko pojętej – działalności twórczej, redukuje niejako doznania związane z przemijaniem. Załamuje przez to swoją roszczeniową postawę wobec świata, charakteryzującą się chęcią zysku, posiadania i sukcesu. Uzewnętrznia potrzebę uczestnictwa w tymże tu-i-teraz świecie. Powoduje zanikanie granic czasoprzestrzennych. Jednak bez względu na to, czy człowiek tylko uczestniczy w tworzeniu, czy też tworzy, dzieła artystyczne pobudzą do dalszego myślenia i zmobilizują do jakiegoś działania, ponieważ wyobraźnia ludzka wykracza poza świat materialny. Stanowiąc jednocześnie „niewyczerpalne źródło możliwości towarzyszących temu, co aktualnie istniejące, czyli jednostkowe, ograniczone i skończone w czasie i przestrzeni. To struktura przeciwna, a uzupełniająca w stosunku do tej, którą nazywamy rzeczywistością, bez której nie istniałaby dla człowieka żadna rzeczywistość, czy raczej nie istniałaby żadna ludzka rzeczywistość.” [E.Morin: *Duch czasu*. W-wa 1965, s.76]

Uzupełniając tę myśl, można stwierdzić np., iż „dzieło literackie jest tym bardziej wartościowe, im głębiej sięga w strukturę bytu ludzkiego” [Bogdan Zeler: *Poezja i studia...* Katowice 1998, s.14], co możemy zaobserwować choćby na przykładzie utopijnej [na szczęście] powieści Aldousa Huxley’a *Nowy Wspaniały Świat*. W której rzeczywistość i terażniejszość została niejako z góry nałożona i określona, poprzez selekcję i segregację jednostek do gotowych już typów zachowań, w z góry już uporządkowanym układzie nadanych systemów wartości.

Wracając jednak do naszej – przez nas określanej – codzienności należy zauważyć, że czas rozumiany jako kategoria świadomości ludzkiej oraz jako specyficzny układ odniesienia życiowych wyborów, determinuje najmocniej nasze życie. W odniesieniu do terażniejszości dokonujemy tych wyborów, które dopiero później wpływają na treść podejmowanych przez nas działań. Na nasz system poznawczy, będący metodą pozwalającą odkrywać systemy powiązań i układów pomiędzy różnymi dziedzinami rzeczywisto-

ści. Gdyż to czas najtrwalej różnicuje nasze systemy wartości, osobowość i kulturę, mając wpływ na naszą terażniejszość, to nasze tu-i-teraz, rozumiane jako niezbędny czynnik dalszego poznania i życia.

DIRK BEEMSTER

tłumaczyła z j. holenderskiego Alicja Wiśniewska

* * *

Zatrzymaj się na chwilę
Na moment ciszy – proszę
Nie pytaj o nic
Nie patrz za siebie

Pożądanie w gniewie
Zaintrygowanie budzącym się
Miastem. Czy ona
Gdzieś tam
Też płonie
Z pożądania

Każde słowo to rozkaz
I łagodne błaganie
By nieuchronnej konieczności
Dać przywilej pierwszeństwa
By stojąc w ciszy
Spojrzeć za siebie

RUTGER KOPLAND

tłumaczyła z j. holenderskiego Alicja Wiśniewska

Głębia

Co miałeś na myśli
Mówiąc – głębia?

To jest słowo
Które właśnie czuję – głębia.

Po zmrożonym grudniem
Jasnym niebie przelatuje
Zagubione stado gęsi

To właśnie – co mam na myśli
Powiedziałeś – gęsi
Na zapomnianej przez Boga wysokości
Ich cienki krzyk

Co to znaczy być samotnym w tłumie
To ślepe przeznaczenie
Poznać głębię którą nazywamy
Niebem – to odwieczne uczucie
Rodzaj litości
Starsze niż ja

Całe moje życie słyszałem i widziałem
I jako dziecko marzyłem
Że zabiorą mnie ze sobą
Teraz wiem
Że gdzieś zostałem
Porzucony

Zostańmy tak
Patrząc i słuchając

TONNUS OOSTERHOOF

tłumaczyła z j. holenderskiego Alicja Wiśniewska

Krytyka

Widziałem dzisiaj Maćka Ziezia
Spacerującego po ulicy Długiej. „To niemożliwe –
Maciek zmarł przed czterema laty”.

Najbardziej mnie zdziwiło – dzwonił z komórki.
Czy możesz to sobie wyobrazić?
Maciek i komórka?

Kiedy czytała to Anna
Powiedziała – „Dobre
Wzruszające ale za bliskie w czasie
I zbyt osobiste”.

Więc mogę napisać –
Wiele lat temu
I „na ulicy Bielskiej
I Mariusza Grzebolskiego”

„Czy on już też nie żyje?”
Nie, właśnie dlatego zatracę
To, co osobiste.

„Aha” – mruknęła poprawiając podwiązkę –
„a co do stylu – to ciągle Riekus Waskowsky”.

No cóż, więc Riekus Waskowsky.
Jednak czułem że miała rację.
Następnego dnia dodała jeszcze:
„Mariusz zapewne by się ucieszył”

Dlaczego
„że go już zaliczyłeś do zmarłych”

Ależ Anno – czyż nie udowadniam właśnie
Że on żyje ?

Wiersze poetów ukraińskich z „Nowojorskiej Grupy”

w tłumaczeniu Tadeusza Karabowicza

Emigracyjna ukraińska grupa literacka o nazwie „Nowojorska Grupa” powstała w Nowym Jorku. Jej zadaniem było promowanie poezji ukraińskiej na Zachodzie oraz wydawanie rocznika literackiego „Nowi Poezji”. Tworzyli grupę poeci ukraińscy, którzy po zakończeniu wojny znaleźli się na Zachodzie, jako nowa emigracja polityczna po 1945 r. Mimo że „Nowojorska Grupa” nie określiła programu działania, wyraźnie zrywała z tradycją ukraińskiej poezji emigracyjnej lat dwudziestych i trzydziestych XX w., wyrosłej na doświadczeniu przegranej szansy – niewybiceniu się na niepodległość Ukrainy w 1918 r. Jej celem było stworzenie na emigracji środowiska poetyckiego, które otworzy się na współczesność, zaprzeczy przeszłości i stworzy coś nowego w literaturze ukraińskiej.

Tworzyła grupę „wielka siódemka”: Bohdan Bojczuk (ur. 1927 r.), Jurij Tarnawskij (ur. 1934), Emma Andijewska (ur. 1931), Wira Wowk (ur. 1926), Patrycja Kylyna (ur. 1936), Bohdan Rubczak (ur. 1935), Żenia Wasylkiwska. Później dołączyli do niej: Roman Babował (ur. 1950) z Belgii i Marija Rewakowycz (ur. 1960), która z Polski w 1981 r. wyemigrowała do Włoch, a następnie do Kanady i USA.

Na przestrzeni nieformalnego istnienia grupy miała ona trzy charakterystyczne okresy. Były to: okres wydawania „Nowych Poezji”, lata 1971-1991 i okres wydawania kwartalnika literackiego „Swito-Wyd”, lata dziewięćdziesiąte, przez Bohdana Bojczuka i Mariję Rewakowycz. We wszystkich trzech okresach członkowie grupy publikowali swoje wiersze na łamach ukraińskiej prasy emigracyjnej oraz wydawali swoje tomiki i książki prozatorskie; po 1991 r., gdy Ukraina ogłosiła niezależność państwową, zaczęli wydawać swoje książki również w Kijowie.

T.K.

Prośba

M.R.

Weź w dłoń
serce
jak pisklę.

Włóż dziób do ust
i daj się napić.

Między piersi połóż
niech wymości gniazdo.

O świcie
będzie dla ciebie
ćwierkać.

Fotografia z synami

Stoję w pozie niewyraźnej
między dwoma moimi synami,
jakby wciśnięty w ziemię,
jakby odsunięty na krok
w przyszłość.

Wiele lat
obcych niepotrzebnych,
z którymi wymijałem się może,
lecz nie witałem się
wepchnęło się do drzwi.

A ja stoję w pozie niewyraźnej
i nie wiem,
jak zahamować jęk krwi,
jak pozbyć się
młodego serca.

Droga

wchodzi w ziemię
a tobie się zdaje że w przestrzeń
przechodzi z miejsca na miejsce
a tobie się zdaje że w przyszłość
za nią przeszłe
przed nią nieznanne
a tobie się zdaje
że to metafora twojego życia

Komunia

W wilgotnej ziemi
zacichło światło.

Mijają dni
z opatuloną twarzą
nie zanurzają ust
w gąbce namoczonej
w occie.

Ściany tęsknią
w próżnię,
wśród której ni z kim spożyć chleb,
ni wypić krew.

Samotność

Obojętne spojrzenia przechodniów
zlizują moją twarz,
jestem
samotny.

Czerwone róże

Na dworze
dojrzeła noc,

powleka się czerwienią,

wypala się zapachem róż
nad ranem.

Czerwona róża
wszystkich
spali.

Zostaje tylko nieprzemijanie,
bez życia.

Msza wieczorna

Pod drzewami –
wieczór.
Słońce ostatnie monety
wrzuca przez okno
które znikają
między twoimi smagłymi
kolanami.

W pokoju
tylko my.

Czarny tryptyk

Mężczyźni i kobiety

z bielmem obłąkania

w oczach
przychodzą i szukają
w mojej poezji
dróg do ich
życia.

Mężczyźni

co otwierają rany
zamiast ust,
którzy w bitwach
zagubili ciała –

przychodzą i szukają
w mojej poezji
uzdrawiających leków

Kobiety

co sprzedają
leniwy jedwab
spódnic –

przychodzą i szukają
w wersach mych
nadziei.

* * *

Nie idźcie!
Nie idźcie!
Zamknijcie drzwi.

Moja poezja – to męczarnie waszych dróg,
moja poezja – to wasze rany,
moja poezja – to wasz ból.

Ja

Jestem u siebie
w pałacu królewskim
i w chacie rybaka.
Jem złotym widelcem
i łyżką drewnianą.
Lubię wina z granatów
i wodę źródlaną.
Noszę prawdziwe korale
na konopnej koszuli.

Kowal

Kiedy pytają
dlaczego kowal wykuwa
do rana
podkowy ogromne
zamiast odpowiedzi
żarzą się miechy
i gwiazdy iskrzą się gniewne.

Rybak

Młody rybak szczęście łowił
w złotych łuskach noc całą
(co sływa po sieci wiązadłach).

Stary rybak:
„Wyplłyn po rybę”.

Rzeka

Młodzieniec się zęgnął,
i wódz go przywiódł do rzeki:
„Zawsze wierna
od źródeł
nieśmiertelne wody swe toczy”.

Tęcza

Czy wiesz coś o tęczy
z warkoczem w dąbrowie, po kolana w jeziorze?
Co płacze w ukryciu
siedmioma barwami radości?
To od łez wypełnionych słońcem
ta tęcza radosna.

Grzesznica

Gdy biegli sprawiedliwi
kamienować grzesznicę,
powoływali się na literę prawa i Boga.

Gdy biegli sprawiedliwi
pełni gniewu świętego,
ugrzeźli po kolana w ziemi.

Zobaczyli przed sobą
grzesznicę stojącą
przejrzystą jak płatek kwiatu czereśni.

Wiersze z tomu „Mandala” (1980)

Gdy gasną ognie i nic się nie zmienia
I liść zieleni się tak samo,
I woda płynie w strumieniach i rzekach.
To tylko ty, uwiązany w swojej pamięci,
Musisz odejść, wiedząc o swoim odejściu.

Sąsiedzie w górze, coś wypowiedz.
Jakiś płatek, dłuższy od tęczy.
Wszyscy konno, wszyscy galopem –
I tylko świeca
Mówi o pierwszym testamencie ciemności.

Zagradzają drzwi liśćmi
które fruwały po domu.
Wprowadzają konia z jabłkiem na udzie.
Długo piją z emaliowanego kufla
I przez sufit odchodzą na odpoczynek.

* * *

Gdy dotykam twojej twarzy,
opuszki palców zakwitają kwiatem jabłoni,
a nad nami księżyc
żyje jak święty.

Wtedy we mnie rodzi się
niepokalany horyzont
i dotykasz mnie
jak majowy wiatr.

* * *

Teraz przychodzi to,
o czym nawet nie marzyliśmy:
wszechobecna promienność,
bielsza nad biel

Jak krążek księżycyca
leci wciąż do mojej twarzy –

niby księżyc
światłem przenika
coraz głębiej,
głębiej,
głębiej w twoje źrenice

Beton

Każdego roku,
jak
tylko nastanie
kwiecień,
maj, życie
staje się takie
trudne, czas
jest jak beton,
przez który
muszę
przecisnąć się
jestem pewny,
że umrę
gdzieś o tej
porze roku.

Telefon

Dlaczego tak
czekam by zadzwonił
telefon?
- Słowa
nie będą miały
żadnego
znaczenia,
jak odgłos kroków,
co mijają
obok,
za domem,

na podwórzu,
przestrzeń
zawalona jest
ogromnym
szkieletem
wiatru,
słoneczne światło
błyszczą, białe,
jak kości,
ludzie pragną, umierają
w końcu
nie zostanie nic
tylko przestrzeń.

Portret

Na czystym
papierze
jej skóry
narysowałem
szkic
jej twarzy
i pokolorowałem
go
swoimi pocałunkami.

Noc

Świat
topi się,
stół
już
przechylił się
w jedną
stronę,

piszę
ten wiersz
kodem
Morse'a.

Utrata pamięci

Z mokrą od potu
twarzą,
z sercem,
które było
szalone
w klatce
piersiowej,
zrozumiałem,
że zapomniałem
swojego imienia,
zacząłem biegać
od drzwi do drzwi,
walić w nie,
lecz nikt
mnie nie pamiętał.

Biuro

Wchodzę
do swojego
biura,
na początku
nie widzę
siebie,
gdzie siedziałem
wczoraj,
a dalej
zauważam

moje
oczy,
jak parę
bezwładnych
nóg,
które sterczą
spod
łóżka.

Ptaki

Wybiegam
na ulicę,
by zobaczyć,
co się stało,
a to ptaki
kwilą po tobie
w moich piersiach.

JERZY PLUTOWICZ

Dom naszych marzeń, dom snów

Pozostawić po sobie ślad nie do zatarcia; rzecz, która nie rozsypie się w proch, w ogniu nie spłonie; strukturę, której nie sposób rozmontować; po wsze czasy utrwalić swoją obecność – jakże ludzkie to, arcyłudzkie. Ponieważ pojawiający się tu, teraz, na mgnienie oka zaledwie wobec wieczności świata czy kosmosu. Trwamy od narodzin do śmierci, która jest rozpadem, chaosem. Nasze bytowanie jest liniowe, zamknięte, skończone, w przeciwieństwie do wiecznego powrotu, kołowrotu zjawisk przyrody. Fryderyk Nietzsche oskarżył nas, że zadufani w sobie, zaślepieni marną codziennością – wiecznego powrotu nie akceptujemy, dlatego wolimy jałowy, głupi bunt, niepoważny sprzeciw, stąd biorą się nasze przyziemne niepokoje i lęki. Nietzsche wprawdzie zaakceptował, choć sam nie najlepiej na tym wyszedł.

Ale także ludzkie jest, gdy coś triumfalnie nazywamy, zamykamy świat, życie nasze w piękną formułę, szukamy jednego, jedyne go klucza do zrozumienia siebie, a także siebie-w-świecie, szukamy jednej, absolutnej prawdy, prawdy najważniejszej, całkowitej pewności, "kartezjańskiej" jasności. I dla prawdy takiej gotowi jesteśmy dać się posiekać lub wrogów prawdy posiekać.

Ludzimy się ponadto, że wiemy wszystko - jakże mądrzy, jakże wykształceni, jakże pewni siebie. Co mamy począć z kimś, kto nie wie, wiedzieć nie chce, a może wiedzieć nie potrafi?

Cóż to w końcu znaczy? Zapomnieć o naszej mrocznej stronie, stronie biologicznej, przyrodniczo-zwierzęcej, żywiolowej,

barbarzyńskiej? Czy, przeciwnie, uznać, że liczy się tylko żywe życie, życie instynktów, coś, co ma związek z pozaintelektualnym dojrzywaniem, wzrostem, pędem, dzikością, energią, domeną Dionizosa, domeną Erosa?

Zapewne jednostronności, schematu pojęciowego i każdego innego należy unikać, być ostrożnym wobec łatwej formuły, być czujnym. Jesteśmy bowiem wszyscy na naszej grzesznej Ziemi kulturą i naturą do społu, racjonalnością i nierozumem, żywiołem i formą, świadomością i podświadomością, ciałem i duszą, wolnością i potrzebą bezpieczeństwa, tym, co pragnie punktu trwałego oparcia, odpoczynku i ładu i jednocześnie pragnie buntu, niezgody, rewolty, zmiany. Tym, co wychylone ku religijności i jednocześnie ku rzeczy, ku materii.

Bliskie mi są i w pięknej formie wyrażone, wątpliwości Teresy Zaniewskiej, dotyczące ludzkiej kondycji, ludzkiego losu. Warto przypomnieć jej zdanie, które zawarła w swojej ostatniej książce "Dziki wiatr". *Człowiek jest w istocie wędrowcem, pielgrzymem. Podróżowanie leży w jego naturze. Stąd homo viator, człowiek wędrujący. A zatem każdy z nas jest Niepokojnym Podróżnym. Podróże i wędrowki powtarzają się od czasów biblijnych po współczesność jako jeden ze znaków i sposobów naszego bytowania w świecie.*

Otwarcie na świat innych ludzi, obok umiejętności zadawania pytań - umiejętność słuchania, unikanie dogmatycznych, z góry założonych tez, są to istotne cechy pisarstwa Teresy Zaniewskiej. Jej dwie ważne książki: "A dusza jest na Wschodzie" (1993 r.) oraz "Dziki wiatr" (1999) są wywiadami-rzekami, serdecznymi rozmowami z ludźmi godnymi uwagi, godnymi naszej pamięci.

Zaniewska wywodzi się z inteligenckiego, katolickiego domu, gdzieś z Polski centralnej, z Mazowsza, domu o tradycjach patriotycznych. Przywędrowała do Białegostoku, osiadła w tym mieście i, jak opowiadała, zaskoczyła ją odmienność miasta i regionu od reszty naszego kraju, jego społeczna różnorodność, z czego autochtoni nie do końca zdają sobie sprawę, ponieważ życie-bycie tu, w tym miejscu, jest dla nich oczywiste i zwyczajne.

W książce "Rodowody niepokornych" Bohdan Cywiński przypomniał zasługi polskiego, inteligenckiego domu dla ocalenia narodowej kultury, pielęgnowania tradycji, przypomniał ciche bo-

haterstwo także tych spośród naszych rodaków, którzy nie byli przywódcami, zasłużonymi bojownikami, luminarzami nauki czy literatury. Po prostu, codziennym trudem, cierpliwym oporem wobec antypolskich zapędów administracji państw zaborczych uratowali dla pokoleń następnych ogólnonarodowe wartości. Taki był też dom rodzinny Zaniewskiej, z którym łączy ją więź jakże silna. Polskie domy, gdzie-rodziła się pozytywistyczna praca u podstaw, oraz gotowość do powstańczych zrywów, także idee socjalistyczne, postępowe, PPS-owskie, w tym spod znaku piłsudczykowskiej frakcji.

Była także tradycja kobiet "siłaczek", a także kobiet, które stały na straży domowego ogniska, gdy mężowie-ojcowie zajmowali się akcją zbrojną. Także tradycja wspaniałych kobiet-pisarek, należących do elity intelektualnej narodu, tradycja Orzeszkowej, Konopnickiej, Dąbrowskiej czy Nałkowskiej. Jest to tradycja, w którą wpisuje się twórczość literacka Zaniewskiej, ale także jej działalność organizatorska czy pedagogiczna.

Angielski historyk Norman Davies z zazdrością zauważył, jak wysoki status społeczny osiągnęła kobieta-szlachcianka w Polsce już od czasów jagiellońskich, m.in. prawo do dziedziczenia majątku na równi z mężczyznami. Podobny status w krajach Zachodu kobiety wywalczyły znacznie później. Nierówność położenia społecznego kobiet należy do głównych problemów twórczości znakomitej powieściopisarki angielskiej z przełomu XVIII i XIX w., Jane Austen. Np. akcja powieści "Duma i uprzedzenie" dotyczy zagrożonego bytu kilku córek szlachcica, ponieważ w razie jego śmierci cały majątek odziedziczy daleki krewniak, zresztą niezbyt lotny umysłowo pastor, sęk w tym, że jest to jedyny mężczyzna, jakiemu majątek należy się prawnie.

Czy nie stąd wzięło się złośliwe pojęcie herod baby, czego przykładem może być postać dzielnej pani Twardowskiej z ballady Mickiewicza, odbiegające od obrazu zatroskanych o swój los kobiet z innych krajów. Pozycja kobiet-pisarek w literaturze polskiej także dziś wydaje się być wyjątkowa: od Szymborskiej poprzez Nurowską, Koftę, Gretkowską, Filipiak, Tokarczuk, aż po młodą poetkę z Białegostoku Kasię Zdanowicz. Literaci-mężczyźni wydają się wzbudzać mniejsze emocje czytającej publiczności.

W Białymstoku Teresa Zaniewska zetknęła się z żyjącym mitem naszych Kresów. Mit Kresów – w odróżnieniu od reszty kraju – w Białymstoku okazał się rzeczywistością. Mieszkańcy centrum Polski na ogół nie zdają sobie sprawy, że Białostockie, Podlasie, od wieków, niemal od zawsze zamieszkują Polacy, Litwini, Białorusini, Ukraińcy, Tatarzy, wyznawcy katolicyzmu, prawosławia i islamu – jeśli wymienić grupy najbardziej liczne.

Przekonanie, że dzisiejsza Polska jest krajem niemal jednorodnym etnicznie, o znikomym procencie tzw. mniejszości narodowych, że dopiero dziś, po II wojnie światowej pojęcie Polak-katolik stało się faktem – w Białostockiem okazuje się zawodne. Zaniewska przyznaje się, że po przyjeździe do Białegostoku była nieświadoma jego odmienności, jego kulturowej oryginalności i różnorodności.

Bywa, że wyrobiona publiczność kulturalna jest doskonale zorientowana o terminach premier teatralnych w Paryżu, Londynie bądź Nowym Jorku, natomiast nie wie nic o istnieniu choćby białoruskiej grupy literackiej "Białowieża", założonej, to nie bagatela, w 1958 r. Białoruski prozaik Sokrat Janowicz bardziej znany jest w Londynie niż w rodzinnym Białymstoku. Jakże typowe dla nas – oryginalne zjawisko i nieświadoma jego oryginalności literacka publiczność.

Mit Kresów tu, na Podlasiu, wydaje się żywy, jak żywy jest mit Rzeczypospolitej Obojga Narodów, choć termin "obojga" może mylić, jako że w istocie Rzeczypospolitą zamieszkiwało tych narodów zapewne około dziesiątka, jeśli przyjąć kryterium narodowości dzisiejsze. Bywa, niestety, też tak, że Białystok jest przedstawiany jako miasto graniczne, bastion, który ma bronić polskości przed zalewem wschodniego barbarzyństwa, a nawet bronić cywilizacji łacińskiej w ogóle. Nasuwa się więc pytanie, czy takie stawianie sprawy w wielokulturowym Podlasiu aby sprzyja ułożeniu się dobrosąsiedzkich stosunków. Pół biedy, jeśli wynika z nieświadomości, niedouczenia. Warto tu przypomnieć, że upadek I Rzeczypospolitej przyspieszyła nierozwiązana kwestia narodowa i religijna, niestety, także niefortunnie przeprowadzona unia religijna katolicko-prawosławna, tzw. Unia Brzeska. Wielokulturowe Kresy, gdzie wszystkie grupy żyją w przyjaźni, gdzie nie dochodzi do

prześladowań odmienności narodowej bądź religijnej, byłyby modelem godnym naśladowania pod każdą szerokością geograficzną. Miał to na uwadze, jak się zdaje, Józef Piłsudski, kiedy wystąpił z koncepcją państwa federacyjnego, niestety, próba utworzenia federacji została zaniechana m. in. pod wpływem narodowej, radykalnej prawicy.

Książka esejów Teresy Zaniewskiej "Podróż daremna" (1992 r.) poświęcona jest twórczości siedmiu białoruskojęzycznych poetów Podlasia, autorów wielu książek, i jest to w polskiej literaturze novum. „*Podróż daremna*” – pisze Zaniewska – *książkę, którą przekazuje głównie do rąk czytelnika polskiego, traktuje także po części jako spłatę duchowego długu wobec literatury białoruskiej w Polsce, jako swoistą rekompensatę za niemalże nie dostrzeganie przez lata twórczości "Białowieżan" w polskojęzycznych opracowaniach i kompendiach literackich. Prezentowane tu eseje mają zaświadczyć o żywej obecności twórców białoruskich w życiu literackim i kulturze polskiej. Literaci białoruscy istnieją żyją z nami na wspólnej ziemi, która "niejeden zna język".*

Książka ta jest próbą odkrywania nowych, nieznanych łądów, ale także próbą obrony wartości zapoznanych, godnych upowszechnienia i utrwalenia w zbiorowej pamięci. Jest to więc zadanie karkołomne, z pogranicza służby społecznej. Tym bardziej, że przemiany, jakich jesteśmy świadkami, mogą niepokoić.

Przykładem może być zagrożenie bytu Podlasia, pozbawionego historycznych granic. Nowy podział administracyjny kraju pozostawił poza obrębem nowego województwa podlaskiego Podlasie południowe z Łukowem, Siedlcami czy Białą Podlaską – region o żywych tradycjach kulturowych. Natomiast włączono do Podlaskiego wschodnią część kurpiowszczyzny z Łomżą i Nowogrodem, włączając do Mazowsza kurpiowszczyznę zachodnią z Ostrołęką. Zwyciężyły, jak się zdaje, racje administracyjno-biurokratyczne. Polityczne przepychanki okazały się niszczące dla tkanki kulturowej.

Czy pisarstwo Zaniewskiej to conradowskie (vide "Lord Jim") opowiadzenie się po stronie spraw przegranych, czyli po stronie jakże kruchych racji moralnych?

Ważna książka Zaniewskiej "Strażnicy pamięci" (1997 r.) poświęcona jest dorobkowi poetyckiemu grupy literackiej

"Białowieża". Ważna, ponieważ zawiera próbę odpowiedzi na problemy egzystencjalne naszej epoki u schyłku wieku, choćby niepokoje związane z tzw. globalizacją, którą oskarża się o wszelkie klęski społeczne, w tym niszczenie różnorodności kulturowych naszego globu, usiłowanie przekształcenia go w "globalną wioskę". W wypowiedziach białoruskich poetów autorka tropi problemy wspólne nam wszystkim. Niepokoje białoruskich intelektualistów dotyczą zagrożenia narodowego bytu (w obliczu zapędów polonizacyjnych lub rusyfikacyjnych różnej maści radykalnych nacjonalistów), ale także zanikania kultur tradycyjnych, o wiejskim rodowodzie, w zetknięciu z nowoczesnością technologicznym postępem, "szokiem przyszłości" itp. *W życiu każdego człowieka pragnienie posiadania przestrzeni bezpiecznej jaką stanowi dom, jest potrzebą elementarną, odwieczną. Utrata domu, o czym przekonują nas przede wszystkim doświadczenia dwudziestowieczne, oznacza nie tylko brak bezpiecznego schronienia, lecz symbolizuje również niedostatek wartości.* – zauważa Zaniewska.

Dom, ale także kraj rodzinny, ojczyste strony, heimat, mała ojczyzna, czym to jest, czym ma być, by nie stało się miejscem bezpowrotnie utraconym. By Ziemia nasza nie stała się Ziemią Jąłową pustynią, gdzie błakają się rzesze nieszczęśliwców, samotnych i wykorzenionych. Czy wędrowiec, tułacz ma szansę powrotu, by w zaczarowanym źródle obmyć dłonie, oczy, usta, odrodzić się, odzyskać pamięć? Globalna wioska, a może jednak glob ojczyzn?

Gdzie jest źródło tradycji, kultury? Potrzeba zakorzenienia choćby po to, by nie szukać bez końca wyjścia z labiryntu, gdzie toczy się walka każdego z każdym. O sukces, o miejsce pod słońcem, w końcu o przeżycie.

Dlatego bliska jest Zaniewskiej tradycja Rzeczypospolitej wielu narodów, połączonych więzami przyjaźni, tolerancji, zrozumienia. Warto w tym miejscu przypomnieć przestrożę wybitnego pisarza politycznego z kręgu paryskiej "Kultury" Juliusza Miroszewskiego, który ironizował, że kierują postępowaniem naszych elit politycznych trumny Dmowskiego czy Piłsudskiego. Miroszewski już we wczesnych latach 50. stwierdził, że ZSRR w obecnym kształcie nie będzie trwał wiecznie, że rozpadnie się raczej wcześniej niż później, że gwarantem wolnej Polski są więc wolne

państwa Litwy, Białorusi i Ukrainy, dlatego ułożenie przyjaznych stosunków z narodami zza naszej wschodniej granicy jest polską racją stanu.

Trzy książki, jakie Teresa Zaniewska poświęciła kulturze polskich Białorusinów, dobrze służą właśnie sprawie polskiej.

Książka "Dziki wiatr" jest rozmową-rzeką ze Stefanem Mustafą Mucharskim, prezesem Rady Centralnej Związku Tatarów Polskich. Jest to kolejne przybliżenie grupy społecznej niezbyt dobrze znanej, której członkowie przecież żyją wśród nas. W istocie jest to kolejne odkrycie zaginionego (?) ładu – dziejów narodu tatarskiego, blisko przecież z Polakami związanego.

Nieznane, które jest przecież naszą inną twarzą. Badania powikłanych losów tych innych służą także temu, by lepiej poznać siebie.

W przeciwnym wypadku pozostaną zaledwie płyty z folkowymi przebojami bądź kartki pocztowe z fotografiami meczetów czy cerkiewek. Dla zabawienia turystów.

Dlatego tak cenne są książki Zaniewskiej dla kultury polskiego narodu. Dla Polski, by nie była jedynie obiektem eksperymentów, kierowanych przez radykałów spod lewego lub prawego skrzydła.

Zwykła codzienna magia

Elżbieta Michalska jest jak na razie autorką tylko jednego tomiku, ale to książka z wielu przyczyn niezwykła. Zarówno w warstwie ilustracyjnej, jak i tekstowej, składa się na bogatą mozaikę codziennych obserwacji i niecodziennych wzruszeń autorki. Pozwala każdy z wierszy przeżywać jak fascynującą opowieść o tym co zwykle, co w zasięgu ręki, a także pokazuje tej pospolitości tajemne piękno. W wierszach Michalskiej jak w retorcji alchemika stapiają się wszystkie dostępne składniki w nową jakość. Do otworzenia labiryntu obserwacji i wyobraźni poetki można zastosować szereg kluczy. Może to być np. opozycja: Ja – zewnątrzność, w której autonomiczność podmiotu mówiącego zderza się z powtarzalnością codziennych doświadczeń. Otrzymujemy okrutny, jak tylko okrutna potrafi być pospolitość, obraz świata nie pozbawiony melancholii, niczym wieczny nurt rzeki za oknem. Wyobraźnia poetki organizuje wszystko, co ograniczone miedzą, rzeką, ścianą lasu. To co w domu, to co w obejściu i w ogrodzie. Czasami od szczegółu wznosimy się na skrzydłach wyobraźni autorki w inny wymiar czasu i przestrzeni. Od szczegółowego opisu przenosimy się w mistyczny, transcendentny wymiar. To trop charakterystyczny dla „magicznych poetów prowincji”, najwyraźniejszy może w liryce Tadeusza Nowaka. Idąc tym śladem przekraczamy w końcu umowną granicę dosłownego postrzegania, unosimy się ku pogańskiemu słońcu, wkraczamy w świat baśni i mitów, zarówno tych wyniesionych z tradycji, jak i „śnionych na jawie marzeń”. Samą Michalską trzyma jednak przy ziemi bagaż doświadczeń, obserwacji i refleksji. Wspomina: *Zawsze zresztą uciekałam od rzeczywistości. Będąc dzieckiem wyobrażałam sobie, że kościółek w Dobryńwie to malowniczo wzniesiony na wzgórzu zamek, w którym mieszka królowna... Lubiłam baśnie. Myślałam, że ukrywałam się w baśni. Była dla mnie bezpieczniejsza od rzeczywistego świata, w którym gubiłam się.* Wspomina zbiór baśni białoruskich „Diabelskie skrzypce”, w którym królowna chodziła po wodę do studni ze złotym wiadrem, a wieprzom dawała jeść w złotym naczyńiu. Wszystko osobiście. Marzenia, marzeniami – zdaje się mówić Michalska – ale nawet w nich jesteśmy ograniczeni doświadczeniem i rutyną. Można tu przywołać jeden z jej przewrotnych wierszy:

*Bogacza
na złotym sedesie
boli brzuch.*

„Haiku”

Czym jest poezja Michalskiej? Można by spróbować pokusić się o stwierdzenie, że w ogólnym zarysie jest rozdarciem pomiędzy świadomością twórcy a zarazem uświadomionego odbiorcy. Odartego już z pierwotnej niewinności. Jak w wierszu „Czerwiec”, charakterystycznym dla budowania poetyckiej rzeczywistości przez autorkę „Tu jest Tu, Tam jest Tam”, gdzie z wieczornej łąki, świecącej lampami mleczy, przeniknięci śpiewem zab pozwalamy unosić się ku Bogu. Misterium potęguje geste, przymiotnikowe prowadzenie składni poetyckiej, tak, że łąka zaczyna płonąć szalonym, gorącym, wręcz tropikalnym życiem. Wiersz pointuje zderzenie nieokielznanej, żywiołowej potęgi narodzin z nieuchronnością śmierci. Uzmysławia nam to motyw „dziecka owadziego”, któremu pozwolono „oddychać szczęściem”, dając zarazem świadomość ulotności i przemijalności tej chwili. Podobnie w wierszu „Pająk”, pisany już w pierwszej osobie, bohater musi zadumać się nad nieustannymi igraszkami losu, jakim jest poddany w swojej jedynej życiowej drodze „od tamtego liścia łopianu do końca tej żerdzi”. Metaforykę tę wyjaśnia wiersz „Amatorom”, w którym „nieprofesjonalni artyści” skazani są na beznadziejność egzystencji w okowach zapoznania. Odnajduje ich „anioł poezji”, lecz skazani są na wieczne randez vous z tym aniołem demonem; nie każdy w końcu ma tyle szczęścia, co Nikifor... Nie każdy wyjdzie za oplotki własnego mikrowszczęścia. Po drugiej stronie między, zdaje się sugerować Michalska, jest tylko drwina i samotność, po tej: narodziny, samotność i śmierć. Okrutny zegar przyrody. *Wiem, że ludzie z prowincji mają utrwalone głębokie kompleksy*” mówi poetka. *„Sama jestem zakompleksiona. Jeśli mówię o tym, jest mi łatwiej. Choć przez chwilę czuję się oczyszczona. Próbuje spojrzeć na wszystko, co mnie otacza, z pewnym dystansem. Czyżby więc kompleksy, jako przyczyna wierszy? Kataraktyczna funkcja sztuki. Na pewno tak, ale nie tylko. Wiersz Michalskiej zawsze jest obserwacją, często jednak wzbogaconą o refleksję i figlarny uśmiech. Poetka mówi z goryczą: *Można mieć bliznę na twarzy, można mieć bliznę na pięcie. Wiem, że ta moja blizna jest bardzo wyeksponowana...* Jest w tym wyznaniu dużo wręcz ekshibicjonistycznej szczerości, więcej jednak krzyku często lekceważonej przez „miastowych” prowincji i odrobina przekory. Prowincja w wydaniu Michalskiej to ludzie spoglądający cały czas przez okno, lecz zawsze zaintrygowani przejawem niecodzienności. Choćby w zderzeniu z obcością pozalokalnych doświadczeń. Samotność prowincjusza potęguje np. autobus, który „jak wesz pełźnie”, będąc przypomnieniem o wszystkim, co poza „małą ojczyzną”. Czasami jednak przecinają się drogi wewnętrzne z zewnętrżnością. Dostrzegamy w otaczającym świecie promyk nadziei, jakże łatwo jednak gasnący:*

Czasami mówię pieszczotliwie - białe - niebieski

wieloryb

częściej jednak

- wesz pełznąca po szarym warkoczku ulicy

„Autobus”

Codziennosc jest dla Michalskiej chyba najczestszym zrodlem inspiracji, czasami daje to przerazajace opisy monotonnej beznadziejnosci, jak w wierszu „Codziennie”. Krowy we mgle „udaja sielankę”, tymczasem „zawsze ten sam Bogdan ze spuszczonej glowa” wraca z mleczarni, „pani Sz. siedzi w rowie”. I w koncu podkreślenie rzeczywistosci fioletowym, zalobnym flamastrem, memento dla tych, ktorzy nie zechca isc do nieba po chmurze w ksztalcie drabiny: „i nigdy nic innego. Koniec”. Innym razem punktem inicjacyjnym wiersza jest wiejskie czasopismo „Chow bydla”, jeszcze innym - kwitnacy rzepak w szary, dzdzysty dzien. Albo tez jesienne osty. Jednak w tych przypadkach wyjsciowy konkret opiera sie na refleksji pozaobrazowej. „Wiejskie czasopismo” to ironiczny usmiech, zaś osty i rzepak pelnia funkcje afirmatywna. Wiersze „Osty” i „Kwitnacy rzepak” sa proba zapisu mijajacego czasu i obrazu, ktory jednak dla wzraliwosci podmiotu mowiacego stanowi constans i powracajacy wielokrotnie punkt nawigacyjny na mapie poetyckich doswiadczen. Prowincja Elzbiety Michalskiej to jednak nie tylko najblizsza okolica i powtarzalnosc zdarzen, to takze, a moze przede wszystkim, metafora okrutnej rzeczywistosci, pozbawiajacej szans i nadziei. Czlowiek z prowincji jest czesto - zdaniem poetki - jak mysie noworodki wyrzucone z szuflady:

z jakaż czulością myśla matka musiała pociąć

na drobne kruszyny mój rysunek

z pierwszej albo drugiej klasy

i wymościć nim gniazdo

wiatr po śniegu niesie mój pocięty rysunek

i płacz mysich dzieci

„Myszy”

Naturalność obserwacji autorki, pomimo anioła demona poezji, który często ją ponad prostą obserwację wznosi, doprowadza poetkę do mającego charakter credo wyznania:

*nie ma we mnie żadnych wierszy
ani filozofii
słowo filozof odbieram tak jak
słowo salceson
aniela, który do mnie przyfruwasz nocą
próg posypany popiołem
byś zostawił ślad i już
więcej mnie nie odwiedzał*

*** ... nie ma we mnie żadnych wierszy

Może więc wierszy w niej nie ma, w rozumieniu pojęcia „wiersz” jako szablonowej konstrukcji opartej na wyzwaniu językowym. Jest za to poezja w swojej jak najbardziej dosłownej, ale i eterycznej istocie. Jest w niej też fascynacja tym „poetyckim salcesonem”, który jest zarówno bytem prostym, jak w swej prostocie złożonym. Taka filozofia, bez filozofii. Taka zwykła, prowincjonalna łąza przeniesiona do oka biblijnej pramatki Ewy, wyzwalająca refleksję:

*czym dla jabłka pestka
tym łąza dla oka Ewy
niech Adam zna tylko
miły rozpad mięszzu pod zębami
po cóż miałby dumać nad resztą*

„Łza”

Bo poezja jest jak prowincja: to przecież zastój, stagnacja, ale i poszukiwanie. To miłość, śmierć, ale i ten jak najbardziej prowincjonalny salceson, za sprawą twórczości Elżbiety Michalskiej podniesiony do roli równoważnika filozofii. To codzienność i magia, to:

kundelek i dym z kartofliska

i księżyc i łódka

i meandry rzek i

„Przed zmierzchem”

Artur Jan Szczepny

Wszystkie wypowiedzi Elżbiety Michalskiej pochodzą z rozmowy przeprowadzonej z poetką przez Jana Kamińskiego, autora książki „Metafizyka prowincji”.

Cytaty wierszy pochodzą z książki Elżbiety Michalskiej „Tu jest Tu, Tam jest Tam”, wydanej nakładem Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku w 1999 r.

A.J.S.

*

Elżbieta Michalska – poetka. Mieszka i pracuje w Złotorii. Wiersze publikowała m.in. w „Kartkach”, „Tytule” i „Zeszytach Literackich”. Opublikowała tomik wierszy: „Tu jest Tu, Tam jest Tam” (1999), za który otrzymała Nagrodę Literacką Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego. Wcześniej Elżbieta Michalska była wielokrotnie nagradzana w licznych konkursach poetyckich, m.in.: Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. H. Poświatowskiej (Częstochowa 1992 – II nagroda), Ogólnopolskim Konkursie Literackim na miniaturę poetycką (Radom 1997 – I nagroda), Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. W. Olszewskiego (Bełchatów 1997 – I nagroda w kategorii haiku). Andrzej Miłosz i Anna Kowalska poświęcili jej film dokumentalny „Takie ze mnie dziwa-
dło”.

Od napisania niniejszego tekstu ukazały się: „Naszynnik z grąze-
li” (Książnica Podlaska – 2001), „Trecowiny” (Miejsko-Gminne Centrum Kultury w Choroszczycy – 2001).

Elżbieta Michalska, „Tu jest Tu, Tam jest Tam”, Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku, Białystok 1999, ss. 54

„Pęknięte lustro” Jerzego Sikory

Ilekcję słyszę bądź też spotykam w trakcie lektury określenie – „mała proza” – zastanawiam się, co też może być przyczyną owej małości. Czy objętość tekstu, czy też jego wartość. Mała proza – bo zamknięta w dziesięciu, dwudziestu zdaniach rozwiniętych, czy też mała – bo bez specjalnych ambicji, bez pomysłu, bez polotu napisana.

I kiedy w autorskim wstępie księdza Jerzego Sikory do książki „Pęknięte lustro” przeczytałem: „W niniejszym zbiorze prezentuję się demnaście małych próz...” – owo wahanie kazało mi ów niewielki zbiorek odłożyć na półkę.

Na szczęście zacząłem czytać.

Część pierwsza książeczki, wydanej nakładem Łomżyńskiej Oficyny „Stopka” to – jak napisał sam autor – proza artystyczna. Dziesięć krótkich opowiadań o tęsknocie do miłości, o przemijaniu, o zastanawianiu się nad sensem życia. Właśnie – opowiadań – nie żadnych tam małych próz. I chociaż takie opowiadania jak „Utracony smak życia” czy „Poza cieniem” tchną młodzieńczą naiwnością, to już dwie kolejne „Pęknięte lustro” i „Dziewczyna pachnąca chmielem” są znacznie bardziej dojrzałe.

Książd Jerzy Sikora jest poetą. Od dawna i przede wszystkim poetą. I może właśnie dlatego nie zawsze bardzo poetyckie pomysły udaje mu się zapisać tak dobrze prozą, jakby mógł to uczynić wierszem.

Ale jednego autorowi odmówić nie wolno – wrażliwości. „Muzyka czerwonego czajniczka” jest tego najlepszym przykładem. Jak w niewielkim imbryku udaje się zamknąć aromat wielu różnych liści herbaty, tak w tym niewielkim opowiadaniu udało mu się – z nostalgią, zadumy, z blasków i półcieni – uzyskać niezwykle bukiet nastroju.

Ale i tak najlepszym opowiadaniem w tym zbiorze jest „Zanim ruszą kry”.

Budowanie dramatu i stopniowanie napięcia poprzez krótkie oznajmujące zdania daje efekt niezwykle. Doświadczenie i warsztat poety widac tu jak na dłoni.

Część druga zbioru „Pęknięte lustro” to – jak napisał sam autor – proza eseistyczna. Jest tu więc i felietonowy „Czas przesilenia”, i przypominający zaduszkowe kazanie „Przyobleczony jesteś w ciało”, a także – niczym wieczorna medytacja – fragment pod tytułem „Judaszu, mój przyjacielu”.

Mieszkańców Łomży zainteresować powinno opowiadanie „Jeden dzień”.

Oczywiście o Łomży, deszczowej, słonecznej, prowincjonalnej, brudnej, o Łomży amerykańskiej i łomży chińskiej – ale przede wszystkim o ludziach, najzwyczajszych jej mieszkańcach.

Zastanawiałbym się długo nad tym, co sprawiło, że wszystkie te opowiadanka, felietony, a nawet rozmyślania znalazły się w jednej, niezbyt zresztą grubej książeczce. Oczywiście – poza tym, że napisał je jeden autor.

Na szczęście wyjaśnił to sam Jerzy Sikora – otóż wszystkie były drukowane w „Środku Literackiej” – dodatku do wydawanego w Londynie „Dziennika Polskiego” – na przestrzeni bez mała dziesięciu lat, od września 1993 roku do sierpnia roku 2002. Dobrym duchem tych publikacji była Stefania Kossowska, która w latach 1974 – 1981 była redaktorem naczelnym słynnych londyńskich „Wiadomości Literackich”, tak, tak – tychże Wiadomości Mieczysława Grydzewskiego.

Ma więc zbiorok „Pęknięte lustro” swoją historię, jest też świadectwem literackiej przyjaźni – o co dziś, szczególnie w kraju, bardzo trudno.

I chociaż ma swoje znakomite fragmenty – dla mnie książd Jerzy Sikora był i pozostanie poetą.

Wiesław Szymański

Jerzy Sikora, „Pęknięte lustro”, Oficyna Wydawnicza „STOPKA”, Łomża 2003

„Jak umierają małe dziewczynki?” – Katarzyna Ewa Zdanowicz

Katarzyna Ewa Zdanowicz dawno już przestała być małą dziewczynką. I w znaczeniu biograficznym – wszak ma 24 lata, i twórczym – w dorobku cztery zbiory wierszy, przede wszystkim zaś w rozumieniu doświadczenia życiowego.

I nie dlatego wcale, że sprawy męsko-damskie i jej atrybuty pojawiły się w jej poezji bardzo wczesnie – boiem akurat one poezji tej niewiele dały.

Jeśli autorka książki „Jak umierają małe dziewczynki” w swoim pisaniu była kiedykolwiek dziewczynkowata – to chyba tylko i wyłącznie w pierwszym tomiku „Improwizacje i nie tylko”. Późniejsze pisanie niewiele z małą dziewczynką miało wspólnego – zważywszy na specyficzny sposób oglądania świata i jego opisywania – jak w książce „Szkliwo”.

Trochę więc dziwić może tytuł najnowszego tomiku Katarzyny Ewy Zdanowicz – Jak umierają małe dziewczynki? Zauważmy – pytanie brzmi nie – dlaczego, z jakiego powodu, wskutek jakich zdarzeń – lecz – Jak ?

A więc w ramionach ukochanego, który – „gdy już ją miał / zrozumiał, że nie ma nic”. Albo – w ramionach kochanka – „Masz to co chciałeś – i dobroć się psuje / zęby zaciskam, zdradzam cię czule”. Małe dziewczynki mogą też umierać wskutek przedawkowania uczucia – „przytuła się tobą i głupia umiera / Tną ją – szukają – lecz ciebie tam nie ma”, przy czym miejsce śmierci nie ma żadnego znaczenia – „śpię skulona i zimna jak kotka / rozdeptana o zmierzchu na schodach”. A pomocy znikąd – bo kogóż obchodzi mała dziewczynka – „pogryzły ją psy, opluły anioły – i szkolny psycholog zwolnił się z pracy”.

Wiemy już – jak i gdzie umierają małe dziewczynki. Paskudnie i byle jak. Pozostaje jednak pytanie – dlaczego? Na to pytanie odpowiedź jest trudniejsza.

Może dlatego, że – „jadła mu z rąk jak oswojone zwierzę”. Możliwe, że z powodu swoich niezwykłych zdolności – „taka dzielna choć taka mała / umie wszystko przemienić w pustkę”. Czy przyczyną śmierci małej dziewczynki może być upadek – bezdenny, nihilistyczny upadek – „nie czuję już dna – i dobry Bóg przełyka mnie jak ślinę”. A może właśnie to drugie? Bo w innym wierszu z tego tomiku autorka pisze – „Bóg wytknął mnie palcem i plunął trzy razy” Dlaczego Bóg jest tak srogi? Czym zawiąła mała dziewczynka – miłością, która jest jedna – tylko łóżka i prześcieradła się zmieniają? /Cóż za odważna definicja miłości?/ A może tym

że – „moim ulubionym bohaterem kreskówek jest Jezus?”.

A może mała dziewczynka wcale nie umiera? Staje się kochaną, wier-
ną żoną, wyrachowaną, zmysłową kochanką, za pieniądze, dlaczego nie,
albo podkarmioną lalką Barbie, czy też Myszką Miki po trepanacji cza-
szki.

Możliwości jest znacznie więcej. Katarzyna Ewa Zdanowicz przestała
być małą dziewczynką. Ale ta dziewczynka w niej nie umarła. Wraz z
Rumcajsem, Papą Smerfem, Pszczółką Mają i Panem Kleksem – którzy
pojawiają się w jednym z wierszy – ona żyje. Tyle tylko, że wydorowała.
Dojrzała. A dojrzewamy tym, co niesie nam życie – chybionym uczuciem.
Zdradą. Sytuacją, po której brak nam odwagi by spojrzeć w lustro. Boha-
terka wierszy Katarzyny Zdanowicz przeszła wiele. Nie ze wszystkim po-
trafi sobie poradzić. Im bardziej boli – tym bardziej odporna staje się na-
sza skóra. Im mocniej kopią – tym twardsze mamy pośladki.

Jest to książka o doświadczeniu życia. Wcale nie przez małą dziew-
czynkę. Tytuł tego zbioru – będący tytułem jednego z wierszy – jest my-
lący i zdradliwy. Nie napisała tych wierszy mała dziewczynka. I wcale nie
o umieraniu są to teksty.

Jeśli jest w tym tomiku coś z dziewczynki – ale wcale nie malej – po-
wtarzam – to forma tych wierszy. Stroficzne, rymowane, przypominające
momentami sztambuchowe zapisy dorastającej panny. Powiedzieć by
można, że to odwrót Katarzyny Zdanowicz od wiersza białego, na rzecz
formy klasycznej.

Sukces jest połowiczny. Obok świetnych wierszy jak „Sio” czy
„Groch” są takie jak „Cement” czy „Koncert życzeń”.

Dojrzewa nam autorka „Kolekcjonerki” – nie da się ukryć. To już zu-
pełnie inne wiersze – i bardzo dobrze. Katarzyna Ewa Zdanowicz nie jest
już ani małą dziewczynką, ani podlotkiem – to pewne. A że w swojej naj-
nowszej książce kreuje świat kobiety dojrzałej za bardzo? – być może jest to li-
 tylko moje osobiste odczucie.

Wiesław Szymański

Katarzyna Ewa Zdanowicz, „Jak umierają małe dziewczynki?”,
Wydawnictwo RUTA, Wałbrzych 2003

Tęsknota za ciszą

W stronę ciszy Janiny Osewskiej jest książką debiutancką. Okładka twarda, a na niej zdjęcie wykonane ręką samej autorki. Na czwartej stronie okładki zdjęcie poetki z notką biograficzną, w niej lapidarne informacje dotyczące miejsca urodzenia, studiów, miejsca pracy. Dowiadujemy się więc, że Janina Osewska urodziła się, mieszka i pracuje w Augustowie, że debiutowała w 2000 r. w „Najprościej”. Później publikowała w „Głosie Nauczycielskim”, „Jaćwieży” i „Ocaleniu przez Poezję”.

Tematyka wierszy Janiny Osewskiej jest zróżnicowana, ale dominuje przyroda. W utworach jest radość z samotnych wędrówek jako efektu wolności. Dąb *z bliznami pioruna* będący *historykiem bez dorobku* jest tu *powiernikiem zamysłów* (s.6). W wierszu dedykowanym Wisławie Szymborskiej jest piękne porównanie kobiety dotkniętej poezją i smolnej drzazgi. Faktycznie, obie wywołują ogień, w którym spala się drewno i miłość. U Janiny Osewskiej *niebo / przyodziewa szary prochowiec* (s.8), poranek rozsuwa zalony nieba, „wyspa cudów” zakotwiczona jest na nitkach babiego lata... Widoczne są tu owe samotne wędrówki, związane z nimi obserwacje fotografa, artysty zauroczonego przyrodą. Swobodne operowanie słowem, konsekwentne budowanie obrazu, interesujące porównania sprawiają, że wiersze czyta się z zainteresowaniem, bez podświadomego nawet chęci ingerencji w zapis poetycki. Moim zdaniem świadczy to o sprawności warsztatowej autorki i o tym, że wie, co chciała powiedzieć, a nie u każdego debiutanta tak jest.

Pełną prostoty jest *Modlitwa poranna* (s.17) zamknięta prośbą do Anioła Stróża, by prowadził do ciszy. Poranek jest tu dziecią, do której pewnie można wrzucić wszystkie sny i *myśli niechciane / co jak pajaki / gestą tkają sieć*. Tytułowa „cisza” to według autorki problem tkwiący w człowieku, będący zarodnikiem nadziei. Nadzieją zaś jest „niebo”, słowo w książce występujące wielokrotnie i według mnie prowadzące do owej upragnionej ciszy. Utożsamiać je można ze spokojem, pełnią wewnętrznego zadowolenia, i to chyba niezależnie od jego koloru, od stanu napięć funkcjonujących obok. Niebo może być „świadkiem i parawanem” dla iskry rozpalającej ogień, zachętą dla ptaków, by wzięły je w swoje posiadanie. Z wiersza *Szlakiem przydrożnych krzyży* dedykowanego Irenie Baturowej *jak z przepelnionego naczynia / wylewa się Biebrza szukając / miejsca wśród mleczy i kaczęńców* (s.25). W następnym noszącym tytuł *Spacer wczesną wiosną* poetka opisuje popołudnie, kiedy to *słońce było pyzate / jak na rysunku dziecko a jej buty jak stemple / odcisnęły ślady* (s.26). Niekiedy przyroda i tęsknota splatają

się w zdziwienie. Tęskni więc poetka za bytem ptaka, dziwi się „logice stworzenia”. W kontekście owego zdziwienia pojawia się nieufność, bo „starość spogląda”, bo stara kobieta *mówi że życie uczepiło się jej / jak pijawka*.

Starość dotyczy zresztą kilku wierszy. Zostały one umieszczone w końcowej części i w logiczny sposób związane są z dwoma wierszami zamykającymi książkę: *Pożegnanie* i **** Panie rozsypaneś mnie dmuchawcami...* Z pierwszego z nich, dedykowanego Annie T., można wyodrębnić sentencję: *nie zasypuj pamięci / ... / podaruj / chwile które wiekły*, w drugim autorka rozważa problem bycia i przemijania. Jej filozofię zamknąć można w symbolicznych dmuchawcach, które wiatr roznosi po polach i ogrodach, ale które kiedyś mają się odrodzić. I właśnie ten wiersz jest chyba miernikiem kultu przyrody i tęsknoty za ciszą, nieustannie wyzierających z wierszy Janiny Osewskiej.

Eugeniusz Szulborski

Janina Osewska, „W stronę ciszy”, TIKKUN, Warszawa 2003, ss. 40

Walka i alienacja: Włodzimierz Wowczuk „Waki”

Urodzony w Harbinie, z matki Rosjanki, nie znający języka polskiego, „gajdzin” (obcokrajowiec) w okupowanej przez Japończyków Mandżurii, w której czuł się Polakiem, a gdzie przeżył dwadzieścia kilka lat w czasach bynajmniej nie spokojnych – to Michał Radwan w orientalnym rozdziale swego życia. Od przyjazdu w 1949 r. do Polski, „Ojczyzny z wyboru” zaczyna się jego biografii rozdział drugi. Tę rodzimą epopeję inicjują pisma urzędników bezpieki: Kierownika Referatu Śledczego UB – do Kierownika Wydziału Inwigilacji Repatriantów Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego; Kierownik Wydziału Inwigilacji MBP – do Ministra Bezpieczeństwa Publicznego, Tow. Stanisława Radkiewicza. Poufna korespondencja „dotyczy Repatriantów z Mandżurii”.

W polskiej rzeczywistości, pochłonięty nade wszystko jej wymiarem społecznym, a zwłaszcza politycznym, Michał funkcjonuje przez ponad 40 lat, aż do „okrągłego stołu” i po „okrągłym stole”. Michał: pragmatyk? gracz dla samego smaku walki? utajony romantyk? „agent Mao i Mikada jednocześnie”, jak mówią o nim ubecy? człowiek kłęski? sukcesu? („nie jestem stworzony, by przegrywać, bo inaczej niż inni pojmuję sukces”). Od młodości jego żywiołem jest walka, życie pojęte jako zmaganie się z przeciwnościami – z wadami własnego charakteru, ze słabością ciała (imperatyw władania sobą, niepoddania się w najtrudniejszych sytuacjach), walka z przeciwnikiem na boisku i – w życiu, w rzeczywistości systemu totalitarnego. Michał – waki.

Podobnie jak życiorys tytułowego bohatera, również książka rozłamuje się na dwa, dalekie sobie, światy. O zanurzonej w chińsko-japońskim żywiole Azji grupie Polaków, z jej historycznym, społecznym i politycznym zróżnicowaniem prawie się zapomina, śledząc później zagęszczoną materię polityczną lat Solidarności. Autor ma ambicję nakreślić szkic wizerunku politycznego PRL; najszerszej, co zrozumiałe, traktuje lata osiemdziesiąte. Nie bez zaskoczenia spotyka się wiele nazwisk autentycznych (Bratkowski, Jaruzelski, Kuroń, Michnik...). Z prawdziwymi współlistnieją nazwiska fikcyjne czy też zaszyfrowane (Kwejtman), są również – jak to ongiś w literaturze bywało – nazwiska charakteryzujące ich nosicieli, choćby Wykrętowicz. Polska toponimia, oprócz Warszawy i Gdańska, wzmiankuje – pro domo sua – o Białymstoku.

Książka jest przemyślana co do konstrukcji, ze zrecznie poprowadzoną intrygą, o kompozycji iście matematycznej (część harbińska: 7 rozdzia-

łów, ok. 200 stron; część polska: 7 rozdziałów, ok. 200 stron). Kompozycyjną klamrą – symbolem i motywem przewodnim jest obraz pociągu, superexpressu, pokonującego olbrzymie przestrzenie. Pociąg – bycie w podróży, na ogół poza zwykłymi zajęciami; podróżny znajduje się pomiędzy czymś a czymś. Nie jest „w”, jest „poza”. W taki też sposób narrator każe myśleć o Michale Radwanie, którego politycznej niemal „wszędobylskości”, aktywności, byciu wewnątrz zdarzeń zarazem towarzyszy duchowe wyizolowanie, aż po ostatnią podróż, w którą „wyrusza sam, ZNIKAJĄ DONIKAJĄ”. To przecież znak alienacji, zupełnej i „doskonałej”.

Zarówno w narracji, jak i – przede wszystkim – w portrecie psychologicznym Waki, w jego relacjach z kobietami, przewija się jakby ściszony ton. Tak opowiada się historie nostalgiczne. Tak opowiada się historie, które opowiadającego przyprowadzają o nostalgiczne nastroje. Owa lekko zaznaczona a wyraźnie wyczuwalna nuta liryzmu, coś jak melodia serca, w zderzeniu z okrucieństwem epoki, bezwzględnością reguł gry, z maskami na twarzach graczy – stanowi o trochę Conradowskiej urodzie książki.

„Waki” to szkopał pod względem gatunku literackiego. Niby-powieść sensacyjno-dokumentalna? Autobiograficzna (no, prawie) szpiegowska powieść polityczna? Półpowieść, półreportaż? Polityczna powieść z tezą? Ukazała się w niewiadomym nakładzie i nigdzie jej nie widać, słowem, zachowuje się nieco jak... waki.

Książka jest chyba nieporównywalna z żadną inną. Mija się z celem szufladkowanie jej z punktu widzenia przynależności do określonego gatunku literackiego. Nie robiłabym zarzutu z przesterstów publicystycznych względem warstwy fabularnej, o to, że w jej drugiej części dziennikarz wyraźnie sterroryzował pisarza, gdyż za te partie książki warto jej Autorowi osobno podziękować – niezależnie od zgody bądź niezgody na przedstawioną interpretację faktów z najnowszej historii Polski. Dla przykładu, trudno się zgodzić z niektórymi ocenami zmian po 1989 r., zwłaszcza z pozytywną oceną transformacji gospodarczej, w tym zasług jej „prawdziwego kreatora”, Leszka Balcerowicza. Jego polityka gospodarcza miała spowodować prawie cud gospodarczy – likwidację inflacji w ciągu sześciu miesięcy i wzrost stopy życiowej w równie efektywnie krótkim czasie. Przyniosła tymczasem masowe bezrobocie, dramatyczne zubożenie milionów Polaków i grabież majątku narodowego. Na jakiej podstawie tę postać określił Autor jako apolitycznego (?) eksperta o międzynarodowej (?) pozycji? Zdaje się, „Waki” jest prekursorska w podjęciu, w mniej lub bardziej udany sposób, własnego obrachunku z minioną dziejową chwilą.

Wreszcie, nie miałabym za złe drobiazgowego w pewnym egocentryzmie opisu swego bohatera, zważywszy, że to i postać tytułowa, i że (jak można przypuszczać) mieści w sobie wiele z samego Włodzimierza Wowczuka.

Książka ma walor autentyzmu, walor świadectwa, jak *summa vitae*. Nasuwa się co prawda pytanie o zakres tej szczerości, o szczerość gra-
cza... Została napisana z dużą kulturą autorską tudzież pisarską, w stylis-
tyce odrobinę staroświeckiej (w najszlachetniejszym znaczeniu tego sło-
wa), przez co w świecie Michała Radwana, w wewnętrznym świecie Mi-
chała, dobrze może się poczuć osoba, która wyżej – od zgiełku dyskotek,
miałkości telewizyjnych seriali oraz wabiących klimatów hipermarketów –
znacznie wyżej ceni sobie uroki osobistych lektur, przygodę w sferze my-
śli, w dziedzinie duchowych podróży. Może przecież przyjść czas, gdy i
młodym Polakom, ich kręgom tak szerokim jak te, zagarniane dzisiaj
przez miażdżące szczęki massmediów i tzw. młodzieżowej kultury, dąże-
nia Michała, by życie traktować jak walkę, staną się bliskie. Może jego wy-
sokie wymagania stawiane sobie i życiu przyjmą za swoje (cuda właśnie
się zdarzają), a mimo iż sukcesu – w obecnym, wynaturzonym jego poj-
mowaniu – nie musi to im zagwarantować, przecież uczynić może ich ży-
cie twórczym i społecznie wartościowym, bez wątpienia.

Zawężeniem byłoby uważać, że ta nietypowa beletrystyka jest adreso-
wana jedynie do dziennikarzy, historyków, politologów; to ciekawa lektu-
ra dla amatorów dobrej książki. I tylko, czy z wiedzy o tym, co minione i
już właściwie nieznane – mimo iż zdarzyło się niecałe 140 lat temu (rok
1863), nieco ponad 80 lat temu (1917), zaledwie 20 lat temu (1980-
1981) – przychodzące pokolenia zdołają się czegokolwiek nauczyć? Na
dzisiaj, na jutro? Powiadają, „Historia uczy, że historia jeszcze nigdy nikogo
niczego nie nauczyła”.

I, w pigułce, recenzji wariant drugi: to powieść stricte polityczna.
Swoisty dokument czasów i życia. Ambitna, pisana z wyczuwalną odpow-
iedzialnością świadka. Akcja wypadła raczej blado, fabuła nieco lepiej; o
niewątpliwej atrakcyjności stanowi m.in. jej dalekowschodnia egzotyka.
Beletrystyka w starciu z publicystyką przegrywa na głowę. Sensacyjności,
jak przystało na powieść szpiegowską, jej nie brakuje, lecz – powie ktoś –
nihil novi sub sole. Pobrzmiwa w niej nuta melancholii. Z nieobecności
na jej kartach agenta wpływu skłonna byłabym uczynić Autorowi jedyny
zarzut. Bowiem wiedza czytelnika w dziedzinie specsłużb kuleje, nawet
po lekturze „Waki”.

Teresa Jabłońska

Włodzimierz Wowczuk, „Waki”, Wyd. ALFA-WERO, Warszawa 1999

„Przede wszystkim, proszę pamiętać, nie jestem pisarzem...”

– rozmowa z autorem „Waki”, Włodzimierzem Wowczukiem

W rozmowie z niecodziennym Autorem o niecodziennej książce jest potrzebna, co najmniej, nazwijmy to żartobliwie, „trzyosobowa specjalizacja: historyk, politolog, na końcu reprezentant tych, dla których literatura jest zjawiskiem ważnym. Skoro sprawy mają się inaczej – bo historyka ani politologa nie widać – także rozmowa będzie z konieczności przebiegać inaczej.

Z panem Włodzimierzem Wowczukiem, Dziennikarzem Niezależnym (jak informuje wizytówka), autorem książki pt. „Waki”, wydanej przez Wydawnictwo ALFA-WERO, Warszawa 1999, mam nieoczekiwaną sposobność spotkać się w gościnnym gabinecie Dyrektora Książnicy Podlaskiej, poety, pana Jana Leończuka. Nasz Gospodarz jest propagatorem i popularyzatorem kultury, jak nikt chyba zabiegającym o wspólnotę ducha ludzi Kresów, o prawdziwą wspólnotę ducha ludzi.

Rozwiązanie zagadki tytułu powieści przynosi jej lektura, wszakże po odsłonięciu się tajemnicy słowa „waki” książce tajemnic wcale nie ubywa. Czy spotkanie z Włodzimierzem Wowczukiem, człowiekiem owianym aurą tajemniczości, uczyni Go odrobinę mniej zagadkowym?

*

– *Dlaczego Białystok?*

W.W. – Przez lata byłem warszawianinem, moja Żona była warszawianką. Żona nie żyje już wiele lat, z czasem zacząłem się nosić z zamiarem „ucieczki z Warszawy”. Początkowo miały być Dębki, wieś na Kaszubach. Mieszkalem tam osiem miesięcy i byłem przekonany, że już tam zostanę. Zaszły pewne okoliczności, nieprzewidziane zdarzenia – i wróciłem do Warszawy. Nie prze-

stałem jednak myśleć o ponowieniu ucieczki z Warszawy. I pomyślałem: „No, to będzie Białystok”. Dlaczego Białystok? Bywałem tu w czasach PRL. W „Fastach”, w „Uchwytach” (nawet z synem Bieruta, Janem Chylińskim, on był wiceprzewodniczącym Komisji Planowania, ja pracowałem wówczas w „Życiu Gospodarczym”). Dwa lub trzy razy byłem tu w czasach PRL, i w stanie wojennym, z czego po prostu jestem na swój sposób dumny. Był to fragment mojej opozycyjnej działalności. Byłem przez osiem lat pozbawiony prawa wykonywania zawodu, bez pracy – ale działałem w drugim obiegu, występując w duszpasterstwach w Gdańsku, Warszawie i właśnie w Białymstoku. Trzykrotnie, jako „wróg ustroju”: – spotkanie z białostockimi dziennikarzami opozycyjnymi, – spotkanie w duszpasterstwie i – najważniejsze dla mnie, pod auspicjami Klubu Inteligencji Katolickiej – z alumnami Archidiecezjalnego Wyższego Seminarium Duchownego. Podówczas nie widziałem tak dużego zgromadzenia; chyba z dwustu duchownych. I ja, właśnie, podważałem ustrój socjalistyczny na takim forum (śmiech). Bardzo mnie to satysfakcjonowało, trzeba powiedzieć.

Toteż pomyślałem: „To będzie Białystok”. Upewniał mnie, utwierdzał w przekonaniu, że „tak, tak, tak”, że on mi „w razie potrzeby wszystko ułatwi” Marian Leszczyński, który był animatorem tych moich wystąpień w stanie wojennym. Obaj byliśmy uczestnikami ruchu oporu. Niestety, niestety, to nie zawód, to coś znacznie gorszego było...

Gdyby ten człowiek, nawet po jakimś czasie, wiedząc, że tu jestem, że on znowu nie wywiązał się z kolejnej obietnicy, wprowadził mnie w błąd – gdyby zadzwonił i powiedział: „Stary, jak Ci się wiedzie, tu, w Białymstoku? Chciałem jak najlepiej, a wyszło jak zawsze...” – to ja bym go zrozumiał. Przecież pierwszy maszynopis tej książki, na początku stanu wojennego, zgubił. Nie wiem, co się stało. Po dzień dzisiejszy nie powiedział. On mnie programowo trzykrotnie wprowadził w błąd, w poważnych sprawach. Nie zechciał nawet przeprosić. Marian ustawicznie nie dotrzymuje żadnych zobowiązań.

– *Czy była jakaś wzmianka w białostockiej telewizji?*

– No, właśnie, czy nie można było zamieścić wzmianki np. na „Półce z książkami”?

– Ma Pan zapewne na myśli program „Książki z górnej półki”? Zdziwiałe, że „Waki” tam się nie znalazła. Wracając do naszego miasta – na decyzje, by zostać białostoczaninem nie wpłynęły, w każdym razie, tradycje rodzinne?

– Nie, nie, nie mam rodziny w ogóle. Tak się złożyło, że – mówię bez emfazy, bez pochlipywania – że ja mam – groby: w Harbinie, w Taszkencie, w Elblągu, w Warszawie. Nikogo. Nikogo z bardzo, bardzo dużej rodziny.

– „Waki”, jak policzyło wydawnictwo, jest Pana ósmą książką. Czy będzie dziewiąta, następne?

– Noszę się z zamiarem, u schyłku życia, złożyć hołd kobietom. Zawsze byłem ich zwolennikiem, za co bywałem źle traktowany przez panów, nawet w krótkich spodenkach, obtłukiwany na podwórku, w szkole przez kolegów, dopóki nie zostałem sportowym idolem. Natomiast co do kobiet: nie mam złudzeń, ale chylę czoła. Noszę się z zamiarem napisania „Wspaniałej Siódemki”: siedem wywiadów pod wspólnym tytułem, z konkretnymi, znanymi w większości osobami. Wahałem się, czy to ma być Gronkiewicz-Waltz, czy Bochniarz; one mnie trochę fascynowały... Na razie mam rozmowę z Krysią Sienkiewicz. Podziwiam ją, ona potrafi, w tym wieku, dwa razy w dwugodzinnym programie wychodzić na scenę po dwadzieścia minut. Dwa razy w roku jest za granicą. Co tydzień jest w terenie; przy czym ona ma 80% utraty wzroku i nie może ani czytać, ani oglądać telewizji. A poza tym ona jest miłośniczką zwierząt. Ma schronisko dla zwierząt w Milanówku, które prowadzi z wdową po Iredyńskim. Krysia to jest cudowny człowiek!

Zrobiłem też wywiad z Ireną Szewińską. Wśród moich rozmówczyń jest też zaprzyjaźniona, jeśli można tak powiedzieć, wdowa po moim koledze z „Życia Gospodarczego”, p. prof. Sikorowa, wybitny onkolog – patolog. Przeszło osiemdziesięcioletnia. Codziennie jest kilka godzin w Instytucie Onkologii na Wawelskiej, prowadzi doktorantów, bierze udział w rozmaitych kongresach naukowych, wydaje publikacje. Do pracy dojeżdża prowadzonym przez siebie samochodem...

Każda z tych kobiet to fightery; wszystkie miały bardzo trudny start życiowy i wszystko, co osiągnęły w życiu, nie przyszło im ła-

two. Wprost przeciwnie. A osiągnęły wiele. Faulkner powiedział: „Jeżeli chcecie załatwić coś przyzwoicie, powierzcie to kobiecie albo dziecku”...

– *Historia to drugi – a może pierwszy? – bohater Pańskiej książki. Czym jest dla Pana historia? Własnym życiem? Pojęciem abstrakcyjnym? Słepą siłą? Przeciwnikiem? Zadaniem?...*

– Jestem zawodowcem, no więc... W jakimś sensie można ode mnie wymagać pewnych rzeczy... Można oczekiwać. Można.

– *Jak Pan sądzi, ilu ludzi można by obdarzyć częstkami tej kondensacji zdarzeń, które stały się udziałem Michała Radwana, tytułowego bohatera „Waki”?*

Na miarę ilu życiorysów skrocił Pański los wiek XX?

– To nietławe pytanie. Jako człowiek u schyłku życia, który został ukształtowany w kilku kręgach kulturowych, kręgach cywilizacyjnych, i na obszarze tak rozległym jak obszar Euroazji; człowiek obdarzony – nazwijmy to – pewnym darem spostrzegawczości, pamięcią, chłonną pamięcią (bo ja zawsze byłem „czytaczem”. Lubiłem czytać, czytać, czytać i czytam po dzień dzisiejszy), mogę powiedzieć, że z tego, co złożyło się na moje doświadczenie, rzeczywiście można wyodrębnić kilka wątków powieściowych, jakichś nowelistycznych, jeśli tak można powiedzieć. Sam fakt pochodzenia, urodzenia w mieszanej rodzinie, o korzeniach rosyjskich (jestem prawosławny), rodzinie skonfliktowanej nawet, na swój sposób, bo ojciec – kresowiak, matka – szowinistka rosyjska, typowa szowinistka rosyjska..., te wszystkie obciążenia emigracyjne – one mogły rzeczywiście wypaczyć charakter człowieka nieodwołalnie. W jakimś sensie zaciążyły na pewno na mojej osobowości. Ale Bóg, mądry i sprawiedliwy, obdarzył mnie również tą zdolnością patrzenia z boku na ludzi i zdarzenia. I zdolnością do autoironii. Pozwalam, nie tylko pozwalam; chętnie sam z siebie potrafię pokpiwać i – właściwie oceniać siebie.

Nie jestem, przede wszystkim, proszę pamiętać, nie jestem pisarzem. Jestem dziennikarzem. To, że ta powieść powstała, to zupełny przypadek. A te książki, które były wydane, to albo tłumaczenia, albo eseistyka ekonomiczna (w przypadku książek o Japonii). Moje pisarstwo – to publicystyka. Byłem bardzo przywiązany nie do artykułów o efektywności handlu zagranicznego czy progra-

mowaniu gospodarczego rozwoju w wysoko rozwiniętych krajach, na przykładzie Japonii (uchodziłem w tej dziedzinie za eksperta; władza zorientowała się już w drugiej połowie lat 70.; zdarzyło się, że szkoliłem profesorów od tych spraw, szkoliłem rząd – ja, dziennikarz), lecz do felietonów sportowych. Z wykształcenia jestem ekonomistą, z zawodu dziennikarzem, znam się na... sporcie.

W „Tygodniku Demokratycznym” pisałem co dwa tygodnie felietony sportowe. No, i bywały ingerencje cenzury w tekście dotyczącym sportu, w felietonie sportowym. Napisałem tekst „Puchar dla głównego księgowego”, wredny felieton. Bo ja jestem „wredny Azjata”. Wtedy cenzura zdjęła go w całości. A ja zwracałem się w nim do głównego księgowego FSO, żeby wskazał korzyści, jakie odnosi fabryka dzięki udziałom syna Jaroszewicza we wszystkich rajdach finansowanych przez fabrykę. Wtedy dostanie puchar. Taki wredny Azjata z mnie. A co do problematyki powojennego rozwoju gospodarczego Japonii, była to bardzo wygodna problematyka, znakomita okazja do krytyki systemu w Polsce, rzecz jasna. Pisarzem nie jestem i już nie będę na pewno.

– *Nie wolno się zarzekać...*

– No, nie, nie. Po prostu, czas mój się kończy, bez żadnej kokieterii. Chcę tylko, jak mówię – za co zostałem przez zaprzyjaźnioną, jeśli to właściwe słowo, mniszkę upomniany – „zdążyć przed Panem Bogiem”. To znaczy, wydać „Wspaniałą Siódemkę” i jest jeszcze jeden temat, do którego się przygotowuję – pamflet publicystyczny, rozbudowany, ryzykowny z wielu względów. Oceniam, że to na kilka miesięcy pracy, w sumie.

– *A Pańska przygoda z historią? Tak rozległej wiedzy historycznej nie zdobywa się przecież mimochodem. Jest to pytanie o Pańskie „peregrynacje historyczne”: archiwa?, instytucje?, lektury...*

– Z zamiłowania. To znaczy, ja sobie przypisuję, że jestem historykiem z zamiłowania. Bo kocham historię. Kocham literaturę historyczną. Czytam historię starożytnego Rzymu, historię Chin, historię Japonii, historię Rosji. Tak się złożyło, że to jest właściwie ten obszar moich korzeni, mojej egzystencji, mojej edukacji; to nieprzypadkowo, poza historią starożytnego Rzymu, ale tę każdy człowiek cywilizowany naszego kręgu kulturowego, no – jednak musi znać.

– *A metoda gromadzenia?*

– Och, proszę Pani!... Chałupnicza. Gdybym Pani pokazał stopy tych teczek tematycznych! Ale kiedy czegoś szukam, przeważnie nie mogę znaleźć... (śmiech)

– *Może potrzebna jest osoba w rodzaju sekretarki?*

– Już dawno, dwadzieścia parę lat temu, gdy jeszcze żyła moja Żona, która mówiła: „To ja mogę być”, mówiłem zawsze: „Ty nie masz kwalifikacji”. (śmiech)

A'propos teczek... Robiłem wywiad w jego gabinecie z tow. Kociołkiem (członek Biura Politycznego PZPR; znałem go ze studiów na Uniwersytecie Warszawskim) i kiedy powiedziałem, jaką chałupniczą metodą pracuję, to on wstał, podszedł do szafy, otworzył drzwiczki – on, członek Biura Politycznego! – i pokazał stopy teczek. A on był taki kujon, taki pedant. Na tym nie można było przecież pracować! Jakie to można decyzje podejmować, z taką szafą teczek! To ja się gubię w tym, a on... Powiedziałem mu wówczas: „Słuchaj, kiedyś w redakcji „New York Times'a” zabawiono się w rozwiązanie takiej zagadki: Jak był ubrany Churchill, jako pierwszy lord admiralicji, na paradzie floty morskiej w 1911 roku? Wiesz, ile oni czasu potrzebowali, żeby to ustalić? A działo się to już ze ćwierć wieku temu: siedem minut! U nas to nie do ustalenia także dzisiaj. To było fenomenalne!

– *W jakiej mierze uzasadnionym będzie stwierdzenie, iż „Waki” ma jakby dwu autorów, że książkę pisali Włodzimierz Wowczuk i historia?*

– Autor próbował interpretować historię, narrator próbował porządkować swoje spostrzeżenia, swego bohatera, jakoś je analizować, oceniać – przez pryzmat późniejszych wydarzeń. Prawdę powiedziawszy, nie to, że się pomyliłem. Nie pomyliłem się, nie o to przecież chodzi. Różne fascynacje człowiek przechodził w życiu... Po ukazaniu się tej książki był ze mną wywiad w telewizyjnej „Dwójce”. Zawsze zaznaczam: piękna Iwona Kubicz rozmawiała ze mną i była dobrze przygotowana, przeczytała „Waki”. Sprawiała mi niewiarygodną frajdę, zapytawszy mnie w pewnym momencie: „Czy Pan się czuje bardziej Europejczykiem, czy Azjatą?”. Ach, Boże... Byłem na to podświadomie przygotowany. Myśmy niczego nie uzgadniali. Powiedziałem: „U schyłku życia – co raz bardziej Azjatą”. A ona pozwoliła mi tę myśl rozwinąć. Mówi-

łem, że tam nie doceniałem, jakoś powierzchownie do tego podchodziłem, zasad etyki Konfucjańskiej. Mało tego: Japończycy to byli okupanci. Dlaczego miałbym brać za przykład samurajski kodeks Bushido i fascynować się nim? To byli wrogowie. A dzisiaj doceniam te wartości: lojalność, dyscyplinę, przywiązanie do pewnych spraw, idei, szacunek do własnego życia, szacunek wzajemny... I mogłem to powiedzieć do rodaków – w telewizji! Przecież to duża rzecz!

To, oczywiście, przypadek; Giedroyc nie oglądał przecież tego programu, to, co powiedział, to było jego spontaniczne wyznanie; otóż w swoim ostatnim przed śmiercią wywiadzie Giedroyc powiedział (ciągle to powtarzam): „Kiedy będę miał dosyć Polski i Polaków, ogłoszę się Litwinem”. Czy to nie było cudowne? On, który był Polakiem, ukształtowanym przez polską kulturę, Polakiem z wyboru, mówi, że jest Litwinem... To z przekory.

– *Słucha się tego z dużą przykrością. Polska jest krajem cywilizacji chrześcijańskiej; wartości, o których Pan wspominał, nie są jej obce, więcej – miłość nieprzyjaciół, najtrudniejszą być może z nauk Mistrza z Nazaretu, nie jest tu czystym hasłem. Z Pańskich słów zdaje się przebiegać gorycz?, żal, żal? Czy wszystkie wartości upadły? A może funkcjonują różnie w różnych obszarach?*

– Mówiłem, że jestem schizmatykiem. Jestem wierzący i praktykujący; nigdy nie obnosiłem się z jakimś niemądrym ateizmem. Natomiast trochę „wymądrzałem się” w młodości, kiedy mówiłem: „Nie jestem ateistą – jam agnostyk”. Ateista mówi: „Wiem, że Bóg nie istnieje”, agnostyk zaś: „Nie mam przekonujących dowodów na istnienie Boga”. Na tym polega różnica.

Jestem bardzo przywiązany do tradycji prawosławnej. Z drugiej strony – moja Żona, rodowita warszawianka, Polka, która wywarła na mnie ogromny wpływ. Ona mnie właściwie zaadaptowała w Polsce. Dla mnie to był obcy kraj, kiedy przyjechałem w 49 roku. A Ona mi od razu mówiła: „Tu jest twoje miejsce i przestrzeń, te tęsknoty nostalgiczne do niczego dobrego nie doprowadzą”

– *Skoro rozmowa tak się potoczyła... „Bóg – Honor – Ojczyzna” – dobrze znana triada Polaków. Na kartach powieści znalazłam „honor” (choćby gorzka konstatacja Michała o swoim dziadku, który zastrzelił się na wieś o bolszewikach – i – o ludziach tzw. elit w Polsce, dziś,*

którym pojęcie honoru jest obce) i znalazłam „Ojczyznę”. Nieco trudniej było z Transcendencją, choć już w duchowych poszukiwaniach i rozterkach młodego Michała widać autentyczność i głębię. Może na bliższy kontakt z Bogiem bohaterowi nie pozwoliłyby jedynie – pokażne ramy powieści?

– Mnie się wydaje, że jednak..., nawet na samym początku, raz po raz te spotkania w cerkwi...

– Są to młodzieńcze poszukiwania.

– Tak, tak. Później następuje przerwa, istotnie. Istotnie. I nie ma tych kontaktów z Gospodem Bogom, rzeczywiście, rzeczywiście, ta przerwa jest dosyć długa... Ale, no, to nie przeżycia osobiste. Nigdy nie odczuwałem, nie odczuwam, ciężaru samotności. Ale pojawiła się potrzeba kontaktu z instytucjonalną emanacją wiary, religii. Zaczęłam częściej bywać, i dla mnie to w zasadzie obojętne, cerkiew czy kościół. Kiedy miałem dom – byłem wiele lat żonaty i właśnie Żona tworzyła ten dom – to był to jednak dom katolicki. Ona była katoliczką. I dla mnie Wigilia katolicka była czymś bardzo cennym. Jestem za to Żonie ogromnie wdzięczny.

Tu, w Białymstoku, przypadkowo poznałem mniszki prawosławne, w klasztorze na Dojlidach. Czasem tam bywam, w tym kościele. Jedna z siostr; siostra Julia, upomniała mnie za to „zdażyć przed Panem Bogiem”. Powiedziała: „Tak się nie mówi”. Tam jest około trzydziestu tych mniszek i tylko kilka – w średnim wieku, pozostałe – grzeszny jestem, powiadam – to młode ładne dziewczyny. Ale kiedy powiedziałem innej, siostrze Annie, że same ładne dziewczyny, to spojrzała na mnie tak... jak to odczytałem: „Proszę Pana, to jest klasztor, a nie salon!” Nigdy nie zadaję pytania, ale chciałbym od której usłyszeć: dlaczego, skąd ten wybór?

– „Byłem swój wśród obcych, jestem obcy wśród swoich” – tak myśli o sobie Radwan już trochę „u schyłku” kariery gracza. Pozwoli Pan, że zapytam o stan Pańskiego poczucia przynależności do wspólnoty narodowej? Jakąś odpowiedzią były słowa z telewizyjnego wywiadu, ale to niezupełnie to samo.

– Proszę Pani... Ja miałbym poważne trudności z ustaleniem swojej tożsamości narodowej, swoich korzeni...

– W Pańskich słowach czai się ni to żart, ni to rozbawienie...

– Na starym zdjęciu mój Dziadek, carski oficer, ma wyraźnie mongoidalne rysy. On z Zabajkała. To Kawaler Krzyża św. Jerzego! To wszystko prawda, co o nim napisałem. To wszystko praw-

da. Mam ten Krzyż św. Jerzego – jedno, co po Dziadku mam.

– *Wydawnictwo zastrzeża, że „Waki” nie jest powieścią autobiograficzną, samo jednak podkreśla liczne zbieżności w losach obu bohaterów...*

– Nie ja to pisałem. Ale akceptowałem.

– *Czy twórca postaci literackiej, uważanej przez wielu za autorskie alter ego, chce odstąpić coś ze swoich biograficznych sekretów?*

– A jakiej natury? Czy np. jego związek ze służbami specjalnymi Japonii?

– *Pytam w imieniu osób dociekliwych; dociekliwi zawsze chcą więcej. Ale wybór zostawiam Pańskiej decyzji.*

– W stanie wojennym poczułem się niedowartościowany, kiedy po mnie przyjechała bezpieka w szóstym dniu stanu wojennego... Zabrano mnie, bardzo grzecznie, na – jak powiedziano – „rutynowo-sondazową rozmowę” na Rakowieckiej. Usłyszałem, że nie będę internowany, i nie żądano ode mnie żadnej lojalki. Podpisałem tylko, że nie będę opowiadać, że byłem przesłuchiwany. I rozповідаłem o tym natychmiast na prawo i lewo.

– *Jakim czynnikiem zawdzięczał Radwan powodzenie swojej wieloletniej kariery szpiega? Jego życie trochę kojarzy się z balansowaniem nad przepaściami albo z lawirowaniem pomiędzy (iloma?) paszczami smoka...*

– Można tak oceniać.

– *Nie będę zdziwiona, jeśli Włodzimierz Wowczuk, autor „Waki”, poczuje się rozbawiony naiwnością interlokutora. Czy istnieje odpowiedź na pytanie o sukces Waki? Co jest poprawną odpowiedzią, poza tymi wskazanymi tu czy tam w książce?*

– No, dobra, ale skończył jednak marnie...

– *Odpowiedzi na pytanie o przyczynę tragicznego finału, takiego bardzo w stylu powieści szpiegowskiej, właściwie poszukiwać nie trzeba.*

– Muszę Pani powiedzieć, że niektórzy czytelnicy książki na etapie jej powstawania, parę osób, zwłaszcza kobiety, namawiały mnie, żebym jednak nie uśmiercał tego bohatera. Bo to tak jednak, z przestreloną czaszką, dużo krwi... „Włodek, daj spokój...”

Nie umiałem – nie jestem pisarzem – postawić pytania, żeby czytelnik sam sobie odpowiedział: Czy Radwan przegrał swoje życie, czy nie? Nie umiałem tego zrobić, bo nie jestem pisarzem właśnie.

– *Natomiast schemat fabularny jest typowym dla książek z gatunku po-*

wieści szpiegowskiej, jest w tych kanonach, mimo odżegnywać się autora od „kompetencji” (jak dziś lubią mawiać) pisarskich. A pytanie, o którym Pan mówi, po przeczytaniu książki nasuwa się samo, co znaczy, że ono zostało postawione, choć może nie *expressis verbis*.

Pisze pan o prajcu wywiadu, Chińczyku Sunzi (VI-V w. p.n.e.) i jego zasługach na tym polu. Czy współcześni zawdzięczają mu coś więcej jeszcze niż „boski motek”? Wspomina tę postać w rozmowie ze swoim „podopiecznym” doktor Ri.

– Ooo, oczywiście! To są kanony, na których oparte są służby specjalne, właściwie te dwie, o których jako tako mogę mówić: chińska i japońska. Nie wiem, jak to wygląda w innych krajach azjatyckich. Oczywiście, bez tego nie ma w ogóle służb specjalnych. Naicho (wym. Naiczo) to nie jest zmyślona rzecz, ten japoński, nazwijmy to, wywiad. Mogę Pani powiedzieć, że reakcja Japończyków na książkę była dla mnie pewnym zaskoczeniem, ale później ich zrozumiałem. Rzecz jasna, jako dziennikarz miałem zawodowe kontakty z bardzo różnymi dyplomatami, dziennikarzami japońskimi. Otóż początkowe zainteresowanie Japończyków książką zastąpione zostało później wymownym milczeniem. Oni po prostu o pewnych rzeczach nie muszą wiedzieć. To jest służba specjalna. Z nią jest inaczej niż w Anglii: „MI-5” i „MI-6”. Nie ma adresu. Nie ma budynku z szyldem: „To jest wywiad”, „To jest kontrwywiad”, wiadomo, kto jest szefem itd. Nie ma, w ogóle nie istnieje, a wiadomo, że jest. I oni uważają tak (jak to sobie tłumaczą): „Albo Wowczuk był rzeczywiście agentem Naicho, tym waki, albo on konfabuluje. Jeśli był, to jednak dopuścił się pewnego wykroczenia, ujawniając pewne mechanizmy... Jeżeli konfabuluje – to konfabulacja również jest niebezpieczna, a nam niepotrzebna”. No, trudno.

– To zapowiada kłopoty...

– Nie, żadnych kłopotów nie zapowiada. Zacząłem mówić, że przyjechali po mnie w szóstym dniu stanu wojennego. Ale nie byłem internowany, bo ich interesowało co innego. Naszą bezpieczeństwo interesowały moje kontakty z Chińczykami i Japończykami. Nie obchodziło ich w zasadzie moje działanie w opozycji. Oni chcieli więcej; chcieli przez to wyjść na jakąś siatkę: chińską, japońską. Ja ich nie interesowałem jako autor tych paszkwili w drugim obiegu.

– *Zawrotne rejony...*

– I był taki pułkownik, który kilkakrotnie mnie przesłuchiwał, z którym – na swój sposób – później zaprzyjaźniliśmy się. Po „okrągłym stole” poszedł na emeryturę; pewnego razu powiada do mnie tak:

– Słuchaj, ja byłem twoim prześladowcą. A ty byłeś moją ofiarą. Ty wygrałeś, a ja przegrałem. Ty masz dwa miliony sześćset* emerytury, a ja mam jedenaście (na stare pieniądze). I oprócz tego jestem współwłaścicielem firmy, która zatrudnia 500 osób. Zapraszam cię na lunch do „Szanghaju”.

Świetnie, pójdziemy do „Szanghaju”...

No więc, pierwsze przesłuchanie; on tak trzymał teczkę, ateczka ogromna, chciał pokazać „O, proszę, ile my wiemy”. Bo to jest ich metoda. I on wie dużo. Ale nie wie, oczywiście, wszystkiego. On chciał wiedzieć.

I powiedział mi stosunkowo niedawno, po przeczytaniu książki (wprowadziłem go do „Waki” pod postacią pułkownika Zarebiuka):

– Słuchaj, Włodek, ty piszesz przecież o sobie.

Mówię: - Po pierwsze jest zastrzeżenie, że książka nie jest autobiograficzna. Ale sam dobrze wiesz, że sporo jest w tym...

– *Czy bywał Pan na przedstawieniach teatru No? W lakonicznej wzmiance „Encyklopedia popularna” PWN z 1969 r. informuje, że „No to jeden z trzech rodzajów teatru japońskiego; powstał z tańców narodowych; popularny w XIV-XVII w. i w XX w.” Jak długą tradycję w wywiadzie japońskim ma kategoria? „waki”, rola? stanowisko? „waki”?*

– To jest kategoria teatralna, przejęta przez służby specjalne. W Europie lepiej, zdaje się, jest znany teatr Kobuki. NO jest jednak starszą formą teatralną. Byłem w Kobuki raz i w NO raz, podczas któregoś z pobytów w Japonii. W tym przypadku jednak, muszę powiedzieć, byłem „białym barbarzyńcą”; trochę mnie to nudziło.

– *Pański bohater programowo odrzuca idee romantyczne, to jest zimny gracz. Skłaniam się jednak do myślenia o nim jako o postaci z Romantyzmu rodem, w tragiczniejszym może jeszcze, XX-wiecznym kształcie. Jakie jest spojrzenie Autora pod tym kątem na swoją literacką kreację?*

– Radwan chce być zimnym graczem. Czy jest? Został do tego

* Mowa o milionach, przed denominacją złotego.

zmuszony. No, niekoniecznie jest tym zimnym graczem, niekoniecznie...

– Ile lat pisał Pan swoją książkę i w którym roku praca nad nią została ukończona? Jaki dystans dzielił Autora od tego „najnowsze go rozdziału” w dziejach Polski, „rozdziału Solidarności”? Napomknął Pan o oglądaniu wydarzeń „przez pryzmat późniejszych doświadczeń”. Z wieloma refleksjami na temat Solidarności i jej „liderów” można się z Autorem zgodzić, co do niejednego – mieć inne spojrzenie. Istotna jest perspektywa, z której te opinie były formułowane. Sporo się z każdym rokiem zmieniało.

– „Waki” ukazała się w 1999 roku, więc maszynopis był gotów jakoś na przełomie 98/99. Natomiast początek... Zadzwoił do mnie Dziewanowski, Kazimierz Dziewanowski, publicysta, dziennikarz; zaproponował spotkanie. Spotkaliśmy się w SPATiF-ie. On przyszedł z (też już nieżyjącym) Kubikowskim, to był krytyk literacki. (Z Dziewanowskim nie byłem zaprzyjaźniony; znaleźliśmy się, czuliśmy do siebie respekt.) I on powiada tak:

– Panie Włodzimierzu, mam fundusz wspierania twórców, dyspozycyjny. Chcę Panu pewną kwotę – bo wiem, że jest Pan pozbawiony prawa wykonywania zawodu – odpalić. Musi mi Pan powiedzieć, nad czym Pan pracuje.

To był początek stanu wojennego. No to mówię mu:

– Spadła właśnie z maszyny książka „Chiny. Japonia”, monografia.

– A, nie, nie. To musi być jednak literatura.

– Panowie – mówię – ja nie jestem pisarzem. O czym mam pisać?

A Dziewanowski wówczas powiedział:

– O sobie.

I kiedy pomachał jeszcze tymi dolarami – srebrnikami przed oczyma...

Powiedziałem mu: - Dobrze, spróbuję...

To ginęło kilka razy w stanie wojennym, było odtwarzane... Słowem, z perypetiami. Dziewanowski, kiedy wrócił z placówki, powiedział, że to już jest w składzie komputerowym. Ale on dawno, dawno temu mi powiedział: „Panie Włodzimierzu, napisze Pan – dobrze, nie napisze – drugie dobrze. Pan nikomu niczego nie jest winien”. No, ale książkę jako taką wręczyłem w pierwszą

rocznicę jego śmierci, w kościele, jego żonie, ze stosowną dedykacją.

– *Spodziewa się Pan pytania o wątek żydowski? Ufam, że nie spotkał Autora zarzut „antysemityzmu” z powodu obecności tego wątku w powieści szpiegowskiej? Nie obawiał się Pan takiego zarzutu? Szermuje się nim ostatnimi laty równie zawzięcie co bezzasadnie.*

– Tak, wątek jest. Na czym polegało, proszę Pani, szalbierstwo Michnika – otóż on powiedział dosłownie:

„Nareszcie wylazł z niego antysemita”. To było dla mnie absolutnym zaskoczeniem. Andrzej Lubowski, kolega z „Życia Gospodarczego”, Żyd, który zrobił autentyczną karierę w Stanach Zjednoczonych, bo został bankierem, wiceprezesem grupy banków w Kaliforni – otóż on po lekturze „Waki”, lecz pod wpływem Michnika, dwukrotnie telefonował do mnie z Kaliforni i po godzinie (!) ze mną rozmawiał, przekonując mnie, że ja jednak napisałem książkę antysemicką.

Przecież to nie jest książka o Żydach! To jest książka o mnie! Na drugim biegunie – książd prałat Henryk Jankowski. Mam jego zdjęcie z dedykacją, z czasów stanu wojennego: „Wdzięczny za przyjaźń” (bo oddałem mu kilka przysług, ale to był stan wojenny, normalna rzecz!). Powiedział: „Mój dom dla Pana jest zawsze otwarty” i dotrzymał słowa. On, dla odmiany, ze mną faktycznie zerwał, stwierdzając: „Wowczuk schlebia Żydom”. No więc, albo jestem antysemitą, albo jestem pochlebcą Żydów.

– *Tak samo jak Radwan (bo na kartach „Waki” jest to powiedziane wprost: „Polacy wbrew obiegowym opiniom nie są antysemitami”) uważam, że w mojej ojczyźnie nie ma antysemityzmu.*

– To Pani pogląd też? No, proszę Pani... Chciałem pokazać ich tak, tak jak... Jak ja mogę pisać inaczej, skoro oficer carski, który stracił wszystko, został wygnany z Rosji, skoro on mówił: „Żyd – komisarz z naganem w ręku”? Jak ja mogłem, co miałem?... W rozwinięty sposób tłumaczyć albo komentować jego wypowiedź i dowodzić, że jednak ci Żydzi to nie byli tacy źli?

– *„Waki” szkicuje portrety osób, tych znanych z kręgów Solidarności i z lat późniejszych, moim zdaniem nie zasługujące na etykietkę „antysemicki portret”, wręcz przeciwnie.*

– To było właśnie szalbierstwo Michnika.

– Nie przypuszczam, wcale nie przypuszczam, aby programowo rzecz o szpiegu Naicho w Polsce stać się miała pretekstem do dalszych kłótni rodaków. Po lekturze jednak tej nietypowej książki...

– Pani sądzi, że jest nietypowa?

– Bardzo. Zna Pan drugą taką? To swoisty biały kruk.

– Czy zna Pani „Leśne Morze” Newerlego?

– Żałuję. Trzeba będzie poznać.

– Mogę Pani pożyczyć. Ach, co to znaczy potęga talentu! Newerly napisał książkę o Polakach w Mandżurii, a napisał TAK, że ja – zanim... – teraz w chwili zadumy nostalgicznej czytam siebie – ale dawniej to ja stale czytałem Newerlego.

On tam nie był, ja stamtąd pochodzę i – wciąż go czytałem. Dawniej były ograniczenia cenzuralne, ogromne; książka miała jednak wielkie powodzenie. Ileż ona miała nakładów, wydań, w ogóle bez liku. Po „okrągłym stole” Newerly wznowił ją, wprowadziwszy te wszystkie ocenzone fragmenty.

„Waki” nie jest więc, jak widać, jakąś rewelacją. Był ktoś przede mną, który, gdyby miał to tworzywo co ja, napisałby dziesięciokrotnie lepszą rzecz!

– Skromność przemawia przez Autora.

– On był pisarzem...

– Wracając do pytania... otóż, po lekturze „Waki” można nabrać przekonania, że jest Pan człowiekiem tak dobrze poinformowanym, iż nawet historycy, o literaturoznawcach nie wspomnę, będą mieć z tą książką kłopoty.

Jaki był oddźwięk społeczny?

– Były spotkania. Coś w rodzaju promocji odbyło się na zjeździe moich rodaków, Mandżuraków, harbińczyków, w Szczecinie, w pięćdziesiątą rocznicę naszego przyjazdu do Polski. To był rok 2000, w sierpniu. Na ten zjazd przywiozłem swoją książkę. Później mówiono (każdy, oczywiście, wie lepiej): „Nie wszystko jest słuszne”, a nie wiem, co jest słuszne w ogóle, a co nie. Bardzo osobisty był odbiór. Nie było opinii, że to zupełna czy prymitywna konfabulacja.

Było spotkanie w SDP. Krzysztof Boruń promował swoją książkę, ja swoją; było może pięćdziesiąt osób, bo kto teraz przychodzi na takie spotkania... To była promocja. Nic nie zostało. Więc, z zawodowego punktu widzenia, Bratkowski na przykład...

Bratkowskiego trochę ośmieszyłem, oczywiście...

– Owo „rzucanie pomysłów”, między innymi?

– Tak, tak. Ale Stefan ma to do siebie, że się nie obraża. Obraża się w pierwszej chwili, ale później... Poza tym – ja tego nie zmyśliłem. Ten list, po francusku pisany do Gorbaczowa – no, przecież to cały Bratkowski.

Kiedy piszę o Michniku, o tym spotkaniu w „Szanghaju”, jak on krytykuje Wałęsę i ośmiesza go – no, to Michnik dobrze wie, że tak było, że ja tego nie zmyśliłem, bo takie spotkanie się odbyło. Gdyby było inaczej, włóczyliby mnie po wszystkich sądach. Tu nie wolno mi było zmyślać. W tej części publicystycznej przemawiam rzeczywiście jak dziennikarz.

– *To faktograficzna część rzeczy.*

– To w gruncie rzeczy faktografia.

– *Fascynującymi przygodami tytułowego bohatera być może będzie oszostomy niejeden młody człowiek, o ile uda mu się znaleźć Pańską książkę i o ile zdola przedrzeć się przez ten gąszcz zdarzeń historyczno-politycznych na przestrzeni niemal stulecia...*

– ... Za gruba.

– *Jest też trudna pod względem ścierających się poglądów politycznych, zróżnicowanych postaw licznych bohaterów – i tam daleko, w Mandżurii, i tu, w Polsce lat osiemdziesiątych XX wieku...*

– Jednak trudna?

– ... ze względu na bardzo obszerny materiał historyczny...

– Natłok!

– *Natłok pewnie tak, ale erudycja wielka i ktoś, kto czyta bez jakiegos przygotowania (zwłaszcza młodzi), może się zagubić, poczuć się przywalonym niczym lawiną, ogromem informacji...*

– To szkoda.

– *Nie, nie szkoda. Jest szansa, aby poszerzyć horyzonty. Duża szansa.*

– To powiem Pani: jest taki dziennikarz radiowy, tu w Białymstoku, który dostał ode mnie „Waki”. On powiedział, że książka jest za bardzo autorska, egocentryczna (co również mi zarzucano). Być może, być może. Natomiast jego dzieciom – nastolatkom – i to było dla mnie cenne, książka się podobała, zwłaszcza w drugiej części, tej o sprawach polskich, bo oni o tym nie wiedzieli!

– *Tym bardziej pytanie o to, co by dziś usłyszeli młodzi Polacy od kogoś*

o tak niezwykłym życiorysie, w takim dramatycznym dla młodych momencie; wiadomo, w jakiej dobie jakich perspektyw... Chociaż o młodości Michała Radwana trudno powiedzieć, aby przypadła na łatwe czasy.

– Moja Żona mówiła tak: „Ty masz więcej szczęścia niż rozumu” – to pierwsze.

– Żonie się wybacz.

– A drugie, mówiła: „Jednak jak z płatka to ci nie szło”. Takie sprzeczne opinie.

– *A co by młodzi usłyszeli?*

– Jednak – fascynacja WALKĄ, fascynacja modelem Martina Edena Londona. Fightera, człowieka, który całe życie pokonywał przeciwności, a te wciąż się mnożyły; który miał wszystko przeciwko sobie przez całe życie, a mimo to zdołał zdobyć uznanie i pozycję w społeczeństwie (choć wówczas to go już nie fascynowało, bo jego jęzwołem była walka).

Cel jest potrzebny. Lecz, mimo wszystko, liczą się dążenia i nie – spełnienie, ale – dążenie jest ważne. Tylko trzeba mieć jednak pewną klarowność rozwiązań docelowych.

– *Tytuł pierwszego rozdziału brzmi „Syndrom Martina Edena”, a konstrukcja głównego bohatera konsekwentnie do tamtej postaci się odwołuje.*

Co powiedziałby Pan tym, którym Solidarność była bliska?

– Że nie powinni niczego żałować. Ale powinni mieć jasną świadomość, że mieli swoje pięć minut... I to się skończyło... I to już nigdy nie wróci. I nie należy, tak jak Wałęsa, tu, w Białymstoku, w mojej obecności mówić publicznie, w tej konwencji: „No cóż, jesień wasza, a wiosna nasza”. On ciągle bredzi, ten człowiek. Robiłem z nim wywiad, trzykrotnie byłem u niego na Zaspie, w domu, i nie mam złudzeń... Pani Danusia częstowała mnie na kuchni herbatą, jak domownika.

– *O czym tak naprawdę jest ta książka? O superszpiegu? Historii XX wieku we wschodniej stronie świata? O poglądach na tę historię Autora? O niewidocznej stronie władzy? Roli jednostki w zbiorowości? Walce? O nieuchronności kłeski? O ciekawym życiu Włodzimierza Wowczuka?*

– Wszystkiego po trochu. Nie sądzę, abym zakładał od początku i konsekwentnie się trzymał jakiegoś, powiedzmy, wątku modelowego. Mogę Pani powiedzieć, że „waki” jako tytuł pojawił się już właściwie w końcowej fazie. Cały czas był, nie wiedzieć czemu,

roboczy tytuł „gambler”, czyli „gracz”. „Player” to jest taki uczciwy gracz, natomiast „gambler” to hazardzista, niemalże szuler. I to był roboczy tytuł. Później jakoś przemówił do mnie „waki”, co obniżyło jednak, jak sądzą niektórzy, rynkową wartość.

– *Według mnie to bardzo dobry tytuł. Doskonały. Intrygujący.*

– Poza tym nie miałem wpływu na jej kształt graficzny; nikt mi nie pokazał okładki. Tu nie ma nawiązania do Orientu przecież! No, poza tym zdjęciem na odwrocie okładki. Jak mi to drukowali, to przyjmowałem wszystko z pocałowaniem ręki, bo bez szans to było. Nie mogłem długo znaleźć wydawcy; jakoś wydał mi to wreszcie zaprzyjaźniony kolega z działalności opozycyjnej.

– *Czym w istocie jest „Waki”? Biograficzną powieścią szpiegowską? Freskiem XX wieku – przemocy, okrucieństwa, hańby? Popisem erudycji? Niezamierzonym melodramatem?...*

– Kończówka mi odpowiada.

– ... *niezamierzonym?*

– Tak, tak, właśnie.

– *Popisem erudycji, bez wątplenia, z całym uznaniem.*

– Jak ja to słyszę, a słyszę nieraz (mówiła mi Mira Karpińska, redaktorka, że jej kolega, dziennikarz, który, mówi „był na spotkaniu z tobą, przeczytał książkę i nie mógł wyjść z podziwu: ile ten Wowczuk musiał przeczytać książek, żeby taką erudycją się popisywać...”) więc kiedy to słyszę, jestem zakłopotany; odczuwam rodzaj zażenowania. Bo jeśli to jest erudycja, to – mój Boże, mój Boże, jakież my mamy skromne wymagania wobec siebie, wobec tego.

– *Jakie Pan ma wobec tego wymagania wobec siebie, w świetle tego, co Pan mówi.*

– Ja nie mam złudzeń. Wiem. Moja przewaga nad moimi uczonymi kolegami polega na tym, że znam wszystkie swoje mankamenty i luki w wykształceniu i bez przerwy się dokształcam.

– *Podstawowym problemem warsztatowym, z jakim borykał się pisarz, było wyważenie proporcji między „akcją” a „informacją”...*

– Toteż nie wyważyłem... No, więc Marek Nowakowski w swojej recenzji słusznie zarzucił, że to była publicystyka.

– ... *w książce informacja święci triumfy nad powieściowym działaniem się, co więcej, wdziera się częstokroć w dialogi, zamieniając je w długie wywody*

(bezsprzecznie poznawczo wiele wnoszące). Takie „intarsje” odnarratorskie dobrze widać np. w scenie pożegnania przez Waki doktora Ri. Od strony prawdopodobieństwa takie rozmowy nie wytrzymują krytyki; mówi się jednak inaczej. Nie nosi się Pan z zamiarem pewnych zmian kompozycyjnych? Czy byłby Pan skłonny zrezygnować z czegoś w „Waki”?

– Gdyby były kolejne wydania? Należałoby, ale nie jestem absolutnie przekonany, że potrafię to zrobić. A muszę Pani powiedzieć, że taki doktor Ri jest postacią autentyczną. Nie żyje już.

– „Niebawem stanę przed moim Bogiem”?

– Tak. I tak się stało. Kiedy książka się ukazała, zatelefonowałem do jego żony (od lat nie kontaktowaliśmy się), spotkaliśmy się. Bywałem w tym domu. Banalne stwierdzenie: jak ten czas leci... To była piękna kobieta. Przyjęła mnie w saloniku. Rozmawiałem z nią po latach – naprzeciw wisiał jej portret, portret pięknej kobiety – a oto przede mną siedziała...

– Starsza pani ze śladami dawnej urody?

– Nawet tych śladów trudno się było dopatrzeć... No, i mówiąc o reakcjach czytelników: ona też się pewno obraziła, podczas gdy ja uważam, że złożyłem hołd jej mężowi. Nie będę mówił, kim był w rzeczywistości doktor Ri. Jego żona o pewnych rzeczach mogła nie wiedzieć, do końca mogła nie wiedzieć. I może jej nie odpowiadać, powiedzmy, to obrażowanie, czy jak to nazwać. Oni mieli swój krag...

– Mam wrażenie, że nieco rozumiem...

– Muszę powiedzieć, że co do odbioru „Waki”, na wszystko byłem przygotowany. Nikomu nie chciałem schlebiać ani przypodobać się. Chciałem dać w miarę wierne zbliżenie, fotografię...

– Ta powieść – niepowieść jest dobrym materiałem na scenariusz...

– Ach!

– ... na doskonały film, albo w dwu częściach, albo lepiej – na serial. Co to znaczy „Ach”?

– Pani pozwoli: brawo, brawo.

– Oklaski należą się komu innemu, jakże można...

– Zaraz Pani powiem. Zaraz powiem. Kiedy czytał maszynopis Maciej Łukasiewicz, obecny naczelny „Rzeczpospolitej”, kolega z redakcji i kolega z „konspiracyj”; razem wydawaliśmy „Most” (Miałem złudzenia, że Maciek mi to wyda po „okrągłym stole”, bo on swo-

je podziemne wydawnictwo wyprowadził na powierzchnię, chociaż później ono padło. Nie zaryzykował z powodów osobistych; nie chciał konfliktu z Bratkowskim, Michnikiem, z Kuroniem, bo on trochę asekurant) – więc on mi pierwszy powiedział: „Słuchaj, to jest powieść filmowa”. A to przecież zawodowiec!

– *Skąd Pan wie, że ja – nie?*

– I muszę Pani powiedzieć, że ciągle się łudzę, że coś z tego wyjdzie. Były rozmowy, jakieś przymiarki, scenariusz... Nawet są pieniądze. Ale – pieniądze takie, po które, komu jak komu, mnie nie wolno się schylać. Rozumie Pani?

– *Chyba trochę, znowu. Chociaż tak niewiele rozumiem z meandrów historii...*

– Nie, nie, zwyczajnie. To są pieniądze, które się pierze. To są pieniądze gangsterskie, zwyczajnie.

– *Zwyczajnie?*

– Oni dadzą pieniądze na film, proszę bardzo! Ale mnie – nie wolno. Mnie skoczą do gardła, od razu. Mnie tego nie darują. Bo, jednak, mnie nie można nic zarzucić. Nic. Można powiedzieć bzdury, że jestem „antysemity” lub że „schlebiam Żydom”. No, przykto mi, że Prałat... Nie wolno mu było tak powierzchownie mówić, że ja schlebiam Żydom. On jest Żydofobem, zdecydowanie. Michnika na przykład nie znosi.

– *Sądzi Pan, że da się „kochać” Michnika jako osobę publiczną po tym wszystkim, co robi ostatnimi laty?*

– On się wymyka takim ocenom i kategoriom, jak „miłość”, „uznanie”, „sympatia”...

– *To było w cudzoństwie, naturalnie.*

– Trzeba go odbierać takim, jakim jest. Chciałem go odbrać, pokazać, że to jest jednak gracz. Wybitnie inteligentny, wybitnie. Znam tych wybitnie inteligentnych Żydów osobiście, i to od lat. Michnika od lat. Z Urbanem pracowałem w „Życiu Gospodarczym”. Nie mam złudzeń. Ten w końcowych partiach książki...

– *Zapewne Kwejt alias Kwejtman?*

– Tak, tak to jest jakiś... Urban jest strasznym człowiekiem, o pokrętnej osobowości, człowiekiem, który nienawidzi ludzi w ogóle, w tym siebie samego, w tym – siebie samego...

– *To smutne.*

– Naturalnie. Ale to wynika... Mira Karpińska, redaktorka moich książek, powiedziała mi: „Bo ty dla niego zawsze będziesz dużym Słowianinem... Urban jest strasznym człowiekiem. Terrorysta intelektualny. I to jego słownictwo, obsceniczność – horror.

– *W życiu Michała – waki – nie było, nie mogło być miejsca na głębokie związki międzyludzkie. Wolno spytać o prawdziwe (proszę darować to podkreślenie) przyjaźnie w życiu Włodzimierza Wowczuka?*

– Były i są. Nie było ich może wiele. Znajdowałem łatwiej wspólny język z kobietami, bez żadnych podtekstów. Kolegów zawsze traktowałem jak rywali, albo o koleżankę, albo – na boisku. Są ludzie, z którymi lata całe – na przykład Bratkowski, z jego rodziną, byliśmy zaprzyjaźnieni. Jestem raczej typem samotnika, co raz bardziej. Ale, byli i są ludzie, z którymi od lat chętnie się spotykam i mam nadzieję, że oni też dobrze się czują w mojej obecności. Przyjaźń – nie umiałbym chyba ściśle tego pojęcia zdefiniować; to bardzo wielkie słowo.

– *Czy Waki śni się Sungari, „rzeka potężna”?*

W.W. – Tak, oczywiście. Ale – jakoś w życiu tak jest – starałem się o tym powiedzieć i w „Waki” (choć miałem z tym trudności, bo nie jestem pisarzem przecież), tak jest, że nie ma powrotów. Dobrych powrotów. Lubię cytować Miłozza: „Każdy marzy o wiosce swego dzieciństwa”, natomiast wszystkie powroty kończą się smutkiem. Tak jak ten do Hajnówki powrót, drugi był smutny. Później, to już trochę inna historia, tę cerkiewkę rozebrano i przeniesiono tu, do Białegostoku, więc okazuje się, nie była to taka „Stara cerkiewka w Hajnówce” jak o niej napisałem. Może smutek powrotów też należy do reguł życia, do jakiegoś trudnego piękna?

– *Bardzo dziękuję za rozmowę.*

Notowała: Teresa Jabłońska

Od red.

Tego roku ukazały się autorstwa Włodzimierza Wowczuka: „Chiny, Japonia”, „Siedem wspaniałych kobiet” (obie w Instytucie Wydawniczym Kreator, Białystok 2003)

Aforyzmy

*

Strach na wróble? Po wyginięciu wróbli padnie strach na ludzi.

*

Niełatwo zrewidować swoje poglądy, bo można się poczuć przy nich za mało swojo.

*

Zbłąkane duszyczki lubią być nieźle przywiązane do ciała.

*

Demokratyczne pieszczoty: silniejsi macają nas po kieszeniach.

*

Szpetoty piersi order nie przyćmi.

*

Aforysta i z ubogim duchem chciałby podzielić się okruchem myśli.

*

Ludzie światli potrzebni są po to, żeby można było zobaczyć ludzkie piękno.

*

Kłamstwo panoszy się pod byle ozorem.

*

Czasy tak mało epickie, że tchórze zaczynają uchodzić za bohaterów.

*

Niestety, u nas nie zawsze korona trafia na głowę orła.

*

Nie każdy musi mieć siłę przebicia, kiedy grają nim w durnia.

*

Polityk z ludzką twarzą? Czasem przydałaby mu się jakakolwiek twarz.

*

Odpowiedni układ plam na honorze to wyznacznik
nowej awangardy.

*

Bezmyślność pomaga uśmierzać ból istnienia świadomości.

*

Od sztuki mięsa i sztuki złota ważniejsza jest tylko
sztuka przetrwania.

*

Żeby widzieć oczyma duszy, trzeba najpierw przejrzeć na oczy.

*

Światły umysł – wystarcza mu iskra boża.

*

W polityce kij też ma dwa końce, nawet jak zakwita marchewką.

*

Często szukamy głębi, a zasysa nas bagno.

*

Niektórym mądrym szatan pozamieniał myśli na idee.

*

Dwunożne kameleony zmieniają nam świat na bardziej szary.

*

Łysina umysłowa! Ta dopiero chodzi z podniesionym czołem.

*

Są tacy, co uważają, że moralność psuje się od białogłowy.

*

Nie dziw, że jak trwa pogoń za pieniądzem, to pieniądz salwuje się
ucieczką.

*

Pokarm duchowy rozdrobniony na papkę źle się trawi.

*

Najwyższy czas? Kiedyś pokazywał go zegar na wieży świątyni.

*

Próbuję patrzeć oczyma duszy. I też mi zezują na czubek nosa.

*

Z gry słów też trzeba umieć wydobyć harmonię sensów.

*

Polityka dzieli ludzi na prawych, lewych i wykołowanych.

*

To, co wyłazi z puszki Pandory, trudno potem zapuszkować do kicia.

*

Straszna dysproporcja: jeden człowiek z marmuru na cały partyjny beton.

*

Gdy pieniądź zbyt wiele znaczy, ludziom robi się ciężko.

*

Na prowincji nawet diabeł mówi „Dobranoc!” zamiast dostarczać podniet.

*

W kuchni Erosa listek figowy dodaje zupie posmaku.

*

Sfinks? On nawet milczy zagadkami.

*

Nawet psy schodzą na suki.

*

Na robaczywym jabłuszku wdzięczy się czasem rumieniec bezwstydu.

*

Lekarstwo na kaca moralnego? Zapewne powrót do źródeł miłości.

Fraszki

Regalia

Gdy król jest nagi
berło nabiera szczególnej wagi.

Wyższa matematyka

Jeśli – powtarzam za premierem –
poseł RP jest zerem –
kto w Polsce dzierży władzy ster?
Wychodzi na to, że zbiór zer.

Wniosek

Czemu się mówi
„na chłopski rozum”?
Widocznie „babski”
– to kuriozum.

Naturystka

Na sobie – nic, w szafie – puchy,
a całą noc śnią się jej ciuchy.
I naturystce serce się trwoży,
że nie ma co na siebie włożyć.

Znowu

I znowu dałam się nabrać –
powiedziała woda do wiadra.

Aforyzmy

*

Jeszcze Polska nie umarła, ale grabarze pracują pełną parą.

*

Niedaleko pada jabłko od Newtona.

*

Nawrócony ludożerca: modli się przed posiłkiem.

*

Wybaczymy Kolumbowi odkrycie Ameryki: naprawdę nie wiedział, co czyni.

*

Śmierć przedsiębiorcy pogrzebowego zwiększa obroty firmy.

*

W niczym nie jest jej tak do twarzy jak w niczym.

*

Nie trzeba kończyć szkół, żeby być mądrym: wystarczy sobie powiedzieć: „Nie ma głupich”.

*

Kain wprawdzie uśmiercił czwartą część ludzkości, ale na szczęście nie był seryjnym mordercą.

*

Targnął się na swoje życie, ale zrobił to w obronie własnej.

*

Mańkuci mogą bezkarnie wstawać lewą nogą.

*

Dzieci + zapalki = ognisko domowe.

*

Kobieta jest istotą bardzo złożoną, a byle głupek potrafi ją rozebrać.

*

Prawda kłuje w oczy, dlatego sprawiedliwość jest ślepa.

*

Zanim poznasz nagą prawdę, na wszelki wypadek zgaś światło.

*

Najtrudniejszą gramatykę ma wspólny język.

*

Człowiek wykorzystuje tylko część możliwości swojego mózgu.
I całe szczęście.

*

W ciekawych czasach żyje się nie za ciekawie.

Aforyzmy

*

Najłatwiej wieszać psy na innych, na sobie – ordery.

*

Zlustrowali go na wylot i nie znaleźli serca, lecz sejf.

*

Nadszedł czas powszechnych rozliczeń, ale cała kasa idzie w ręce wybranych.

*

Jedne kozy wskakują na pochyłe drzewo, drugie wołają być pod pochyłymi kózłami.

*

Największe kanty są starannie zaokrąglane.

*

Szklane domy budują sobie ci, którzy innym wciskają kit.

*

Na czerwoną płachtę można nabrać nie tylko byka.

*

Poranna rozmowa z kobietą zaczyna się jej koncertem życzeń, wieczorna – gorzkimi żałami.

*

I porozumienie zawarte z samym sobą bywa trudne do realizacji.

*

Najczęściej strzegą języki ci, którzy posługują się strzępkami myśli.

*

Wciąż dążymy do prawdy, ale ciągle ktoś przestawia kierunkowskazy.

*

Wolność kończy się tam, gdzie trzeba wyciągnąć rękę po kawałek chleba.

Aforyzmy

*

Spalił się. A wszystko zaczęło się od Iskry Bożej.

*

Serce nie sługa – skamienieje, kiedy mu się spodoba.

*

Niektóre kobiety wraz z makijażem zmywają swoją osobowość.

*

Czarownicom wystarczy miotła między nogami.

*

Jeśli przepuścisz prawdę przez pryzmat, to który kolor wybierzesz?

*

Gdyby Wenus z Milo ucięto jeszcze głowę, powstałaby idealna kobieta.

*

Rzekł pan: – Janie, podaj serce. Teraz będę kochał!

*

Kto jest głupszy? Mężczyźni, którzy wołają idiotki, czy kobiety, które je udają?

*

Sępy są humanitarne – nie zżerają na żywcą.

*

Wolę być oślepionym przez światło niż błądzić w ciemności.

*

Sztuka nowoczesna często nic nie wyraża – zupełnie jak nowoczesny człowiek.

*

Kochanka nie jest tą drugą, tylko tą świeższą.

*

Natura powoli odrzuca człowieka jako ciało obce.

*

Odkąd opanowaliśmy język, z trudem porozumiewamy się ze sobą.

*

Moja gęstość równa się twojej głębi – rzekło bagno do oceanu.

*

Telewizja jest płaska jak wyobrażenia niektórych ludzi.

*

Nawet natura nie zna tylu rodzajów zniszczenia, ile wymyślił człowiek.

*

Człowiek w panice staje się zwierzęciem. Zwierzę pozostaje zwierzęciem.

*

EKG nie jest dowodem na posiadanie serca.

*

Jaki motyl?! To tylko robak ze skrzydłami.

*

Nie pytaj kornika, z jakiego drewna chce mieć trumnę.

*

Niejeden alchemik zrobił sobie wodę z mózgu.

*

Z ludzkich zer można zrobić całkiem ładny łańcuszek.

*

Zazdroszczę Afrodycie. Wystarczyło, że weszła do wody i znowu była cnotliwa.

*

Człowiek się nie powtarza. Człowiek się utrwała.

*

Zwykle prześmiewca śmieje się, bo mu smutno.

*

Życie przeplatane jest nudą – dla urozmaicenia.

*

Wymowne milczenie? Nie, to coraz częściej brak zdania.

Poszczucie humoru

Dwie miłości

Spragniony często przepięknej nagości
kocha chłopak dziewczynę, lecz nie jej wnętrzości.
Podobnie jest z miłością u wielu Polaków,
gdy kochają ojczyznę, ale bez rodaków...

Gen o sobie

Nie jestem geniuszem.
Na razie nie muszę...

Ziemia

Nie ma zapasowych
kół podbiegunowych.

Przestroga

Nie przeginaj pały,
bo złamiesz się cały!

Lament historyka przed końcem świata

Gdzie się ja podzieje,
gdy się skończą dzieje?

WWW

Mniej znana w Internecie
ojczyzna by była,
gdyby nie Wałęsa,
Wajda
i Wojtyła...

Związek

Prelegenta ze słuchaczem
łączy związek ten głęboki:
Kiedy pierwszy zrywa gardło,
drugi – zrywa boki...

Wyjaśnienie

Ataku wrogów trochę się boję,
dlatego myśli mam pod konwojem.

In vino veritas

W kielichu wina prawda jest ukryta,
lecz i tak mocniej ciągnie do koryta...

Zgodnie z tradycją

Pije Kuba do Jakuba,
po godzinie już rozróżba...

Aktualnie

To zestawienie uderza w pysk:
Bрудna robota, a czysty zysk!

Powód

Powód niejednego manka
to kapryśna utrzymanka.

Bywa

Kiedy świniopasy
urządzą zapasy,
wówczas po drabinie
wspinają się świnię...

Doradca

Najpierw kij w mrowisko wsadza,
a potem mrówkom doradza...



Spis treści

Leonarda Szubzda	3
Irena Słomińska	9
Justyna Wencel	12
Agnieszka Krotke	17
Małgorzata Dobkowska	22
Józefa Drozdowska	24
Krystyna Gudel	27
Agnieszka Drewnicka	30
Irena Batura	33
Halina Biernacka	35
Barbara Lachowicz	37
Zofia Dembińska	39
Zofia Metelicka	41
Małgorzata Dmitruk	43
Jerzy Sikora	44
Marek Kusiba	47
Rafał Kazanecki	51
Tomasz Pobot	54
Antoni Hukałowicz	57
Ryszard Kondratowicz	61
Józef Budziński	62
Eligiusz Buczyński	63
Listy Marianny Bocian do Jana Leończuka	64

Debiuty Poczty Literackiej Radia Białystok:

Katarzyna Grygotowicz	95
Agnieszka Ostapowicz	96
Andrzej Kitliński	103
Piotr Balkus	109

Anna Gniewkowska

<i>Studnia</i>	111
----------------------	-----

<i>Broszka</i>	112
----------------------	-----

Irena Słomińska

<i>Lalka</i>	119
--------------------	-----

Monika Karpowicz

<i>Fragmety pamiętnika</i>	122
----------------------------------	-----

Marcin Silwanow

<i>Popielniczka</i>	134
---------------------------	-----

<i>Medytacje z papierosem</i>	135
-------------------------------------	-----

Aneta Owłasiuk

<i>Szafiry (powieść fantazy) Rozdz.20 „Dor Lothluin”</i>	139
--	-----

Dariusz Adam Zeller

<i>Pogodzić się z czasem</i>	147
------------------------------------	-----

Dirk Beemster (*tłumaczenie Alicja Wiśniewska*) 151 |

Rutger Kopland (*tłumaczenie Alicja Wiśniewska*) 152 |

Tonnis Oosterhoof (*tłumaczenie Alicja Wiśniewska*) 153 |

Wiersze poetów ukraińskich z „Nowojorskiej Grupy”
w tłumaczeniu Tadeusza Karabowicza:

Bohdan Bojczuk 156 |

Wira Wowk 160 |

Emma Andijewska 162 |

Bohdan Rubczak 163 |

Jurij Tarnawskij 164 |

Recenzje, eseje, wywiady

Jerzy Plutowicz, <i>Dom naszych marzeń, dom snów</i>	168
Zwykła codzienna magia, Artur Jan Szczęsny	179
„Pęknięte lustro” Jerzego Sikory, Wiesław Szymański	181
„Jak umierają małe dziewczynki?” – Katarzyna Ewa Zdanowicz, Wiesław Szymański	183
Tęsknota za ciszą, Eugeniusz Szulborski	185
Walka i alienacja: Włodzimierz Wowczuk „Waki”, Teresa Jabłońska	186
„Przede wszystkim, proszę pamiętać, nie jestem pisarzem...” – z autorem „Waki”, Włodzimierzem Wowczukiem rozmawia Teresa Jabłońska	189
Kazimierz Słomiński	
<i>Aforyzmy</i>	209
Jan Tarnacki	
<i>Fraszki</i>	212
<i>Aforyzmy</i>	213
Edward Lipiński	
<i>Aforyzmy</i>	215
Katarzyna Wylimczyk	
<i>Aforyzmy</i>	216
Apoloniusz Bogumił Ciołkiewicz	
<i>Poszczucie humoru</i>	218

Epea:
almanach T.3



125819

ISBN 83-88248-29-4